

Derting Kimberly

Ukryte

Violet musi sobie poradzić z dwoma poważnymi problemami: Jayem, przyjacielem z dzieciństwa, do którego czuje coś więcej niż powinna, oraz swoim mrocznym, sekretnym darem. Tymczasem seryjny zabójca terroryzuje miasteczko. Giną kolejne dziewczyny. Violet uświadamia sobie, że tylko ona, dzięki swemu niezwykłemu talentowi, może powstrzymać mordercę. Z pomocą przychodzi jej Jay – nie chce, aby dziewczynie cokolwiek się stało. Młodzi zbliżają się do siebie. Także morderca jest coraz bliżej...

PROLOG

VIOLET AMBROSE ODDALIŁA SIĘ OD OJCA zasłuchana w symfonię cichych dźwięków splatających się wokół. Szelest liści łączył się delikatnie z niestrudżonymi nawoływaniem ptaków i odległym szmerem wzburzonej, lodowatej rzeki płynącej za drzewami.

Naraz doleciał ją inny dźwięk. Dźwięk, którego nie potrafiła zidentyfikować - na razie.

Sens tego nowego, niepasującego tutaj odgłosu nie był jej całkiem obcy. Wiedziała, co oznacza. Od lat - odkąd sięgała pamięcią - słyszała podobne dźwięki, widziała kolory, czuła zapachy.

Nazywała je echami.

Obejrzała się na tatę, by sprawdzić, czy także to usłyszał, choć znała już odpowiedź. Nie usłyszał, oczywiście. Tylko ona to potrafiła. Tylko ona rozumiała, co przepowiada natarczywy dźwięk.

Ojciec szedł za nią wolnym, miarowym krokiem, czujnym okiem obserwując biegnącą przodem ośmioletnią córeczkę.

Świst znowu rozległ się obok, niesiony powiewem, który porwał wokół kostek dziewczynki wir szeleszczących złotych liści. Przystanęła, by posłuchać, lecz gdy tylko dźwięk ją minął, ruszyła dalej.

- Nie odchódź za daleko! - zawołał z poczucia obowiązku ojciec. W gruncie rzeczy nie obawiał się o nią. To były ich lasy.

Violet na dobrą sprawę wychowała się tutaj - poznając otoczenie, ucząc się, jak określić kierunek świata z pomocą porostów na pniach wysokich drzew i ocenić porę dnia dzięki pozycji słońca... przynajmniej w te dni, kiedy słońca nie przysłaniała posępna zasłona chmur. To było miejsce bezpieczne nawet dla ośmiolatki. Zignorowała ostrzeżenie i zeszła ze ścieżki, nadal nasłuchując tego czegoś, co kazało jej iść naprzód. Czuła, jakby jej stopy poruszały się z własnej woli, kiedy starała się przetłumaczyć dźwięk na coś zrozumiałego, coś, co potrafiłaby nazwać.

Przestępowała nad leżącymi gałęziami i brodziła przez morze paproci wyrastających z wilgotnej ziemi.

- Violet! - Głos ojca przedarł się przez jej koncentrację.

Zatrzymała się i odchrząknęła: „Tu jestem!” - choć nie tak głośno, jak powinna - po czym znowu zaczęła iść.

Dźwięk stał się silniejszy. Nie głośniejszy: silniejszy. Mogła teraz dosłownie poczuć vibracje rezonujące pod skórą.

Tak już z nimi było. W ten właśnie sposób odbierała podobne wrażenia. Nie dało się ich opisać, lecz jej wydawały się całkowicie sensowne.

A kiedy słyszała zew, czuła się zmuszona zareagować.

Znalazła się już blisko celu, tak blisko, że usłyszała głos. Tym właśnie echo było: głosem. Pojedynczym i samotnym,

domagającym się, by ktoś - nieważne kto - na niego odpowiedział.

Violet była tym kimś.

Zatrzymała się przy kopczyku wilgotnej ziemi nakrytym grubą warstwą gnijących liści. Gleba wydawała się dziwnie nie na miejscu wśród podszytu; nic na niej nie rosło. Nawet Violet wiedziała, że ziemię usypano zbyt niedawno, by pojawiło się na niej życie.

Uklękła, zwabiona rozlegającym się z głębi, pulsującym echem. Czuła, jak rezonuje w jej żyłach, przepływa gorącem przez jej drobne ciało. Bez wahania odgarnęła rękawem płaszcz liście i kamienie i energicznie zaczęła rozkopywać rękami miękką ziemię pod spodem.

Usłyszała lekkie kroki ojca i jego łagodny głos:

- Coś znalazłaś, Vi?

Była zbyt zaprzątnięta pracą, by odpowiedzieć, a on nie nalegał. Przywykł, że córeczka szuka po lasach zaginionych dusz. W milczeniu oparł się o wyniosły pień pobliskiego cedru i czekał, przyglądając się dziewczynce w roztargnieniu.

Violet poczuła, że czubki jej palców musnęły coś twardego i gładkiego, zimnego i nieustępliwego. Wzdrygnęła się od niepokojącego przeczucia, którego nie potrafiła nazwać, lecz kopała dalej.

Raz jeszcze zanurzyła dłonie w wilgotnej glebie. I znowu dotknęły czegoś niepokojąco opornego.

Czegoś zbyt miękkiego jak na skałę.

Powróciło natarczywe wrażenie, że coś próbuje do niej przemówić.

Wyciągnęła rękę - tym razem nie po to, by kopać, lecz by odgarnąć cienką warstwę ziemi i zobaczyć, co się znajduje głę-

biej. Odnosiła zaniepokojenie ojca, który nachylił się nad nią i zajrzał do płytkiej dziury.

Pracowała jak archeolog, ostrożnie przesiewając i odgarniając grunt przykrywający znalezisko, tak aby nie poruszyć tego, co być może w nim pogrzebano.

Usłyszała westchnienie ojca i w tym samym momencie zorientowała się, co widzi. Poczwała, jak silne ramiona chwytają ją od tyłu, stanowczo odciągają od świeżo wzruszonej gleby i zamykają w mocnym, bezpiecznym uścisku... odciągają od przyzywającego dźwięku...

I od dziewczęcej twarzy patrzącej na nią spod ziemi.

ROZDZIAŁ 1

IRYTUJĄCY SYGNAŁ BUDZIKA przeciął przyjemną mgiełkę snu otaczając Violet. Wysunęła rękę z ciepłego kokonu koców, by wcisnąć przycisk drzemki. Nie otwierała oczu, pragnąc znowu zanurzyć się w marzenia, ale szkoda została już uczyniona. Violet się obudziła.

Westchnęła, wciąż niegotowa, by się wyplątać spod okrycia, i spróbowała sobie uprzytomnić, co jej się śniło, zanim jej tak brutalnie przerwano. Przez chwilę sądziła, że sobie przypomni, lecz ulotny szept snu ucichł.

Burknęła zniechęcona, ostatecznie odrzuciła koce i mało wdzięcznym ruchem podniosła się do pozycji siedzącej. Wyłączyła budzik przed dziewięciominutowym okresem do kolejnego dzwonka.

Był trzeci dzień szkoły, a nie chciała zaczynać przedostatniej klasy liceum od uwagi za spóźnienie. Potarła twarz obiema rękami, by pobudzić przepływ krwi i nie zasnąć z powrotem. Nie należała do skowronków.

Półprzytomnie wykonała większość porannych czynności: prysznic, mycie zębów, ubieranie. Otaksowała się w lustrze i wi-

dząc ciemne kręgi pod oczami, raz jeszcze pomyślała o tym, jak bardzo chciałaby się wczłgać pod stos stygnących koców zwiniętych na łóżku w zapraszające gniazdko.

Ściągnęła włosy w nieporządny koński ogon - jedyną fryzurę, na jaką pozwalały jej niesforne loki - i chwyciła plecak z podłogi.

Nie znosiła, kiedy dorośli przekonywali, jakie ma szczęście, że natura obdarzyła ją burzą fantastycznych loków. O niczym nie marzyła bardziej, niż żeby się upodobnić do rówieśniczek o lśniących, gładko ulizanych, prostych jak druty włosach.

Czego się jednak spodziewała? Los najwyraźniej nie chciał, by ona wtopiła się w otoczenie.

Ile dziewcząt odziedziczyło zdolność odnajdywania zmarłych - w każdym razie tych, którzy zostali zamordowani? Jak wiele dziewczynek spędzało dzieciństwo, przeczesując lasy w poszukiwaniu szczątków porzuconych przez drapieżniki? Ile urządziło własny cmentarz na podwórku za domem i grzebało tam zmasakrowane resztki martwych zwierząt, by ich małe dusze mogły spocząć w pokoju?

Jak wiele ośmiolatek zostało doprowadzonych do ciała martwej dziewczyny?

Nie, Violet zdecydowanie różniła się od innych.

Odsunęła niepokojące myśli i wybiegła z domu, jak każdego ranka trzymając kciuki, by jej rozsypujący się gruchot zechciał się obudzić do życia, gdy naciśnie zapłon.

Jej samochód.

Ojciec nazywał go klasykiem.

Violet nie była równie łaskawa, opisując niewielką hondę civic z 1988 roku, której oryginalny lakier zbladł po latach walki z deszczową waszyngtońską aurą.

Nazywała ją gratem.

„Jest niezawodna” - sprzeciwiał się ojciec. Z tym Violet nie mogła polemizować. Jak dotąd, pomimo porannych protestów i jęków - przypominających jej własne - honda nigdy nie stała się przyczyną (licznych) spóźnień swojej właścicielki.

Dzisiejszy dzień nie był wyjątkiem. Samochód zakrztusił się i prychnął, kiedy obróciła kluczyk, lecz silnik zapalił za pierwszym razem i po kilku chwilach rozgrzewki jego odgłos przypominał już zwykły, dość głośny warkot.

W drodze do szkoły dziewczynę czekał tylko jeden przystanek - zawsze ten sam, odkąd przed pół rokiem zrobiła prawo jazdy.

Miała podjechać po swego najlepszego kumpla Jaya Heat-ona.

Najlepszy kumpel. Znienacka określenie zaczęło jej się wydawać niedorzeczne - jak stary, wygodny trampek, który dawno przybrał kształt twojej stopy, lecz nagle przestał pasować i uciskał przy każdym kroku.

Wakacje zmieniły kilka rzeczy... zbyt wiele jak na gust Violet.

Byli z Jayem najlepszymi kumplami, odkąd skończyli sześć lat: od kiedy w pierwszej klasie Jay przeprowadził się do Buckley.

Tego dnia Violet rzuciła mu wyzwanie, by na przerwie pocałował Chelsea Morrison, i obiecała, że jeśli to zrobi, zostanie jego najlepszą przyjaciółką. Oczywiście Chelsea cisnęła chłopcem o ziemię - Violet od początku wiedziała, że tak się to skończy - i cała trójka wylądowała w gabinecie dyrektora na rozmowie o „przestrzeni osobistej”.

Ale Violet dotrzymała słowa i od tamtej pory byli nierozłączni.

W pierwszej klasie podczas zabawy w berka kombinowali, aby berkiem został ktoś inny i nie musieli grać przeciwko

sobie. W drugiej klasie przenieśli się do małego gaju, zorganizowali bandę i w tunelach służących za prowizoryczne forty bronili się przeciw wrogom. Nim zaczęli trzecią klasę, nauczyli się grać w siatkówkę i dwa ognie. W czwartej - w „piłkę na uwięzi”. W piątej odkryli wielki głaz na skraju boiska, który zapewniał ochronę przed wzrokiem nauczyciela dyżurującego na przerwie.

To był rok ich pierwszego pocałunku - czy dokładniej mówiąc, pocałunków: jednej jedynej wycieczki w krainę romansu. Spróbowali raz z mocno zaciśniętymi ustami - szybkie, przelotne dziobnięcie - a potem drugi raz, dotykając się językami.

Wrażenie było dziwaczne. Oboje zgodzili się natychmiast, że to obrzydliwe, i przyrzekli sobie nigdy więcej tego nie powtarzać.

W gimnazjum rodzice, którzy w charakterze szoferów pokonywali niemal codziennie półtorakilometrowy odcinek dzielący domy obojga, zbuntowali się i oznajmili, że jeśli Violet i Jay naprawdę chcą się spotykać, mogą się zdobyć na trochę wysiłku.

Nie mieli nic przeciwko spacerom. Spędzili całe dzieciństwo, przemierzając ten teren, organizując wyprawy odkrywcze i budując ze starych desek domki na drzewie. Zbadali i ponazywali całe obszary lasu, wiele z nich własnymi imionami lub dziwaczными kombinacjami połączonych nazwisk. Strumień Jaylet... Lasy Amberton... Szlak Hebrose...

Nazwali też prowizoryczny cmentarz za domem Violet. Ochrzcili go po prostu Mroczne Akry.

Mieli wtedy po dziesięć lat, a nazwa brzmiała posepnie i złowieszczo... i właśnie o to chodziło. Zakładali się, kto tam pójdzie i wytrwa samotnie długo po zapadnięciu ciemności, opowiedziawszy sobie wcześniej historie o dziwacznych zda-

rzeniach, które - byli tego pewni - musiały się tam rozgrywać. Szczególnie nocą.

Violet zawsze wygrywała, a Jay się nie skarżył. Chyba rozumiał, że się nie bała - nawet jeśli udawała, że jest inaczej.

Rozumiał wiele rzeczy. Jako jedyny - prócz rodziców oraz ciotki i stryja Violet - wiedział o jej dziwnym zamiłowaniu do odnajdywania martwych zwierząt i potrzebie, by je ponownie pochować na bezpiecznym, otoczonym siatką spłachetku Mrocznych Akrów. Była to ich wspólna przygoda: przeczesywanie paprociowych zagajników i borówkowych gąszczy w poszukiwaniu zaginionych ciał. Pomagał jej nawet ustawiać małe krzyże i nagrobki.

Zanim zostały pogrzebane, zanim zostały jak należy złożone na spoczynek, porzucone szczątki wołały do Violet. Po gwałtownej śmierci emitowały energię - wyczuwalne echo - niczym sygnał, który tylko ona potrafiła odebrać. Zawiadamiały, gdzie je porzucono. Sygnały bywały najrozmaitsze: zapach, rozbłysk koloru, smak w głębi gardła lub połączenie kilku wrażeń równocześnie.

Nie wiedziała, jak to się dzieje ani dlaczego. Po prostu tak już było.

Wiedziała jednak na pewno - wcześniej się tego nauczyła - że gdy pochowa szczątki na cmentarzu, przestaną ją przyzywać. Nadal je wyczuwała, lecz inaczej. Mogła odsunąć od siebie sygnały, aż staną się zaledwie uspokajającymi trzaskami w eterze, białym szumem.

Jay rozumiał także, że należy strzec sekretu Violet, choć nikt go o to nie prosił. Zdawało się, jakby wyczuwał od najwcześniejszych lat, że powinien zachować tę wiedzę dla siebie,

niczym skarb, na użytek ich obojga. Przy Jayu Violet czuła się bezpieczna i spokojna... wręcz normalna.

Czemu więc tak nagle wszystko się zmieniło?

Już teraz, gdy wóz, prychając, toczył się podjazdem, ze zwirom chrzęszczącym pod kołami, serce biło jej coraz szybciej, jakby zrobiło mu się za ciasno w piersi.

„Bez sensu - skarciła sama siebie. - To mój najlepszy kumpel!”.

Zobaczyła, jak drzwi frontowe się otwierają, zanim jeszcze samochód stanął. Jay wciągał przez głowę bluzę z kapturem, wlokąc za sobą plecak. Krzyknął coś w głąb domu, pewnie mówiąc mamie, że wychodzi do szkoły, i zamknął drzwi.

Tak samo było codziennie. Nic się nie zmieniło od wczoraj i przedwczoraj.

Tylko że teraz żołądek podjechał Violet do gardła, kiedy Jay wyszczerzył zęby w swoim głupawym, krzywym uśmiešku i wślizgnął się do samochodu.

„Głupia. Głupia. Głupia!”

Odpowiedziała uśmiechem, siłą woli starając się spowolnić puls.

- Gotowy?

- Nie, ale czy mamy wybór?

Jego głos, który obniżył się w ciągu lata, nadal był jej tak dobrze znany, tak swobodny, że odprężyła się natychmiast.

- Nie, jeśli nie chcesz dostać uwagi.

Wycofała, prawie nie patrząc we wsteczne lusterko. Podjazd przed domem Jaya знаła prawie tak dobrze jak własny.

Nienawidziła tych nowych, nieznanych uczuć, które dopadały ją za każdym razem, kiedy znalazła się w pobliżu Jaya, a czasem nawet gdy o nim pomyślała. Czuła się, jakby straciła

kontrolę nad własnym ciałem, a zdradliwe reakcje były tylko odrobinę bardziej krepujące niż zawstydzające myśli.

Miała wrażenie, jakby chłopak nagle stał się trujący.

Albo to, albo na poważnie zaczęła tracić zmysły - jedynie w ten sposób mogła wyjaśnić niedorzeczne zdenerwowanie ogarniające ją za każdym razem, gdy Jay się do niej zbliżał. A najbardziej ją wkurzało, że on zupełnie nie zauważał jej nowych, kompletnie nietypowych reakcji. Najwyraźniej jej choroba - cokolwiek to było - nie należała do zaraźliwych.

Tyle tylko, że to nie była prawda. Nie tylko Violet zaczęła inaczej postrzegać Jaya. Niemal obawiała się chwili, kiedy zostawią za sobą względny spokój hałaśliwej starej hondy i wysiądą na zatłoczonym szkolnym parkingu. Bo wtedy zabawa zaczynała się na całego.

Rankiem trzeciego dnia szkoły - podobnie jak pierwszego i drugiego - dziewczyny już czekały na ich przyjazd.

Nie, nie ich - j e g o .

„Nowy fanclub Jaya” - pomyślała Violet kwaśno. Dziewczyny, które znały go od pierwszego dnia pierwszej klasy. Dziewczyny, które do tej pory nie poświęcały mu najmniejszej uwagi.

Dziewczyny, które najwyraźniej zauważyły ogromną zmianę, jaka w nim zaszła w ciągu dwóch i pół miesiąca spędzonych poza szkołą.

Dziewczyny takie jak ona.

„Przestań!” - krzyknęła na siebie w duchu.

Zerknęła ukradkiem na Jaya, próbując wykombinować, czemu nagle stała się taka... taka okropnie skrępowana.

Patrzył prosto na nią. Szczerząc się w szerokim, głupim, zadowolonym z siebie uśmiechu, jakby podsłuchiwał jej kompromitujące myśli.

- Co? - Próbowwała się bronić, żałując, że w ogóle na niego spojrzała, bo czuła, że policzki pieką ją ze wstydu. - No, co? - spytała znowu, kiedy tylko się roześmiał.

- Planujesz zwać dzisiaj z budy?

Podniosła wzrok i stwierdziła, że właśnie przejechała uliczkę prowadzącą do szkoły.

- Czemu mi nie powiedziałeś? - rzuciła oskarżycielsko, wykonując szybki i pewnie niezgodny z prawem zakręt o sto osiemdziesiąt stopni. Miała wrażenie, że płoną jej czubki uszu.

- Chciałem tylko zobaczyć, dokąd pojedziesz. - Wzruszył ramionami. - Nie mówię, że nie poszedłbym na wagary. Tylko trzeba było wcześniej zapytać.

Zdawało się, że jego nowy, dorosły głos wypełnia cały samochód, i to też ją zirytowało.

- Zamknij się - burknęła, chociaż teraz sama nie mogła powstrzymać uśmiechu. Nie mieściło jej się w głowie, że przejechała zakręt do własnej szkoły. - Teraz naprawdę się spóźnimy.

Kiedy w końcu znalazła miejsce na uczniowskim parkingu, czekały na nich tylko dwie najwytrwalsze fanki Jaya. „Czy raczej czekały na niego” - poprawiła się znowu Violet.

Mimo woli zastanowiła się, ile innych opuściło posterunek, by uniknąć odwiedzenia dyżurki przed rozpoczęciem lekcji.

Violet postanowiła, że nie zaczeka na początek akcji flirt.

Wypadła z samochodu niemal biegiem, z plecakiem zarzuconym na jedno ramię.

- Do zobaczenia na drugiej przerwie! - zawołała do Jaya, uznając, że tak będzie lepiej. Ostatnie, na co miała teraz ochotę, to oglądać go w towarzystwie dwóch dziewczyn, które dosłownie rzuciły się na niego, ledwie wysiadł z wozu.

Wpadła przez drzwi klasy równo z dzwonkiem. „Udało się! - pogratulowała sobie. - Trzy dni i żadnego spóźnienia”.

Jeszcze tylko sto siedemdziesiąt siedem.

Przed nadejściem drugiej przerwy Violet udało się przekonać samą siebie, że cokolwiek się jej wydaje, cokolwiek dręczy jej stukniętą podświadomość - to tylko coś w rodzaju złudzenia.

Dym i lustra. Sztuczka umysłu.

W tej samej chwili Jay wparadował do klasy i usiadł obok. Jego nowe rozmiary sprawiły, że stół wyglądał jak mebel dla lalek.

Violet niemal się obawiała, że krzesło załamie się pod chłopakiem.

- Hej, Vi. Miło, że mimo wszystko postanowiłaś zostać w szkole. Żartobliwie szturchnął ją w ramię. Jej serce wywinęło bolesnego fikołka. Westchnęła.

- Cha, cha - odparła bez śladu wesołości.

Jay zmarszczył brwi, zanim jednak spytał, o co jej chodzi, sięgnął do tylnej kieszeni i wyjął świstek papieru.

- Byłbym zapomniał. Zobacz. Podał dziewczynie kartkę.

Rozłożyła ją i wygładziła przed przeczytaniem. Jak się okazało, niepotrzebnie się trudziła, potrafiłaby odczytać cyfry skreślone niewątpliwie dziewczęcym pismem, nawet gdyby papier się palił. Numer telefonu. Dla Jaya. Od Elisabeth Adams, najpopularniejszej dziewczyny w szkole, oczywistej faworytki wyścigu o tytuł tegorocznej królowej balu absolwentów, a z wielkim

prawdopodobieństwem także królowej balu maturalnego. Była opalona, blond, śliczna oraz w ostatniej klasie. Jakby tego nie dosyć, miała też lśniące, proste włosy, o jakich Violet mogła tylko pomarzyć. To było nie fair.

Violet próbowała nie sprawiać wrażenia zrozpaczonej, kiedy podniosła wzrok na chłopaka.

- Łał. - Tylko to jej przyszło do głowy.

- Wiem. - Wydawał się równie zdziwiony jak ona, lecz mimo to najwyraźniej imponowała mu własna popularność. - Musiała to wsunąć do mojej szafki podczas pierwszej lekcji.

- Zadzwonisz do niej?

Postarała się, by w jej głosie nie zabrzmiała uraza, chociaż bez wątpienia to właśnie czuła. Chciała jedynie znowu być kumpelą Jaya, n i e przejmować się, czy zadzwoni do swojej dziewczyny. Chciała słuchać pikantnych szczegółów i zadawać mu dociekliwe pytania, aż po kolejnej nedorzeczności wybuchnęliby śmiechem, rozbawieni jednym ze swoich głupich, prywatnych żartów. Jakoś jednak nie potrafiła.

Zgnębiona oddała mu kartkę.

Rozległ się dzwonek, a potem nauczyciel wmieszał się, zanim chłopak zdążył odpowiedzieć na jej pozornie niewinne pytanie.

Jay wsunął kartkę do segregatora i zaczęła się lekcja trygonometrii.

Violet próbowała się skupić na sinusach i cosinusach, notując wszystko, co nauczyciel zapisywał na białej tablicy, ale nie słyszała ani słowa. Łamała sobie głowę, jak się upora z tym... tym czymś, co czuje wobec swojego najlepszego na świecie kumpla.

Musi ała się z tym uporać... i to szybko. W przeciwnym razie, jeśli nie przestanie na niego reagować tak histerycznie, w końcu wpłynie to na ich przyjaźń. Wiedziała, że nie wolno jej do tego dopuścić.

Chodziło przecież o Jaya. Najlepszego człowieka, jakiego znała; nie umiała sobie wyobrazić, że mogłaby go stracić.

Pozwoliła sobie na spojrzenie w jego stronę, udając, że patrzy na zegar wiszący na ścianie nad drzwiami. Pochłonięty lekcją, pilnie notował - znacznie więcej niż to, co widniało na tablicy.

Ucieszyła się, że przynajmniej jedno z nich uważa, bo wiedziała, że Jay będzie musiał jej wyjaśnić całą lekcję.

Zrobi to, nawet nie wiedząc, że to przez niego nie słyszała ani słowa.

Violet - jak nigdy wcześniej - unikała Jaya podczas lunchu i nawet została dłużej w klasie po trzeciej lekcji, angielskim, pod pretekstem skończenia pracy domowej - chociaż była zadana na początek następnego tygodnia. Udało się jej odwlec wyjście z klasy o prawie dwadzieścia minut.

Potem poszła do łazienki, którą przy największej dozie wyobraźni trudno by uznać za miejsce, gdzie ktoś chciałby posiedzieć dla zabicia czasu. Nie śpieszyła się. Umyła ręce, poprawiła fryzurę (która wcale nie wyglądała po tym lepiej), a potem znowu umyła ręce.

Inne dziewczyny - niektóre znała, inne nie - wchodziły i wychodziły, krygując się i plotkując przed lustrami.

Violet wzięła z nich przykład i nawet nałożyła błyszczący na wargi, czego nie robiła prawie nigdy. Zeby go znaleźć, musiała sięgnąć na samo dno plecaka.

Kiedy weszła Chelsea, Violet poczuła szczerą ulgę, że widzi kogoś, z kim może porozmawiać choćby przez kilka minut.

- Gdzie ty się chowasz? - spytała oskarżycielsko koleżanka, jak zwykle bezceremonialna. - Jay wszędzie cię szuka.

Przycupnęła przed lustrem i rozpoczęła znajomy rytuał poprawiania swojego wyglądu, zaczynając od włosów i posuwając się coraz niżej.

Podobnie jak Jay, zmieniła się przez wakacje. Nie pod względem fizycznym - już wcześniej miała kobiece kształty - raczej z dnia na dzień odkryła swoją kobiecość. Dotychczas była typem wysportowanej chłopczycy. Teraz wyglądało, jakby uznała, że w życiu istnieją inne sprawy niż ścięcie na boisko przeciwnika w siatkówce czy rozegranie świetnego meczu szybkiego softballa.

Chyba w końcu sobie uświadomiła, że jest też bardzo ładna.

I podobnie jak wszystkie dziewczyny w szkole miała grzywę gładkich, kasztanowatych włosów, które dosłownie świeciły, kiedy słońce odbijało się od ich powierzchni. Zrobiła sobie nawet blond pasemka i wyglądała, jakby spędziła wakacje na plaży w Kalifornii zamiast na boisku.

Chelsea była po Jayu najbliższą przyjaciółką Violet. Przyjaciółką, u której mogła zostać na noc, nie budząc zdziwienia. I z którą mogła się wymieniać ciuchami. Violet zawsze też imponowało - czuła się wręcz o to odrobinę zazdrosna - że Chelsea „mówi, jak jest”, nawet jeśli sama nie zawsze chciała „słuchać, jak jest”.

Teraz też tak było.

- No? - spytała Chelsea, kiedy Violet nie odpowiedziała.

-Przysięgam, że facet nie jest w stanie bez ciebie funkcjonować, nawet w czasie lunchu.

Violet się skrzywiła, lecz przyjaciółka nic nie zauważyła, bo ostrożnie pocierała kącik oka małym palcem, sprawdzając, czy kredka się nie rozmazała. Nie rozmazała się, Chelsea prezentowała się idealnie.

- Nic mu się nie stanie - odparła Violet smętniej, niż zamierzała. - Z pewnością ktoś chętnie się do niego przysiadzie.

Chelsea podniosła wzrok. Skończyła z własnym wyglądem i przyjrzała się twarzy Violet.

- Hm, właściwie to bez znaczenia. Jay jest na korytarzu. Prosił, żebym cię tu poszukała.

Violet wytrzeszczyła na nią oczy, a potem się roześmiała.

Chelsea była chyba jedyną dziewczyną w szkole, która nie dostrzegła przemiany Jaya - zbyt zaprzątnięta własna metamorfoza, by zwracać uwagę na innych. Violet poczuła wdzięczność, że zdarzają się przynajmniej drobne cuda.

Kiedy się nie poruszyła, Chelsea złapała ją za rękę i pociągnęła do wyjścia.

- Chodź, zanim się zagłodzi na śmierć i wyschnie na wiór.

- No dobrze - zgodziła się Violet.

Kiedy podeszły do czekającego na korytarzu Jaya, wyglądał na ucieszonego, że nareszcie widzi ją całą i zdrową.

Wyraz jego twarzy podniósł Violet na duchu. Może Chelsea mimo wszystko ma rację. Może Jay nie potrafi bez niej funkcjonować.

Przynajmniej t o ich łączyło: ona też nie umiała wyobrazić sobie życia bez niego.

Ponieważ do końca przerwy zostało tylko pięć minut, Violet i jej najlepszemu kumplowi starczyło czasu jedynie na to, by popędzić do automatu po chipsy i batoniki, a potem biegiem wrócić na czwartą lekcję.

Ale wszystko było już w porządku. Świadomość, że w czasie letniej metamorfozy Jay nie wyrósł z niej, poprawiła dziewczynie humor. Odzyskała spokój, pojmując, że jest dla niego równie ważna, jak on dla niej. Wszystko będzie dobrze.

OFIARA

DESZCZ SPRAWIŁ, że łatwiej mógł krążyć po okolicy niezauważony. Tym, którzy siedzieli w samochodach, widok przestaniały padające krople, zaparowane szyby i pracujące wycieraczki. Ci na zewnątrz byli zaprzątnięci tym, by nie przemoknąć, chodzili szybko i ze spuszczonej głowami. Ciemność jeszcze bardziej pomagała mu stać się niewidzialnym. Niestety, deszcz także zatrzymywał ludzi pod dachem. Oczywiście nigdy nie był naprawdę niewidzialny, nie w samochodzie, którym się zwykle poruszał. Maszyna przyciągała uwagę i spojrzenia, dokądkolwiek się udał - nawet w ciemne, mokre wieczory jak ten. Dziś jednak było inaczej. Wtopił się w otoczenie. Stał się jednym z nich. Opuścił ruchliwy parking przed Wal-Martem, szukając węższych, ciemniejszych uliczek, mniej uczęszczanych i z mniejszą liczbą kamer. Jadąc, przysłuchiwał się metodycznemu świstowi

wycieraczek przesuwających się po szybie... tu i tam, tu i tam, tu i tam.

Dwie dziewczyny, nie więcej niż trzynastoletnie, przebiegły ramie w ramie po pasach przejścia dla pieszych. Nachyliły się do siebie; niemal słyszał, jak chichoczą z jakiegoś wspólnego sekretu.

Nie potrafił określić, czy są ładne, lecz z pewnością były młode.

Przyglądał się, jak kołyszą biodrami, śpiesząc na drugą stronę ulicy. Podobał mu się ich sposób poruszania.

Ale były dwie. O jedną więcej, niż potrzebował.

W duchu pogratulował im bezpiecznego spaceru. Szczęściany.

Skrecił z głównej ulicy w zaułek ze starszymi, niskimi domami, z których wiele przerobiono na siedziby firm, kiedy centrum się rozrosło i zmieniono przepisy dotyczące zabudowy. Zwiększający się ruch uliczny wypłoszył właścicieli prywatnych posesji. O tej porze było tu ciemno i pusto - dawno minęła godzina zamknięcia małych zakładów fryzjerskich czy gabinetów masażu.

Skrecał raz za razem. W miarę jak się oddalał od szosy przecinającej miasteczko, ulice stawały się węższe i mniej uczęszczane. Po obu stronach zaczęły się pojawiać niewielkie osiedla, lecz domy były ciemne i opustoszałe.

Wtedy właśnie zauważył samochód. Światła awaryjne błyskające w wilgotnym mroku nocy.

Zwolnił, mijając go, i zajrzał do wnętrza.

Była sama. Młoda i ładna - i sama.

Nie mógł sobie wymarzyć lepszej okazji.

Raptownie szarpnął kierownicą w prawo i zaparkował tuż przed jej autem. Wysiadając, ułożył grymas w wyjątkowo przekonujący uśmiech miłego faceta.

Kiedy się zbliżał, widział wahanie na jej twarzy. Nie była pewna, czy powinna mu zaufać. Bystra dziewczyna. Wiedział jednak, że prezentuje się wystarczająco niewinnie, jak ktoś, na kogo można liczyć, więc w ciągu paru sekund oszuka jej instynkt. Opuściła szybę - nie do końca, tylko na tyle, by zdołali porozmawiać.

- Wszystko w porządku? - zapytał. Jego wyćwiczony głos był miękki jak aksamit. Gdyby nie musiał zachować skupienia, roześmiałby się na dźwięk fałszywej szczerości.

Zagryzła wargę.

- Nie wiem. Złapałam gumę.

„Bardzo ładna dziewczyna” - pomyślał, widząc ją z bliska. Zerknął jednak w dół, aby sprawić wrażenie, że interesują go opony. Dwie, które mógł zobaczyć, wydawały się w porządku.

- Po drugiej stronie - wyjaśniła, widząc jego spojrzenie. Zdawała się zawstydzona, niewinny rumieniec na twarzy tylko dodał jej urody. Zmarszczyła nosek. - Nie umiem zmienić opony.

Rozejrzał się, by się upewnić, że nikt nie nadchodzi. Deszcz spływał mu strumyczkami po karku, mocząc koszulę, lecz ledwie zwrócił na to uwagę.

- Dzwoniłaś do kogoś? - To było doniosłe pytanie. Teraz się przekona, czy to ona. - Rodzice już jadą?

Nawet nie zauważyła pułapki, w którą wchodzi. Rodzice z pewnością ostrzegali ją przed nieznanymi, lecz powinni byli się bardziej postarać.

Pokręciła głową; zaróżowione policzki sprawiały, że wyglądała tak niewinnie...

- Zostawiłam komórkę w domu - przyznała.

Zastanawiał się chwilę, jakby nie był pewien, co zrobić dalej - choć słysząc jej słowa, zaczął realizować wcześniej ułożony plan. Zabębnił palcami o karoserię poniżej okna, jakby rozważając kilka opcji, i w końcu znowu się odezwał.

- Hm, nie mam narzędzi do zmiany opon, ale mógłbym cię podrzucić do domu.

Instynkt ponownie ją zaalarmował. Z niepokoju, jaki przemknął po jej uroczej buzi, mężczyzna wywnioskował, że nie jest przekonana do tego pomysłu. Może jednak rodzice wykonali lepszą robotę, niż sądził.

Wycofał się, chcąc zetrzeć wyraz niepewności z jej twarzy.

- W samochodzie mam komórkę. Może do kogoś zadzwonisz? Znowu zagryzła wargę, żując ją nerwowo.

- Aha. Tak, pewnie - odparła, posyłając mu swój najładniejszy uśmiech, mówiący „byłabym bardzo zobowiązana”. Takiego uśmiechu dziewczynki uczą się bardzo wcześnie. Jej prezentował się szczególnie uroczo. - Jeśli jest pan pewien, że to nie kłopot. Rozejrzał się znowu, by się upewnić, że są sami, choć wiedział, że tak.

Potrafił sobie radzić w tej grze. Nic go bardziej nie kręciło.

Uśmiechnął się znowu, ojcowsko i opiekuńczo.

- Jasne, że nie. - A potem wypowiedział słowa, które miały mu zdobyć jej zaufanie na dobre. - Gdyby żona się dowiedziała, że zostawiłem cię tutaj bez pomocy, wygarbowałaby mi skórę. Poza tym jesteś tylko parę lat starsza od naszej córki, a chciałbym, żeby ktoś jej pomógł w podobnej sytuacji.

To wystarczyło. Była jego.

Patrzył, jak odpina pas. Ogarnęła go elektryzująca fala podniecenia. Nie mógł uwierzyć we własne szczęście, dziewczyna

sprawiła, że wszystko stało się niemal zbyt proste - sama pchała mu się w objęcia.

Cofnął się, kiedy uchylila drzwi.

- Bardzo dziękuję za to, co pan dla mnie robi - powiedziała, otwierając parasolkę nad głową. Wyciągnęła ją w jego stronę, oferując mu osłonę przed deszczem, kiedy ją prowadził do swojego samochodu. - Rodzice mnie zabijają za to, że zapomniałam komórki, ciągle nudzą, jakie to ważne, żeby planować wszystko z wyprzedzeniem.

Spojrzał na nią, myśląc, jak mądrze brzmią ich rady, i poczuł wdzięczność, że dziewczyna tak mało się nimi przejęła. Znowu jednak odezwał się opiekuńczym tonem:

- Oni mają rację, wiesz? Nie można być zbyt ostrożnym. Otworzył drzwi od strony pasażera i schylił się, by sięgnąć do wnętrza.

Była zaskoczona, kiedy się wynurzył bez telefonu, lecz z czymś zupełnie innym. Jej oczy rozszerzyły się z przerażenia, gdy rozpoznała przedmiot w jego ręce, po czym na jej wyrazistej twarzy odmalowała się panika.

Zanim jednak zdążyła choćby krzyknąć, dopadł ją, pchnął silnie do wnętrza wozu i szepnął jej do ucha, zasłaniając usta dłonią:

- Nie pogarszaj własnej sytuacji. Obiecuję, że nie zrobię ci nic złego.

Musiał ją przekonać. Ważne, by wiedziała, że nie planuje jej skrzywdzić.

Widział przerażenie w jej oczach, kiedy zwinęła się w kłębek, drżąc i cicha, z ustami zaklejonymi srebrną taśmą.

- Przysięgam... nie zrobię ci krzywdy...

Powtarzał te słowa szeptem, raz po raz, otwierając bagażnik i delikatnie układając ją w środku.

Złożywszy obietnicę, czule przyglądał włosy dziewczyny i zatrzasnął bagażnik.

Ruszając, pogwizdywał wesoło.

To była udana noc.

ROZDZIAŁ 2

PO PIERWSZYCH DNIACH huśtawki emocjonalnej w szkole - przynajmniej jeśli chodzi o uczucia wobec Jaya - Violet poczuła się lepiej. Bynajmniej nie oznaczało to, że skrepowanie zniknęło, lecz podobnie jak wiele innych rzeczy w jej życiu zbladło i zostało zepchnięte na drugi plan przez codzienne zajęcia, stając się czymś na kształt białego szumu. A z szumem umiała sobie radzić.

Dziewczyny nie przestały snuć się za Jayem - prawdę mówiąc, było wręcz przeciwnie: jakby się rozmnożyły i podążały za nim *en masse*. I chociaż Violet nie skarżyła się na głoś, zaczął to robić Jay, dzięki czemu poczuła się jeszcze pewniejsza swojej pozycji na szczycie... przynajmniej chwilowo.

Jay skarżył się na nagły brak prywatności w szkole, narzekał na tłumy wielbicielek czekające na parkingu, obok jego szafki na przerwie, a nawet w stołówce podczas lunchu. Zaczął rozpoznawać te dziewczyny i u każdej znajdował jakiś irytujący nawyk lub drażniącą skazę charakteru, które działały mu na nerwy coraz bardziej z każdym mijającym dniem.

Nie zwracały uwagi - ani nie przejmowały się - że Jay traktuje je jak powietrze. Violet mimo woli odczuwała cichą satysfakcję, lecz trzymała buzię na kłódkę, a swoje opinie (choć zgadzała się z Jayem) zachowywała dla siebie.

Była wdzięczna, że nią nigdy nie wydawał się znudzony.

Między nimi przynajmniej z pozoru nic się nie zmieniło. Rano jeździli razem do szkoły, chodzili na wspólne zajęcia, razem jedli lunch i rozstawali się, kiedy go podwoziła pod dom - jedynie po to, by wieczorem porozmawiać przez telefon. To było miłe. I chociaż Violet w duchu marzyła o czymś więcej, taka sytuacja jej odpowiadała.

Piątkowe popołudnie niczym się nie różniło od innych.

Violet rzuciła plecak na podłogę za drzwiami wejściowymi.

Mama niezbyt czule nazywała to miejsce cmentarzyskiem butów, bo wszyscy zostawiali tam płaszcze, obuwie, parasole - a w jej wypadku także plecak.

Violet doleciał zapach obiadu, więc wiedziała, że mama przyrządziła lazanie. Nie zdradził tego napływający aromat; kiedy mama w ogóle coś gotowała, to właśnie tę potrawę. I bynajmniej nie serwowała rodzinie domowego wyrobu, tylko mrożone gotowe danie z supermarketu. Lazania i świeża francuska bagietka z piekarni: ten posiłek Violet jadła bardzo często. Matkę trudno byłoby zaliczyć w poczet bogiń domowego ogniska.

- Vi?! To ty?! - zawołała.

Dziewczyna kopnięciem zrzuciła buty i ruszyła w ślad za zapachem.

- Cześć - przywitała Maggie Ambrose córkę, kiedy ta stanęła w progu przestronnej kuchni w wiejskim stylu. - Jak ci minął dzień?

Violet wyjęła z lodówki napój i usiadła przy stole.

- Nieźle. A tobie?

Matka nie potrzebowała większej zachęty.

- Prawie skończyłam obraz, nad którym pracuję... No wiesz, ten z rzeką. Nie mogę się doczekać, żeby ci go pokazać.

Niedostatek zdolności kulinarnych z nadatkiem wynagradzał jej entuzjazm do malowania. Violet spojrzała na poplamiony farbą kitel matki i tęczę kolorów pod krótko obciętych paznokciami i się uśmiechnęła.

- Zdaje się, że trochę tej rzeki zostało na tobie.

Pani Ambrose popatrzyła na swoje dłonie. Skrzywiła się. -Fakt. Cóż, ryzyko zawodowe. Mam nadzieję, że jesteś głodna. Robię lazanie na kolację.

- Świetnie - odparła córka z całym zapałem, na jaki potrafiła się zdobyć w tych okolicznościach.

Był to zapewne jedyny gorący posiłek, jaki zje w tym tygodniu, więc nie odważyła się skarżyć w obawie, że matka zastrajkuje na dobre.

- Och, i nie zapomnij, że dzisiaj wieczorem opiekujesz się maluchami stryja Stephena. - Violet zrobiła minę, ale matka wytrąciła jej wszelkie argumenty, nim dziewczyna zdążyła zaprotestować. - Obiecałaś, pamiętasz? Prosił cię ponad miesiąc temu i powiedziałaś, że się zgadzasz.

Miała rację i Violet o tym wiedziała, ale nie powstrzymało jej to przed paroma jękami.

- Jasne, w porządku, miesiąc temu wydawało mi się, że to dobry pomysł. Teraz już nie tak bardzo. W dodatku jest weekend.

Violet uwielbiała kuzynów, ale nie uważała ich za idealnych kandydatów na randkę w piątkowy wieczór.

Matka uniosła brwi.

- Och, a miałaś jakieś fantastyczne plany, Kopciuszkę? Wyjście na wielki bal?

Violet roześmiała się, słysząc ironię w jej słowach.

- Nie. Ale nawet nicnierobienie jest lepsze od opieki nad maluchami. - Westchnęła, wiedząc, że się nie wykręci. - No dobra. Pójdę odrobić lekcje, żeby je mieć z głowy przed wyjściem.

Poszła do swojego pokoju i padła na stos skłębionych koców na łóżku. Przemknęło jej przez myśl, żeby się pouczyć, ale miała na to cały weekend, a w tej chwili, otulona puchową kołdrą, postanowiła się zdrzemnąć... tylko minutkę...

A potem jeszcze jedną. Jej oddech stał się równy... spokojny. ... wkrótce zapadła w sen.

To zapach przywołał ją do świadomości. Nie dobrze znany aromat topionej mozzarelli i sosu marinara, tylko przenikliwa, ostra, niemal parząca woń.

Otworzyła oczy i rozejrzała się wokół.

Zmarszczyła nos. Miała wrażenie, że źródło woni znajduje się tuż obok, ale za nic nie potrafiła odgadnąć, co to jest. Skrzywiła się i wstrzymując oddech, zaniepokojona usiadła na łóżku.

- Co, u licha...?

Rozejrzała się po pokoju, nie bardzo wiedząc, czego szuka. Ale znalazła. Tuż przed sobą.

Kiedy drzemała, na łóżko wskoczył kot. Odór płynął od niego w niemal widocznych, marszczących się falach, przypominających powietrze migocące nad piaskiem pustyni.

- Carl! - rzuciła oskarżycielsko do tłustego kocura i równocześnie zgoniła go z łóżka i przepędziła w kierunku drzwi.

Wstrzymując oddech, zniosła go po schodach, chociaż wił się, aby się uwolnić, zanim zostanie wyrzucony na zewnątrz. Podobne zmagania odbywały się już wcześniej. Violet jak zwykle wygrała, zatraskując drzwi przed nosem nieszczęsnego zwierzaka.

W gruncie rzeczy nie wyeliminowało to zapachu, ale oddalenie przyniosło dziewczynie pewną ulgę - przynajmniej mogła oddychać.

Właściwie to nie była wina kota. Chodziło o owe niezwykle echa, które tylko Violet potrafiła wyczuć: działały w dwie strony.

Echo - nieważne, jak się objawiało w wypadku danego stworzenia - przenosiło się także na tego, kto przyczynił się do jego śmierci. Naznaczało zabójcę na zawsze.

Dzięki Carlowi zrozumiała to już jako mała dziewczynka. Wtedy właśnie zauważyła związek między nieżywymi myszami i wymiętoszonymi ptakami, które kot zostawiał jej na progu - każda ofiara była oznaczona wyraźnym kolorem, zapachem lub wrażeniem, które tylko Violet odróżniała. Nie miały one związku z samymi stworzeniami.

Carl nosił na sobie takie same piętna, jak gdyby morderstwo w jakiś sposób go splamiło. Były identyczne z echemi emitowanymi przez szczątki, a o ile Violet mogła stwierdzić, nie istniały dwa identyczne. Były rozmaite. Niepowtarzalne.

Wiedziała też, że polujące zwierzęta - jak jej kot - często noszą naraz kilka takich wyczuwalnych znamion, o d c i s k ó w śmierci, blednących dopiero po pewnym czasie, lecz nigdy nie znikających całkowicie.

Carl był wytrawnym myśliwym i choć Violet wiedziała, że leży to w jego naturze, nie umiała opanować rozdrażnienia, jakie w niej budziły nieprzyjemne piętna, które przynosił.

Niestety, tym razem okazały się szczególnie odstręczające. Jakiś czas krążyła niespokojnie po domu, szukając miejsca wolnego od przenikliwego odoru, lecz wyglądało na to, że nie uda się jej znaleźć bezpiecznej strefy... przynajmniej nie całkowicie. Ucieszyła się więc, że wyjdzie, nawet jeśli tylko po to, by się zaopiekować dziećmi ciotki i stryja.

Szybko zebrała rzeczy - w tym plecak z zadaniem domowym - powiedziała mamie, że zje coś u stryja, i niemal biegiem pomknęła do względnie bezpiecznego samochodu.

Stryj Stephen, najmłodszy z czterech braci - co najmniej osiem lat młodszy od rodziców Violet - sprawował funkcję szefa policji w ich małym miasteczku i stanowił całkowite przeciwieństwo ojca dziewczyny. To znaczy był zabawny, przynajmniej kiedy nie znajdował się na służbie. W pracy stawał się rzeczowy i poważny... zupełnie jak tato.

Jego żona, ciotka Kat, niedawno skończyła trzydziestkę, lecz młodzieńcze zachowanie sprawiało, że trudno było odgadnąć jej wiek.

- Jak wyglądam? - zwróciła się do bratanicy.

- Czemu pytasz ją? - poskarżył się dotknięty Stephen Ambrose, stojący tuż obok Violet.

Kat wywróciła oczami, jakby miała do czynienia z małym rozgarniętym dzieckiem.

- Bo ciebie interesuje jedynie, czy już skończyłam się przebierać.

Powiedziałbyś, że wyglądam dobrze we flanelowej koszuli nocnej, gdyby to znaczyło, że możemy wychodzić.

Uśmiechnął się do niej.

- Wyglądała byś dobrze we flanelowej koszuli nocnej.

Kat spojrzała przepaszająco na Violet.

- Widzisz, co muszę znosić?

-Uważam, że wyglądasz świetnie - szczerze zapewniła dziewczyna. A potem dodała: - Ale na twoim miejscu zrezygnowałabym z naszyjnika, to trochę za dużo.

Ciotka skinęła głową, jakby całkowicie się zgadzała, i zdjęła długi łańcuch z szyi.

- Widzisz? Dlatego spytałam ją.

- Wielki Boże, kobieto, idziemy tylko do kina - zażartował.

- O, nie, nie. Na kolację i do kina. To randka, przyjacielu, lepiej o tym pamiętaj. - Mówiąc to, szturchnęła go w pierś. - Poza tym prawie nie wychodzę. Chcę ładnie wyglądać.

Stryj Stephen objął żonę w talii i przyciągnął do siebie.

- N a p r a w d ę wyglądasz dobrze. Jesteś pewna, że musimy iść do miasta?

Ciotka potrząsnęła głową i zignorowała jego komentarz, zajęta wydawaniem Violet ostatnich instrukcji, by pozmywała po kolacji, położyła spać maluchy i do kogo ma dzwonić w nagłych wypadkach - wszystko to Violet już wiedziała.

- Kathryn Ambrose... - oznajmił stryj, próbując zwrócić jej uwagę. - Chodźmy już. Violet da sobie radę.

Wyszli wśród zamętu pożegnalnych pocałunków i nakazów „bądźcie grzeczni” skierowanych zarówno do dzieci, jak i bratanicy. Kiedy drzwi wreszcie się zamknęły, Violet zabrała się do sprzątanania bałaganu po kolacji.

Joshua właściwie nie nabrudził, wyczyścił talerz i prawie nie nakruszył wokół siebie. Podobnie jak ojciec Violet, był schludny i pedantyczny.

Za to okolica wysokiego krzeselka Cassidy wyglądała jak po wybuchu bomby. Dwulatka miała keczup na rączkach i buzi, a nawet we włosach, i umycie jej zajęło Violet prawie kwadrans. Przynajmniej kładzenie do łóżek przebiegło niemal bez problemów. Cassidy była zmęczona i usnęła dziewczynie na rękach, kiedy ją kołysała.

Uporawszy się ze wszystkim, Violet rozsiadła się na sofie, wdzięczna za chwilę wytchnienia - póki nie rozległ się dzwonek do drzwi.

Poczuła się rozdarta: z jednej strony chciała zachować ostrożność - nie wiadomo, kto się znajduje na zewnątrz -z drugiej hałas mógł obudzić śpiące dzieci, szczególnie kapryśną dwulatkę.

- Kto tam? - zapytała półgłosem, nie otwierając.

- Jay! - usłyszała cichą odpowiedź. Uśmiechnęła się i odryglowała drzwi.

Na widok przyjaciela stojącego na progu jej puls przyśpieszył.

- Co ty tu robisz?

Wzruszył ramionami i bez zaproszenia wpakował się do środka.

Violet wiedziała, że stryj i ciocia nie widzieliby w tym nic złego.

Odkąd pamiętała, ona i Jay stanowili coś w rodzaju oferty promocyjnej: „Weź jedno, drugie dostaniesz za darmo”. Wszyscy przywykli, że wszędzie zjawiają się razem.

- Twoja mama powiedziała, że tu jesteś, więc postanowiłem wpaść. - Rozgościł się na sofie opuszczonej przez nią przed momentem. - Nie masz nic przeciwko, prawda? - spytał, choć doskonale wiedział, że nie.

Violet darowała sobie odpowiedź, po prostu usiadła. Było jej zimno, więc oparła się o poręcz sofy i wsunęła stopy pod

uda chłopaka, by się rozgrzać. Jay przeskakiwał po kanałach, aż znalazł film, który obojgu odpowiadał, choć zbliżał się już do końca.

Tak właśnie było między nimi: sprawy układały się bez wysiłku. Zrobiła miskę popcornu w kuchence mikrofalowej i obejrżeli resztę filmu, przerzucając się żartami. Violet starała się nie pamiętać, jak blisko siedzi Jay... jak ciepłe jest jego ciało... jak pociągająco pachnie.

Zanim pojawiły się napisy końcowe, gawędzili już o różnych sprawach, zapominając o filmie. Dyskutowali o nowych nauczycielach i o tym, co mówią uczniowie już uczęszczający do nich na zajęcia. O krążących po szkole plotkach: kto z kim chodzi i kto z kim zerwał w czasie wakacji.

Violet starannie unikała wzmianki o dziewczynach, które nagle zaczęły zauważać Jaya. On najwyraźniej nie miał oporów przed poruszeniem tego tematu, bo w pewnej chwili spytał:

- A co sądzisz o liściku od Elisabeth Adams?

Lissie Adams była ostatnią osobą, o której Violet chciała rozmawiać w tej chwili, nie mogła jednak tak po prostu zignorować pytania. Tym razem żaden nauczyciel nie wybawiłby jej z opresji.

- Dziwne, nie? - A potem z jej okropnych, nieposłusznych ust wyrwało się pytanie, którego obawiała się zadać. - I co, zadzwonisz do niej?

Obiecała sobie, że nie będzie się przejmować odpowiedzią, i skupiła się na zachowaniu obojętnego wyrazu twarzy.

- Hm. Raczej mnie to nie interesuje.

Violet zatkało ze zdumienia; zaniepokoiła się, czy przypadkiem nie otworzyła buzi.

- Jak to? Czemu nie chcesz się umówić z Lissie Adams?
Zabrzmiało to, jakby zamierzała nakłonić Jaya, by zadzwonił do popularnej czwartoklasistki, ale nie mogła się powstrzymać. Nie mieściło jej się w głowie, że jakiś chłopak mógłby nie chcieć umówić się z Lissie.

Wzruszył tylko ramionami.

- Bo nie.

A potem zadał pytanie, którego Violet obawiała się najbardziej.

- Czemu cię interesuje, czy do niej zadzwonię?

- Nie interesuje - skłamała. - Po prostu się zdziwiłam. Myślałam, że już to zrobiłeś.

- Hej, a słyszałaś o Bradzie Millerze? - rzucił, zapominając o Lissie. - Zabrali mu wóz po kolejnym mandacie za przekroczenie prędkości. Oczywiście próbował wmówić rodzicom, że został wrobiony.

Violet się roześmiała.

- Jasne, policja nie ma nic lepszego do roboty, niż organizować operacje specjalne, by złapać jakiegoś idiotę z trzeciej klasy. - Chętnie skorzystała z okazji, by porzucić temat licznych wielbicielek Jaya.

Także się roześmiał, kręcąc głową.

- Jesteś bez serca - odparł i szturchnął ją lekko, lecz kontynuował w podobnym duchu: - Jak teraz będzie krążył po ulicach, wypatrując niczego niepodważających pierwszo- i drugoklasistek, skoro nie ma samochodu? Która dziewczyna zgodzi się wsiąść na kierownicę jego górala?

- O ile wiem, ty sam dalej jeździsz wozem mamusi. Brad przynajmniej ma rower - odparowała, zwracając się nagle przeciw niemu.

Znowu ją lekko pchnął.

- Hej! - próbował się bronić. - Oszczędzam! Nie wszyscy są bogaci z domu.

Oboje zaśmiewali się do łez. Żart o bogatym domu należał do ich stałego repertuaru, przywoływali go zawsze, kiedy jedno miało coś, czego nie posiadało drugie.

- A k u r a t ! - zaprotestowała Violet. - Widziałeś mój samochód?

Tym razem to ona go pchnęła i na sofie rozpętała się wojna na całego.

- Biedna bogata dziewczynka! - rzucił oskarżycielsko Jay, unieruchamiając jej rękę.

Zachichotała i uderzyła go kostkami dłoni w udo, tak aby ścierpła mu noga. Stał się jednak zbyt silny i to, co dawniej bywało zapasami równych sobie przeciwników, teraz wyglądało na totalną klęskę Violet.

- Aha, pewnie. A kto niby... - wydyszała, chichocząc nadal i próbując się wyrwać z jego nagle zbyt mocnego uścisku. Dłonią prawie dosięgnął jej wrażliwego na łaskotki boku - poleciał na Hawaje... - wierzgnęła, próbując go z siebie zrzucić - w czasie wiosennej przerwy... w zeszłym... - a ponieważ zaczął ją łaskotać, przycisnąwszy całym ciałem, ostatnie słowo wykrzyknęła głośno: - ROKU?!

Tak ich zastali ciotka i stryj.

Violet nie usłyszała odgłosu klucza w zamku ani dźwięku otwieranych drzwi. Jay był równie nieświadomy powrotu właścicieli domu. Kiedy więc Stephen i Kat przyłapali ich splątanych na sofie - twarz Jaya znajdowała się o parę centymetrów od twarzy Violet, śmiejącej się i wijącej pod jego ciężarem – po-

winni byli wpaść w nie lada tarapaty. I gdyby chodziło o inną parę nastolatków, tak właśnie by się stało.

Ale nie chodziło o inną parę nastolatków. Chodziło o Violet i Jaya... a w ich wypadku to było normalne.

Nawet ciocia i stryj wiedzieli, że to niemożliwe, by doszło między nimi do czegoś niewłaściwego. Kat jedynie rzuciła z naganą, że przez swoje hałasy mogą obudzić maluchy.

Po wyjściu Jaya Violet wzięła od stryja zarobione trzydzieści dolarów i się pożegnała.

Jadąc do domu, próbowała zignorować bezsilną złość z powodu reakcji cioci i stryja - czy ściślej: braku reakcji - kiedy zastali ją z Jayem na sofie. Z jakiegoś powodu czuła się gorzej, wiedząc, że nawet znający ich dorośli nie widzą szans, by ona i Jay zostali prawdziwą parą.

Przygnębiona liczyła przynajmniej na to, że po powrocie nie zostanie w domu kota.

ROZDZIAŁ 3

TEJ NOCY VIOLET NIE ZAZNAŁA WIELE SNU; ulatywał, wymykał się jej raz po raz. Rzucała się nerwowo, dręczona przez urywane i niepokojące marzenia.

W najciemniejszej godzinie poczuła nagle, że wszystko jest nie tak. Nie potrafiła określić dokładnie, co ją martwi, lecz wrażenie nie mijało. Majaczyło nad nią nieokreślone zagrożenie, wobec którego czuła się bezradna... bezsilna.

Wiedziała, że „nowy, lepszy Jay” jest do pewnego stopnia winien niepożądanych uczuć. W gruncie rzeczy jednak nie chodziło o nie... a przynajmniej stanowiły tylko część problemu.

Violet nie potrafiła sprecyzować, na czym polega kłopot. Dwa razy wstała i udała się na poszukiwanie Carla, sądząc, że to on jest przyczyną jej nocnej udręki. Pomyślała, że być może zanadto się zbliżył, zbyt szybko po kolejnym zabójstwie. Mimo usilnych prób nigdzie go jednak nie znalazła.

Wreszcie nieco po szóstej rano, gdy słońce rozjaśniło cienie i wspięło się na niebo, Violet się poddała. Kiedy ogarniało

ją takie uczucie, mogła zrobić tylko jedno, by uporządkować splątane myśli.

Szybko i cicho włożyła szorty i T-shirt. Mimo że wrześnieowy dzień zapowiadał się ciepły, było jeszcze wczesnie i Violet poczuła chłód, więc po namyśle wciągnęła przez głowę bluzę. Na palcach wymknęła się z domu. Mijając w kuchni Carla, zauważyła, że odór dolatujący od niego zaczyna słabnąć.

Przed domem głęboko zaczerpnęła przesyconego rosą powietrza i włożyła do uszu słuchawki od iPoda.

A potem zeskoczyła z ganku i ruszyła biegiem, z początku wolno, równym, miarowym krokiem. Wyraźnie uświadamiała sobie nieśpieszny rytm uderzających o ziemię stóp. Skupiła się na tempie. Oczyściła umysł i skoncentrowała się na dostrojeniu oddechu do odmierzonej, regularnej pracy nóg.

Dotarła do końca drogi i nagle skręciła ostro na lewo, porzucając asfalt na rzecz żwirowej ścieżki wijącej się między grupami wysokich cedrów i jodeł. Słyszała chrzęst żwiru pod tenisówkami, odzywający się wibracjami w mięśniach.

Kiedy dotarła do polany z widokiem na rozciągające się w dół pastwiska, panorama gór na barwnym tle świtu sprawiła, że głęboko westchnęła z zachwytu.

Urodziła się i wychowała w Buckley, prowincjonalnym miasteczku przy drodze łączącej zachodnią i wschodnią część stanu. Buckley leżało w cieniu Mount Rainier, u stóp Gór Kaskadowych. Od dziecka oglądała majestatyczny biały szczyt, przewyższający górski łańcuch, wspaniały widok nigdy jednak się jej nie znudził. Strzelista góra przytłaczała pomniejsze wzniesienia, wydawało się, jakby się nad nimi unosiła. Na tle błękitnego nieba wyglądała niczym latarnia morska.

Widok robił tym większe wrażenie, że nie codziennie dało się go podziwiać. Oczywiście Violet wiedziała, że góra z a w s z e tam jest, lecz w okolicy, gdzie słońce nieczęsto wychylało się zza zasłony chmur, jeszcze większą rzadkością było zobaczyć Mount Rainier w całej krasie, nieprzysłoniętą przez mgłę ani wysokie obłoki, często zakrywające ją aż po szczyt... Albo wręcz niewidzialną za warstwą gęstych, ciemnych chmur, których nie mogły przebić najwytrwalsze promienie słońca.

Violet biegła w cieniu góry, jak długo się dało, aż żwirowy szlak skręcił znowu w lewo, wijąc się przez bujne, zielone pastwiska. Była zaskoczona, że rzecz tak drobna jak widok góry o wschodzie słońca niezwykle poprawiła jej nastrój. Ale tak właśnie się stało. Przytłaczające ją złe przecucia zaczęły się rozwiewać; poczuła się lekka, spokojniejsza.

Wpadła w swobodny rytm i pozwoliła myślom wędrować bez przeszkód, niesiona muzyką i regularnością ruchów. Lubiła poczucie kontroli, jakie dawał jej bieg: to, że panowała nad ciałem, nad każdym doskonale zharmonizowanym skurczem mięśni. Czuła się silna, gdy patrzyła na swoje przemierzające ścieżkę stopy ze świadomością, że ma władzę przynajmniej nad tym elementem swojego życia.

Biegając, minęła kilka słabych ech śmierci. Przywykła do nich - tych, które jej nie wzywały, nie p r z y c i ą g a ły - i potrafiła je kontrolować bez większego trudu. Nie wiedziała, czemu te zapomniane szczątki nie wołają do niej równie głośno jak inne, po prostu tak było.

Inaczej niż w przypadku dziewczyny znalezionej w lesie, kiedy Violet miała osiem lat.

Emilee Marquez skończyła zaledwie czternaście lat, kiedy ją wprowadzono w drodze ze szkoły do domu. Została zamordowana, a następnie ukryta w miękkiej ziemi, tam gdzie Violet ją znalazła. Presja, by dotrzeć do Emilee, była niemal obezwładniająca, poza kontrolą dziewczynki.

Ale dlaczego?

Może dlatego, że minęło niewiele czasu, a może z powodu gwałtowności tej śmierci. „Albo gorzej - pomyślała Violet - ponieważ dziewczyna była tak bardzo świadoma tego, że umiera. Może rozumiała zbyt wiele i to wspomnienie zostało na zawsze wypalone na jej ciele w postaci echa”.

Mordercy nie odnaleziono, lecz Violet nigdy nie zapomniała tamtego dźwięku - upiornego głosu - który ją wezwał. Czasami w sennych koszmarach słyszała go w supermarkecie albo galerii handlowej, wpadała na zabójcę naznaczonego odciskiem śmierci Emilee niczym ulotnym cieniem, przed którym nie był w stanie uciec.

Violet odsunęła od siebie tę niepokojącą myśl.

Zwolniła tylko raz, kiedy zrobiło się jej zbyt gorąco w grubej bluzie, więc ją zdjęła i zawiązała w pasie. Bez trudu wróciła jednak do poprzedniego tempa i na nowo wpadła w swój rytm.

Gdy po pełnym okrążeniu dotarła do domu, T-shirt miała mokry od potu i czuła się odprężona od stóp do głów.

Widok samochodu na podjeździe i siedzącego na masce chłopaka sprawił, że straciła nieco świeżo odzyskanego spokoju.

Pod wpływem jego uśmiechu poczuła, jakby jej nogi były zrobione z czegoś równie solidnego jak galareta. Niewykluczone, że trzęsły się wcale nie z powodu porannej przebieżki.

- Co ty tu robisz? - spytała, zwalniając do spacerowego kroku, i oparła ręce na biodrach. Potrzebowała paru minut, by jej oddech wrócił do normy. Nieco więcej, jeśli Jay nie przestanie się tak szczyrzyć.

Wzruszył ramionami.

- Nie mogłem spać. A ty?

Wybrała oczywistą odpowiedź i postarała się, by w jej głosie zabrzmiało jak najwięcej ironii.

- Tak się składa, że tu mieszkam.

- Cha, cha, co za inteligencja. Pytałem, czy też nie mogłaś spać. - Pokręcił głową, myśląc o jej ripoście. - No wiesz, skoro biegasz o wpół do siódmej rano... Chciałem zobaczyć, czy nie poszłabyś na spacer albo coś. - Zmierzył ją wzrokiem trochę rozczarowany i zeskoczył z maski. - Ale wygląda na to, że po-szłaś beze mnie.

Nie ma sprawy, i tak na to nie liczyłem.

Violet nie podobało się, że naraz bardzo mocno zapragnęła znaleźć się jak najbliżej Jaya. Chociaż przez ostatnich dziesięć lat byli prawie nierozłączni, nagle stało się bardzo pilną sprawą mieć go tuż obok siebie.

- W porządku, chodźmy.

- Jesteś pewna? - Nie wydawał się przekonany. - Nie chcę cię zmuszać.

- Nie, serio, nie mam jeszcze ochoty siadać do lekcji.

I już szła w kierunku drzew otaczających dom, a Jay podążał w ślad za nią.

Długi czas wędrowali w ten sposób, jedno za drugim, nie odzywając się do siebie ani słowem. Violet zawsze, od czasów dzieciństwa, przejmowała prowadzenie, kiedy wchodzili pod osłonę drzew. I choć po tylu latach Jay czuł się tu równie swo-

bodnie jak ona, puszczał ją przodem, chętnie ustępując jej pierwszeństwa.

Robiło się coraz cieplej. Prognozy zapowiadały na koniec lata temperatury w okolicach dwudziestu pięciu stopni. Violet uwielbiała tę porę roku i rozkoszowała się ostatnimi dniami pogody, nim słońce zniknie za zimowymi chmurami. Lato zwykle zjawiało się późno w tej części świata, dopiero w pierwszych dniach lipca przychodziło na dobre, więc wysoka temperatura była mile widziana, nieważne jak długo miała się utrzymać.

- I co, idziesz dzisiaj nad jezioro? - spytał Jay, zrównując się z Violet, kiedy oboje zwolnili.

Wybierając się na przechadzki takie jak ta, nie zmierzali do żadnego konkretnego celu, odwiedzali miejsca, gdzie bywali tysiące razy, podążali dobrze znanymi ścieżkami.

Violet wzruszyła ramionami.

- A ty?

Znała odpowiedź; oboje ją znali. Tego dnia nad jeziorem Tapps odbywała się wielka impreza na zakończenie lata. Coś w rodzaju ostatniego szaleńczego balu, zanim słońce opuści ich do przyszłego roku. Mieli się pojawić prawie wszyscy znajomi.

Jay także wzruszył ramionami.

- Zastanawiam się nad tym.

Violet uśmiechnęła się w duchu na myśl, że spędzi z nim jeden z ostatnich leniwych letnich dni nad jeziorem.

- Taak? - mruknęła. Właściwie nie potrzebowała zaproszenia z jego strony. - Może też przyjdę.

Uśmiechnął się szeroko, praktycznie wyszczerzył do niej, i przez ciało dziewczyny przepłynęła fala dziwnego ciepła, nie-mającego nic wspólnego z pogodą.

- Fajnie. Możesz prowadzić - zaproponował.

Pokręciła głową. Gdyby chodziło o kogoś innego, pewnie poczułaby się wykorzystywana, lecz niezmiernie cieszyło ją to, że posiada coś, czego Jayowi brak - tym bardziej że nagle zaczęło się wydawać, jakby miał wszystko, czego pragnęła.

- Fajnie, możesz mi postawić benzynę - stwierdziła i uniosła brwi, prowokując go, by się nie zgodził.

Zanim zdążył odpowiedzieć, zdarzył się wypadek.

A wszystko z winy Jaya. Przynajmniej tak to zapamiętała Violet. Gdyby się nie uśmiechnął, kiedy na niego spojrzała, nigdy nie straciłaby koncentracji... ani gruntu pod nogami.

Ale się uśmiechnął, a ona się zagapiła. Kiedy więc zaczęła stopą o gruby, poskręcany korzeń przecinający ścieżkę, poczuła, że traci równowagę. Jej ciało nadal poruszało się w przód, choć stopa została unieruchomiona, i nim dziewczyna zorientowała się, co się dzieje, runęła na ziemię.

Jay próbował ją złapać, ale wszystko rozegrało się zbyt szybko. Najpierw jej dłonie z impetem uderzyły o twardy grunt, a parę milisekund później ostre odłamki skał na ścieżce rozdzierały jej wrażliwą skórę na kolanach.

Kiedy się zatrzymała, nie była pewna, które rany są poważniejsze: fizyczne czy emocjonalne.

- Vi? Nic ci się nie stało? - spytał Jay, który nagle znalazł się tuż obok i klęcząc, podnosił ją z ziemi.

Palily ją łzy, nie tylko z powodu dotkliwego pieczenia promieniującego z dłoni i kolan. Poczucie upokorzenia zdawało się niemal większe od bólu.

Chłopak pociągnął ją w górę. Dobiegł ją pizmowy zapach jego bluzy i spróbowała wstrzymać oddech. Oho... znalazła się w b a r d z o niedobrym położeniu.

- Jesteś ranna? - Uniósł ją tylko na tyle, by obejrzeć obrażenia. Zagryzła wargę, próbując pohamować łzy. Zamrugła i znowu na niego spojrzała.

- Wszystko w porządku - zapewniła, ale głos jej się załamał, przez co słowa zabrzmiały żałośnie, wręcz rozpaczliwie. Skrzywił się, kiedy się schylił i zobaczył zaczerwienione zadrapania na obu jej kolanach. Ostrożnie otrzepał je z ziemi, wiedziała jednak, że boi się jej sprawić ból, więc ledwie musnął skórę.

- Lepiej wracajmy, trzeba to oczyścić.

Wyprostował się, a potem, zaskakując Violet całkowicie, wziął ją na rękę.

Spróbowała się wyswobodzić.

- Potrafię iść! - zaprotestowała, czując się w jego ramionach jeszcze bardziej dziecinnie. Popatrzył z niedowierzaniem.

- Jesteś pewna? Bo zdaje mi się, że dopiero co widziałem, jak próbowałaś, i nie wyszło ci zbyt dobrze.

Nie wydawał się skłonny, by ją postawić, szedł dalej, nie zatrzymując się.

Roześmiała się, lecz nadal nalegała, chichocząc ze ściśniętym gardłem:

- Serio, postaw mnie! Już jest mi wystarczająco głupio... Nie chcę, żebyś mnie traktował jak inwalidkę.

Zwolnił bez przekonania, po czym opuścił ją na ziemię. W duchu przeklęła własny upór i pożałowała, że Jay nie sprzeciwił się dłużej. Czemu nie mógł oznajmić, że zanieś ją do samego domu?

Zamiast tego wziął ją za rękę.

-Jeśli pozwolisz, mimo wszystko cię przytrzymam. Nie chcę mieć na sumieniu twojego kolejnego upadku. Nie protestowała. Droga powrotna minęła - zdaniem Violet - o wiele za szybko. Jay w mgnieniu oka przeprowadził ją między drzewami, a potem na polanę za domem.

Zanim oboje dotarli na miejsce, rodzice dziewczyny zdążyli wyjść. Ojciec prawie zawsze pracował w soboty, nawet poza sezonem rozliczeń podatkowych, a matka wynajęła stragan na targu i wystawiała tam niektóre obrazy.

Jay uparł się, że wniesie Violet po schodkach prowadzących do tylnego wejścia i tym razem dziewczyna nie opierała się, kiedy ją wziął na ręce. Posadził ją delikatnie na blacie w kuchni, a potem przetrząsał kredens, podczas kiedy tłumaczyła mu, gdzie są plastry. Wrócił z bandażami, gazą, watą, wodą utlenioną i dwiema tubkami maści. Violet wydawało się to lekką przesadą, ale nic nie powiedziała. Chciała się przekonać, co będzie dalej.

- Okej, teraz pewnie zapiecze - ostrzegł Jay, nachylając się i zaczynając oczyszczać rany.

Rzeczywiście zapiekło, bardziej niż się spodziewała, i musiała zagryźć wargę, bo łzy znowu napłynęły jej do oczu. Pozwoliła mu jednak działać dalej i nawet nie drgnęła, co było dużym osiągnięciem, ponieważ musiał usunąć kilka warstw brudu.

Rany były spore, okrągłe i krwawiły. Pomyślała, że wygląda jak mała dziewczynka z ogromnymi zadrapaniami na kolanach, i wyobraziła sobie, że pokryją się strupami, a może nawet zostaną po nich blizny. Czowała się jak kompletna idiotka, potykająca się o własne niezgrabne nogi.

Jay był delikatny i pracował bez pośpiechu, starając się nie sprawiać Violet bólu. Podziwiała jego cierpliwość, a dotyk sprawiał jej perwersyjną przyjemność. Nie podniósł wzroku, by zobaczyć jej reakcję, póki nie uznał, że dostatecznie oczyścił rany. Następnie sięgnął po wodę utlenioną i watę.

Dziewczyna wciągnęła powietrze, kiedy przesunął zwilżonym kłębkim po krwawiących, zaczerwienionych otarciach. Jay podniósł wzrok, ale nie oderwał ręki. Zamiast tego podmuchał na kolana zupełnie jak jej mama, kiedy Violet była małą dziewczynką. Pomyślała, że to słodkie, i przysięgłaby, że w tym czułym momencie Jay pociągał ją jeszcze bardziej niż dotąd. Kiedy skończył, ostrożnie nałożył maść antybiotykową, a potem nakleił plastry z opatrunkiem.

- Zrobione - oznajmił, podziwiając swoje dzieło. - Jak nowe.

Violet spojrzała na nedorzecznie wielkie opatrunki na swoich nogach, a potem sceptycznie popatrzyła na przyjaciela.

- Naprawdę tak sądzisz? „Jak nowe”? Uśmiechnął się.

- Myślę, że poradziłem sobie całkiem nieźle. Nie moja wina, że nie potrafisz chodzić.

Spojrzała na niego spode łba. Chciała mu powiedzieć, że to je go wina, że nigdy by się nie potknęła, gdyby pozostał tym samym, dawnym Jayem, chudym i dziecinny. Wiedziała jednak, że to bez sensu. Kiedyś musiał dorosnąć. Po prostu nie przyszło jej do głowy, że zmieni się w takiego przystojniaka. Zamiast tego rzuciła więc oskarżycielsko:

- Nie upadłabym, gdybyś mnie nie popchnął. Wypowiedziała to bezczelne łgarstwo z kamienną twarzą. Jay pokręcił głową.

- Nie udowodnisz tego. Nie masz świadków, więc byłoby tylko twoje słowo przeciw mojemu.

Zachichotała i zeskoczyła na ziemię.

- Aha, ciekawe, kto ci uwierzy? O ile pamiętam, to ty gwizdnąłeś baton czekoladowy w Safewayu.

Docinając mu, pokuśtykała do zlewu i zmyła brud z mniejszych zadrapań na dłoniach.

- Co z tego?! Miałem siedem lat. Zresztą to ty kazałaś mi schować go w rękawie. Formalnie to ty byłaś mózgiem tej małej operacji, prawda?

Stanął z tyłu i obejmując ją ramieniem, nalał jej na ręce trochę wody utlenionej.

Ten gest całkowicie ją zaskoczył. Zamarła, kiedy poczuła na plecach dotyk jego ciała. Nie mogła myśleć o niczym innym i na chwilę odebrało jej mowę. Patrzyła, jak środek dezynfekujący pieni się białymi bąbelkami na zaczerwienionych zadrapaniach. Jay nachylił się ponad jej ramieniem, odstawił buteleczkę i przyciągnął do siebie jej dłonie. Na nie też podmuchał. Tym razem Violet nawet nie poczuła pieczenia.

I nagle było po wszystkim. Puścił jej ręce i gdy stała oszołomiona, podał jej czystą ścierkę, by je osuszyła.

Kiedy zwróciła się do niego twarzą, zorientowała się, że scena zrobiła wrażenie tylko na niej. Dotyk Jaya był całkowicie niewinny.

Patrzył na Violet, jakby się spodziewał, że coś powie. Nagle uświadomiła sobie, że cały czas ma otwarte usta. Po chwili opanowała się na tyle, by znowu się odezwać.

- No cóż, gdybyś nie zrobił tego na oczach kasjerki, może by się nam udało. A tak oboje dostaliśmy szlaban.

Riposta była błyskawiczna; zdawać by się mogło, że nie uważał jej wahania.

-Niektórzy powiedzieliby, że to nas uratowało przed stoczeniem się na dno.

Zawiesiła ścierkę na uchwycie drzwi piekarnika.

- Może mnie uratowało, bo ciebie sąd cały czas ma na oku.

Zawsze cię uważałam za diabelskie nasienie.

Spojrzał zaskoczony.

- Serio, diabelskie nasienie, Vi? Kiedy skończyłaś dziewięćdziesiąt lat i zaczęłaś używać takiego języka?

Pchnęła Jaya, kiedy go mijala, chociaż wcale nie stał jej na drodze. Szturchnął ją żartobliwie z tyłu i zadrwił:

- Nie prowokuj, bo znowu podstawię ci nogę.

W tym momencie bardziej niż kiedykolwiek Violet zapragnęła, by zauroczenie szybko minęło i by znowu zostali z wykłymi kumpłami. W przeciwnym razie zanosilo się na bardzo długi i bolesny rok.

ROZDZIAŁ 4

W DOMU NAD JEZIOREM kłębił się tłum młodzieży, nadciągającej - i odpływającej - falami. Trawnik schodzący do wody był usiany ręcznikami i kocami, butelkami z wodą i puszkami napojów, torebkami chipsów oraz nastolatkami wszelkich kształtów i rozmiarów, pławiącymi się w letnim upale, by złapać ostatnie promienie słońca.

Dom należał do babki Gabrielle Myers, szkolnej koleżanki Violet i Jaya. Violet nawet nie znała wszystkich, którzy zjawili się tego dnia, i wątpiła, by wszyscy znali Gabrielle lub jej babkę - po prostu przyszli ze znajomymi albo znajomymi znajomych, którzy ich zaprosili.

Dziewczyna celowo włożyła na kostium kąpielowy długie, luźne spodenki do koszykówki w nadziei, że przynajmniej częściowo zakryją bandaż. Nie minęło jednak wiele czasu, nim najpierw jedna, potem druga... a potem już co najmniej dwadzieścia koleżanek zauważyło opatrunki wystające spod szeleszczącego materiału i Violet musiała opowiedzieć o porannym wypadku.

Jay z zachwytem przysłuchiwał się historii. Za każdym razem podchodził, by wtrącać uwagi - i oczywiście ubarwienia - na temat swojej roli. We własnej opinii okazał się wybawcą przyjaciółki, wyniósł ją z lasów, po czym dokonał medycznych cudów, by uratować jej nogi przed amputacją. Violet - oraz, co irytujące, każda inna dziewczyna w zasięgu słuchu - mimo woli chichotała, słuchając żartobliwych peanów Jaya na własną cześć. Przypadkiem podeszła w samą porę, by usłyszeć, jak chłopak prezentuje swoją wersję opowieści grupce zasłuchanych wielbicieli.

- Bohater? Nie, to przesada... - puszył się.

Violet wywróciła oczami i odezwała się do Grady ego Spencera, kolegi ze szkoły.

- Wierzysz mu?

Grady spojrział na nią z troską.

- Powiedz serio, Violet, dobrze się czujesz? Wygląda, że to poważna sprawa.

Dziewczyna zawstydzila się, że przesadzona relacja Jaya zyskuje jej szczerze współczucie znajomych.

- Nic mi nie jest - zapewniła, a kiedy nie wydawał się przekonany, dodała: - Naprawdę, tylko się potknęłam.

Szturchnęła Jaya.

- Dasz wreszcie spokój, bohaterze? Robisz z siebie idiotę.

Roześmiał się i wraz z nią oddalił od tłumu na trawniku. Kiedy jednak zabrali się do rozkładania swoich rzeczy, kilka dziewczyn, które wcześniej rozścieliły koce w innych miejscach, jak gdyby nigdy nic przeniosło się bliżej. Violet przekonała się, że nawet ona budzi większe zainteresowanie niż

zwykle, i czuła wyraźnie, że fanki Jaya wykorzystują ją, by się zbliżyć do obiektu swoich westchnień.

Łatwo jednak było je ignorować, tym bardziej że w okolicy zauważyła kilka prawdziwych koleżanek. Zostawiła Jaya otoczonego kręgiem *groupies* i ruszyła w stronę, gdzie opalała się Chelsea i parę innych dziewczyn ze szkoły.

Na jej widok Chelsea przesunęła się, robiąc Violet miejsce na wielkim, kolorowym ręczniku plażowym.

- Co słyszeć? Podobno rano prawie połamałaś nogi? Violet usiadła obok przyjaciółki, która wyglądała w ciemnofioletowym bikini jak wcielenie doskonałości; dzięki uprawianiu sportu miała pięknie wyrzeźbioną figurę.

- Cha, cha - mruknęła Violet, krzywiąc się z udawaną ironią. - Drobiazg.

Na moment uniosła nogawki szortów, pokazując obandażowane kolana.

- Widzisz? Zwykle zadrapania.

- Hm, jeśli wierzyć Lissie i Valerie, to Jay praktycznie uratował ci życie.

Sposób, w jaki wypowiedziała imiona obu dziewczyn, przypomniał Violet, że przyjaciółka niezbyt lubi cheerleaderki. Nie starała się szczególnie ukrywać faktu, że uważa je za próżne i powierzchowne.

Violet stanowczo lubiła Chelsea za coś więcej niż niewątpliwy talent sportowy.

- E tam, po prostu jak zwykle okazałam się niezgrabą - przyznała z uśmiechem.

- Aha, całe szczęście, że Jay był na miejscu i cię złapał. - Chelsea oparła się na łokciach i przeniosła wzrok na jezioro. - Masz zamiar pojechać na skuterze?

Violet podążyła za jej spojrzeniem i zobaczyła, jak jeden z jaskrawo pomalowanych ślizgaczy przycumowuje do nabrzeża. Rodzice Gabrielle mieli dwie takie maszyny, stały przycumowane przy domku przez większą część lata, by były pod ręką, ponieważ często z nich korzystano. Violet uwielbiała wypływać na otwarte jezioro i ścigać półksiężycowate fale pozostawione przez przepływające łodzie, podczas gdy wiatr smagał jej twarz i rozwiewał włosy. Było to wspaniałe uczucie.

-Trochę później pewnie tak, ale najpierw chwilę poleżę. Nie masz nic przeciwko, żebym tu została?

- Jasne, że nie. Ale wygląda na to, że twój chłopak cię zdradza - zauważyła Chelsea jak zwykle obojętnym tonem.

Violet widziała, o czym mowa. Jay zapinał kapok, zamierzając wsiąść na skuter, który właśnie wrócił z jeziora. Zobaczyła grupkę dziewczyn z sąsiedniego liceum podążającą za nim na nabrzeże niczym stadko zagubionych szczeniąt. Widywała je wcześniej na imprezach i nie zdziwiło jej, że zjawily się tu dzisiaj. Zdawało się, że są tu w s z y s c y .

Jedna z dziewczyn najwyraźniej zebrała się na odwagę i poprosiła Jaya, żeby ją przewiózł, bo też sięgnęła po kapok i nałożyła go na niemal nieistniejące bikini. Czekaając, by chłopak wsiadł na maszynę, podskakiwała z podnieceniem, a potem usiadła za nim, uśmiechając się szeroko i mocno obejmując go w pasie. Violet mgliście ją pamiętała; zdaje się, że miała na imię Savannah. Kiedy machała koleżankom zgromadzonym na nabrzeżu, wyglądała, jakby właśnie wygrała konkurs piękności. Violet próbowała zignorować nagłe ukłucie zazdrości, które poczuła, widząc, jak dziewczyna oplata ramionami Jaya. Odwróciła się, żeby na nich nie patrzeć.

- Nieważne... on nie jest moim chłopakiem.

Chelsea najzwyczajniej puściła tę uwagę mimo uszu, położyła się z powrotem i nasunęła okulary przeciwsłoneczne na oczy.

- Skoro tak twierdzisz.

Violet postanowiła pójść za jej przykładem i wyciągnęła się na ręczniku, który całkowicie wystarczał dla nich obu. Przymknęła powieki i słuchała otaczających ją dźwięków, aż nie potrafiła dłużej zwalczyć znużenia po długiej nocy spędzonej na bezskutecznej pogoni za snem. Wkrótce zaczęła odpływać, a otaczające ją odgłosy przeniknęły do snów. Śniła o muzyce i przyjaciołach, o słońcu i dymie. Śniła o uśmiechu swojego najlepszego kumpla, o falach i plażach.

Coś połaskotało ją w rękę i wyrwało ze snu. Pomyślała, że to pewnie mrówka, i spróbowała strząsnąć natręta, nie otwierając oczu. Kiedy jednak z powrotem położyła dłoń na brzuchu, poczuła, jak łaskotanie przesuwa się od nadgarstka do łokcia i z powrotem.

Uchyliła powiekę - drugie oko nadal miała zamknięte - i niechętnie uniosła głowę, by sprawdzić, co to takiego. Ktoś przeciągał źdźbłem trawy po wrażliwych włoskach na jej przedramieniu. Podążyła spojrzeniem po trawce, od trzymającej ją ręki do twarzy - i zobaczyła uśmiechającego się do niej Jaya.

- Cześć - powiedział, wyrzucając źdźbło. - Myślałem, że nigdy się nie obudzisz.

Violet usiadła.

- Długo spałam? Pokręcił głową.

- Niedługo, pewnie niecałą godzinę. Chciałem spytać, czy masz ochotę przeplłynąć się ze mną na skuterze.

- A twoje dziewczyny? - Kiedy tylko Violet wymknęły się te słowa, zawstydziła ją własna małostkowość. Spróbowała obrócić je w żart i dodała: - Myślałam, że wszystkie przyjaciółki Savannah czekały na nabrzeżu na swoją kolej.

Roześmiał się.

- Nie, tylko ona. Prosiła, żebym jej pokazał, jak się prowadzi skuter.

Violet ucieszyła się, bo chłopak najwyraźniej nie zauważył nutki irytacji w jej głosie. - I co, pokazałeś? Wzruszył ramionami.

- Próbowałem, ale chyba nie była zbyt zainteresowana. Zdaje się, że chciała po prostu, żeby ktoś ją przewiózł.

„Nie ktoś - pomyślała Violet. - Ty. Chciała, żebyś ty ją przewiózł”. Czasami zastanawiała się, czy Jay naprawdę jest aż tak tępy, czy po prostu nie zamierza odwzajemniać awansów dziewczyn. Kiedy jednak zobaczyła niewinny wyraz jego twarzy, zrozumiała, że musiało chodzić o to pierwsze. Ach, ci mężczyźni! Rozejrzała się i spostrzegła, że kiedy spała, przyjaciółki ją zostawiły.

- Gdzie się podziała Chelsea? - spytała. - Widziałem, jak znikła na skuterze z Jules. Więc jak, przejedziesz się ze mną?

Violet nie miała ochoty na oczach wszystkich zdejmować szortów i pokazywać kolan niezdarnej pięciolatki, ale bardzo chciała wypłynąć na skuterze. Rozważyła opcje: zostać, gdzie jest, okryta od bioder po kolana workowatym strojem, czy śmignąć po wodzie na maszynie z potężnym silnikiem w poszukiwaniu fal, przez które mogłaby skoczyć.

Zwyciężyła awanturnicza strona jej natury. - Przejadę się, ale j a prowadzę - uparła się z szerokim uśmiechem.

Jay nie protestował. Nigdy się nie spierał; był zbyt wielkim luzakiem, żeby dbać o to, czy zostanie kierowcą, czy pasażerem. Na nabrzeżu Violet z pewnym skrepowaniem zdjęła szorty, ukazując kolana i strój kąpielowy. Rozejrzała się dokoła, by sprawdzić, czy ktoś się gapi, ale nikt nie zwracał na nią uwagi. Wzięła kapok, zapięła go i wsiadła na skuter. Jay zajął miejsce tuż za nią i swobodnie objął jej biodra, kiedy uruchamiała silnik i przypinała do kapoka kluczyk umocowany na spiralnie skreconej lince - środek bezpieczeństwa gwarantujący, że motor zgaśnie, jeśli kierowca spadnie do wody.

Pochyliła się i wolno wypłynęła na jezioro, wypatrując innych maszyn i pływaków, którzy zapuścili się zbyt daleko od brzegu. Kiedy jednak dotarła do końca zatoki i minęła boje wyznaczające granicę strefy ograniczenia prędkości, przekręciła dźwignię przepustnicy i rozpędziła skuter. Schyliła się mocniej, pozwalając, by wiatr chłodził jej twarz. Pierwszy raz od wielu tygodni, od czasów na długo przed rozpoczęciem szkoły, zapomniała, że Jay siedzi tuż za nią. Był jak każdy inny pasażer na tylnym siedzeniu, kiedy skoncentrowała się na raptownych zrywach maszyny na krótkich, wzburzonych falach.

Sunęli, odbijając się od powierzchni, niekiedy podskakując wyżej, rozkoszując się chwilami, kiedy skuter trafiał na większą falę i podrywał się, wyskakiwał nad wodę i chwilę unosił się w powietrzu.

Violet czuła się wolna. Słyszała, jak Jay śmieje się za jej plecami. Skręciła ostro najpierw w prawo, a potem w lewo.

Wiedział, że dziewczyna próbuje go zrzucić i manewrując miniaturową motorówką, sprawdza, jak długo pasażer zdoła się utrzymać, zanim wpadnie w lodowatą toń. Był jednak teraz silniejszy niż dawniej i szybciej reagował. Zdawało się, że odgadnął, w którą stronę skreśli Violet, zanim jeszcze sama podjęła decyzję.

Po chwili zwołała obok pływającego pomostu na jeziorze i przycumowała skuter.

- Chcesz się wykapać? - zapytała i wyjęła kluczyk ze stacyjki, nie czekając na odpowiedź; było to bardziej stwierdzenie niż pytanie.

Jay zeskoczył na pomost. Violet przyłączyła się do niego, lecz zamiast zanurkować, przycupnęła na skraju i zanurzyła stopy.

- Spokojnie tu - zauważył w roztargnieniu chłopak. Usiadł obok.

- Mhm - westchnęła, machając nogami i rozpryskując wodę.

- Jak kolana? - Musnął palcami wilgotne bandaże. Wzruszyła ramionami.

- W porządku... - i dodała z ironicznym uwielbieniem: -Dzięki tobie, oczywiście.

A żeby okazać wdzięczność, chlapnęła w jego stronę.

Szturchnął ją ramieniem, ale nic nie powiedział. Siedzieli chwilę, rozkoszując się samotnością oraz obecnością przyjaciela. Czuli się przyjemnie i swobodnie.

Violet westchnęła, wiedząc, że czas zaczyna ich gonić.

- Trzeba wracać. Na pewno ktoś już czeka na przejażdżkę. Jay wstał, w milczeniu przyznając jej rację; z ociąganiem poszła za jego przykładem. Nie pytając, czy chłopak chciałby się zamienić miejscami, znowu usiadła z przodu.

Nie śpieszyli się z powrotem, leniwie meandrując wzdłuż brzegu i omijając z dala szybsze łodzie. Długo trwało, nim Violet uświadomiła sobie, że jej trasa bynajmniej nie jest przypadkowa, że coś ją przyciąga... wzywa.

Coś ją wołało.

Coś martwego.

Nie powiedziała nic Jayowi - przede wszystkim dlatego, że na razie nie było o czym. Zamiast tego skoncentrowała się na tym, skąd może dochodzić sygnał. Wydawał się silny, zaskakująco silny jak na otwartą wodę. Zastanawiała się, czy to oznacza, że śmierć nastąpiła niedawno. Może nawet tego dnia?

Poddała się wrażeniu przyciągania, lekkim, niemal nie-uświadomionym szarpnięciom. Przepatrywała wodę w poszukiwaniu jakiegoś znaku, zmysłowego kierunkowskazu, który by ją poprowadził. Nie czuła żadnego niezwykłego smaku ani zapachu. Nie dobiegał jej żaden niewyjaśniony dźwięk... przynajmniej taki, który przedarłby się przez hałas silnika skutera. Odniosła wrażenie, że zauważyła coś przed sobą, obok gęstej kępy traw i trzcin wyrastających z wody niedaleko brzegu.

Wyglądało jak spora plama ropy na powierzchni jeziora. Ropa nie byłaby tu całkiem nie na miejscu, mogła wyciec z jakiejś łodzi - lecz mimo to Violet chciała się lepiej przyjrzeć.

Jay nie spytał, co dziewczyna zamierza; jak zwykle po prostu cieszył się przejażdżką.

Im bliżej podpływała do tajemniczej plamy, tym mniej przypominała ona ropę. Miała taki sam tłusty połysk, rzucała tęczę barw na marszczącą się lekko powierzchnię wody. Różniła się jednak od ropy w sposób, którego Violet nie potrafiła dokładnie określić.

Póki nie znalazła się tuż obok.

Pilnując, by żaden wodorost nie zaplątał się w śrubę skutera, wychyliła się i zwolniła, by się upewnić, że nie wpłynie na zbyt płytką wodę.

Musi ała sprawdzić, co tam jest.

- Co zobaczyłaś? - spytał w końcu Jay bez większego zainteresowania. Przywykł do włóczęgowskich zapędów przyjaciółki.

- Nie wiem - odparła tylko, zbyt zaintrygowana, by się zagłębiać w dłuższe wyjaśnienia.

Zatrzymała skuter i wstała. Zdawać by się mogło, że spod wody promieniuje wielobarwne światło, skupia się wśród trzciny, a dosięgając powierzchni, rozprasza się we wszystkie strony.

Violet nigdy nie widziała podobnego zjawiska i wiedziała, że świetlne widmo zachowujące się w taki sposób łamie prawa fizyki.

Mogło to być tylko jedno.

W odmętach kryło się coś martwego.

W pierwszej chwili uznała, że to kaczka, a może tylko duża ryba zaplątana w kępę trawy. Jaskrawe światło z głębiny odbijało się od falującej powierzchni wody, a przenikając ją, bladeło w delikatną barwną mgiełkę rozpraszającą się w powietrzu. Violet wbiła wzrok w roślinność, która bliżej brzegu stawała się coraz gęstsza.

Wydało jej się, że zauważyła coś kołyszącego się wśród zieleni wodorostów, lecz nie miała pewności. Zeskoczyła więc ze skutera i ruszyła w tę stronę. Poczowała ostry skurcz ze strachu, lecz mimo to nie umiała się zatrzymać.

- O co chodzi, Vi? - spytał Jay. Tym razem jego zainteresowanie, wręcz niepokój, zdawały się szczere. - Wracaj. J a to sprawdzę.

Za późno. Violet już to zobaczyła. Brnęła w kierunku czegoś kryjącego się wśród przybrzeżnych trzcin.

Wzdęta, blada, opuchnięta skóra otaczała wpatrzone w nią mlecznobiałe oczy. Śmiertelne echo tworzyło aureolę bladego światła, długie włosy spletanymi falami otaczały głowę dziewczyny.

Violet krzyknęła w tym samym momencie, kiedy Jay stanął obok i zobaczył to co ona. Objął ją ramionami i pociągnął w tył.

ROZDZIAŁ 5

POMOC PRZYBYŁA W POSTACI policjantów z komendy Bonney Lake oraz Brygady Strażacko-Ratowniczej z East Pierce, pierwszych służb reagujących na wezwanie w tej części jeziora. Violet owinięta w gryzący wełniany koc siedziała na tyle wielkiej czerwonej karetki, trzymając na kolanach pojemnik.

Zwymiotowała dwa razy, odkąd Jay odciągnął ją od wodnego grobu. Nigdy nie reagowała tak na znajdowane zwierzęta, lecz z jakiegoś powodu widok martwej dziewczyny, unoszącej się bez życia pod powierzchnią wody, wywołał u niej mdłości. Dopiero kiedy pierwszy szok minął, żołądek się uspokoił. Trzymała teraz pojemnik tylko na wszelki wypadek.

Zresztą mnóstwo spraw odwracało jej myśli od problemów z wrażliwym żołądkiem.

Znalezienie się w pobliżu tylu mężczyzn - i kobiet - zawodowo noszących broń trochę wytrącało ją z równowagi. Nie dlatego, by się ich obawiała, tylko dlatego że tacy ludzie używali broni. A ci, którzy jej używali, bywali naznaczeni piętnem śmierci.

Tak jak i całkiem niewinni ludzie.

Niekiedy myśliwi. Prawdopodobnie także weterani. Policjanci - z całą pewnością... może nie wszyscy, ale niewątpliwie wielu z nich.

Piętna, które wyczuwała w tej chwili - pomijając intensywne echo dziewczyny w wodzie - były słabe i niewyraźne, lecz należały do rodzaju, którego Violet unikała za wszelką cenę.

Chyba że, jak teraz, sama odkryła ciało.

Na prośbę Jaya wezwano stryja Stephena i choć jego rejon znajdował się w odległości pół godziny jazdy, szef policji zjawił się w ciągu kwadransa. Violet zastanawiała się, jak wiele czerwonych świateł przejechał na syrenie, by dotrzeć tak szybko.

Nie pytała, bo zupełnie jej to nie obchodziło. Była mu niewypowiedzianie wdzięczna. Natychmiast poczuła się lepiej, gdy zobaczyła, że do niej biegnie, i pozwoliła się zamknąć w niedźwiedzim uścisku jak mała dziewczynka. Mając go u boku, czuła się bezpieczna.

Kiedy ją w końcu puścił i znów mogła oddychać, swobodnym, lecz opiekuńczym gestem objął jej ramiona.

- Rany, Vi, czasem ciężko być w twojej skórze, co? - Znowu ją krótko uściśnął i dodał poważniej: - Naprawdę ci współczuję, że musiałaś to oglądać.

Wzruszyła ramionami.

Stryj najwyraźniej zrozumiał, że Violet nie ma ochoty na rozmowę.

- Zdaje się, że kończą przesłuchiwać Jaya. Zostanę w pobliżu, kiedy będą cię przepytывать, okej? Obiecuję, że nie zostawię cię samej.

Rodzice zjawili się osobno, bo ojciec jechał prosto z pracy. Oboje byli zdenerwowani i zmartwieni; oni także tulili ją

mocno i szeptem łagodnie dodawali otuchy, kiedy kilka razy z rzędu opowiadała, co się zdarzyło, przedstawicielom różnych służb.

Oboje z Jayem szczegółowo zrelacjonowali wydarzenia prowadzące do znalezienia zwłok unoszących się w płytkiej wodzie jeziora, oplecionych wiotkimi pędami wodorostów. Tyle tylko, że sprawozdanie Jaya nie zawierało poważniejszych kłamstw ani sfabrykowanych elementów. Violet żałowała, że jej zadanie nie jest równie proste.

Jednak nie mogło być.

Zbieg okoliczności. Przypadek. Liczyła, że te słowa stworzą welon kłamstwa, pozwolą utrzymać jej dar w tajemnicy.

Najwyraźniej wypadła przekonująco, bo widziała współczucie w oczach kolejnych słuchaczy. Spojrzenia pełne szczerego zrozumienia dla biednej dziewczyny, która dokonała przerażającego znaleziska.

Obecność stryja Stephen'a ją pokrzepiała. W końcu - zapewne szybciej niż zwykle w podobnych sytuacjach - puszczono ją do rodziców. Stephen obiecał odwiedzić do domu Jaya, bo nie udało się skontaktować z matką chłopaka - jedyną kobietą w znanym wszechświecie nieposiadającą komórki.

Violet jechała z tatą, a stryj Stephen zabrał chłopaka ze sobą. Jay nie protestował, wsiadając do szoferki policyjnego wozu, i zaraz spytał, czy może włączyć syrenę.

Przypominał przejętego pięciolatka. Wydało jej się to trochę dziecinne. Ale też naprawdę urocze.

Violet odpowiadał względny spokój w aucie taty. Był zrównoważonym mężczyzną i niekiedy sam fakt, że znajdował się na wyciągnięcie ręki, kołł jej stargane nerwy. Poza tym, inaczej niż mama, która interesowała się New Age i ciągle zachęcała Violet

do „dzielenia się” uczuciami, tato nie starał się na siłę wydobywać z niej informacji. Czekał, aż będzie gotowa, a gdy decydowała, że nadeszła właściwa pora, wysłuchiwał jej z uwagą. Violet odchyliła głowę i próbowała wchłonąć trochę ojcowskiego spokoju.

Po jakimś czasie poczuła, że nie może dłużej milczeć.

- Tam było światło - wyjaśniła. Jej głos brzmiał dziwnie, jakby odbijał się echem w długim, pustym tunelu. Odchrząknęła i spróbowała jeszcze raz. - Zobaczyłam tęczowe światło spod powierzchni wody.

Wiedział, oczywiście. Nie o świetle, ale o tym, że martwe ciało w jakiś sposób ją przyciągnęło.

Milczał, jak miał w zwyczaju. Poważny, opanowany, niewzruszony. Jak zawsze był dla niej opoką.

-Nic nie powiedziałam Jayowi. Po prostu podeszłam do światła, żeby się lepiej przyjrzeć. Jay nawet nie wiedział, czego szukam, póki nie było za późno.

Trzymała oczy zamknięte, kiedy wóz toczył się znaną trasą w kierunku domu.

Ojciec poklepał ją po kolanie. To wystarczyło.

Łzy nareszcie popłynęły, gardło ścisnęło się z zaskakującą siłą.

Ojciec nie odpowiedział, poczuła jednak, że samochód zjeżdża na pobocze, a potem tato przyciągnął ją do siebie. Płakała, tuląc się do niego w zaparkowanym aucie - zdawało jej się, że upłynęły godziny, choć w rzeczywistości zapewne było to kilka minut. Nie obchodziło jej, że stoją przy ruchliwej szosie ani że przywarła do niego niczym małe dziecko. Szlochała nieopanowanie, płacząc nad sobą i dziewczyną znaną w wodzie, i bliskimi, których tamta pozostawiła na tym świecie po swojej tragicznej śmierci.

Violet nie dawała spokoju świadomość, że dziewczyna została zamordowana. Ze ona sama i Jay, a także ojciec oraz stryj, wszyscy wiedzą dzięki zobaczonemu przez nią echu, lecz nie mogą nikomu powiedzieć. Nie wątpiła, że policja to odkryje, że zostaną znalezione dowody na poparcie tego faktu, lecz mimo to nienawidziła tej myśli. Kłamała na ten temat i zmusiła innych - najbliższych sobie ludzi - do zachowania tajemnicy.

Tuliła się do ojca, nawet kiedy łyzy prawie obeschły. Czuła się bezpieczna w jego ramionach.

- Nie chcę tego umieć - wymamrotała schrypniętym głosem w jego wilgotną koszulę. - Nie przeszkadzają mi zwierzęta, nie wiem dlaczego, po prostu nie przeszkadzają. Ale czemu musiałam zobaczyć... to... zobaczyć ją?

Ostatnie słowo wyszeptała tak cicho, że nie była nawet pewna, czy usłyszał.

Poklepał ją po plecach, a kiedy się w końcu odezwał, dziewczyna drgnęła nieznacznie. Każde włókno jej ciała było naprężone.

-Zal mi cię, skarbie — powiedział Greg Ambrose z napięciem w głosie. - Zrobiłbym wszystko na świecie, żeby cię ochronić przed oglądaniem takich rzeczy, i twoja mama też. Wiele byśmy dali, żebyś nie musiała znowu przez to przechodzić.

Odsunął Violet od siebie, by na nią spojrzeć. Oczy miał zaczerwienione.

- Bardzo się zmartwiliśmy, kiedy zaczęłaś znajdować martwe zwierzęta w lasach, choć byłaś jeszcze dzieckiem. Zrozumiliśmy, że odziedziczyłaś dar babci Louise. Obawialiśmy się, jak to na ciebie wpłynie, jak zareagujesz na siłę przyciągającą cię do śmierci. Wiedzieliśmy, że nie możemy w żaden sposób

sprawić, byś przestała je wyczuwać, ale próbowaliśmy cię zniechęcać do odkopywania ciał... Staraliśmy się odwracać twoją uwagę zabawami i przekupstwem. Obiecywaliśmy gumę i ciasteczki, pytaliśmy, czy nie wolałabyś iść na lody zamiast wykopywać zwierzęta... Ale byłaś takim uparciuchem! I zadawałaś sobie wiele trudu, by je znaleźć, nie zaznałaś spokoju, póki im nie urządziłaś prawdziwego pogrzebu. Wydawało się, że przynosi ci to... ukojenie, jak sądzę, kiedy wiedziałaś, że ktoś o nie zadbał. Wymyślałaś nawet zabawne historyjki o swoich zaginionych stworzeniach. Pamiętasz Boba, wiewiórkę bankiera, który zamarzył, bo zapomniał zapłacić rachunek za prąd?

- Roześmiał się i otarł jej policzek kciukiem. - Ciągłe się obawiałem telefonu od szkolnego psychologa. Lecz nauczyciele uważali po prostu, że jesteś t w ó r c z a .

Violet pamiętała, że tato zawsze jej pomagał, kiedy okoliczne zwierzęta - przeważnie psy - odnajdywały płytkie groby na jej cmentarzu i wydobywały małe ciała. To on nauczył ją kopać głębiej i przykrywać miejsca pochówku ciężkimi kamieniami, żeby padlinożercy nie mogli się dostać do pogrzebanych szczątków.

A gdy psy nie dawały za wygraną, pomógł jej zbudować ogrodzenie z siatki.

- Kiedy znalazłaś w lesie tamtą dziewczynę, bałem się, czy to będziesz umiała znieść. Oboje z mamą martwiliśmy się, że to zbyt wielki ciężar dla tak małej dziewczynki. Ale dałaś sobie radę. Z początku płakałaś, miewałaś nawet koszmary, lecz odzyskałaś równowagę. A gdy tamta biedaczka została pochowana, bezpiecznie złożona w grobie, wydawało się, że po prostu - wzruszył ramionami - wróciłaś do normalnego życia. -
Palcem uniósł jej podbródek. - Tym razem też ci się

uda. Znam cię, Violet. Dojdiesz do siebie. Na pewno. Zaufaj mi.
- Uśmiechnął się do niej.

Violet próbowała odpowiedzieć uśmiechem, ale nadal czuła się nieszczęśliwa. Nie potrafiła tego dokładnie wyjaśnić, ale przypominało to uczucia, zanim pogrzebała któreś ze swoich zwierząt: niepokój, rozkojarzenie... Tyle tylko, że było gorsze... znacznie, znacznie gorsze. Miała wrażenie, jakby ją przytłaczała ciężka, dusząca pierzyna ciemności, i rozpaczliwie pragnęła utorować sobie drogę na swobodę. Nie podzielała optymizmu ojca. Wydawało jej się, że nigdy nie wyrwie się na wolność. Lecz w jakiś sposób, choć nie wierzyła w jego wizję, poczuła się lepiej, już tylko słuchając jego słów. Dojdzie do siebie.

- Powinniśmy wracać do domu - przypomniała mu, nagle pragnąc odwrócić uwagę od swojej osoby. - Mama pewnie się złości, że nas nie ma tak długo.

- Aha, na pewno usłyszę od niej parę słów. - Ojciec poklepał ją po udzie i uruchomił silnik.

Violet nie potrafiła się otrząsnąć z przenikającej ją do głębi melancholii. Odchyliła się na fotelu i zamknęła oczy, zastanawiając się, czy koszmary z czasów dzieciństwa wrócą, by znowu nawiedzać jej sny.

OBSERWACJA

CHAOS PANUJĄCY NA SCENIE ZBRODNI bardzo go ucieszył. Jego efektem był idealny poziom zamieszania, pozwalający mu ukryć się wśród bieganiny. Stać się niewidocznym. Właśnie tak, jak lubił.

Uwielbiał polowanie, podniecało go. Lecz to... to była grzeszna przyjemność.

Patrzeć, jak jego dzieło zostaje objawione światu.

Oczywiście wiedział, że tak się stanie. Wcześniej czy później.

Ostatecznie wybrał wodny śmietnik na ruchliwym jeziorze.

Wkrótce ktoś musiał na nią trafić. Zdumiało go jedynie, jak szybko to nastąpiło.

Lecz dzień był upalny i ludzie całymi hordami zjeżdżali nad wodę, więc nie zdziwił się aż tak bardzo.

Nie miało to znaczenia. Scena była czysta. Zadbał o to. Jak zawsze zachował ostrożność. Żadnych świadków, żadnych dowodów. Nic, co pozwoliłoby go powiązać ze sprawą.

Idealnie.

Policjanci i strażacy połączyli siły, chcąc zachować kontrolę nad wydarzeniami, kiedy przeczesywali wodę i przeszukiwali brzeg. Patrzył, jak gapie przepychają się, aby popatrzeć na akcję trwającą tuż nad wodą. Podobała mu się ich energia, nienasycony głód makabrycznych szczegółów, nieważne, jak drastyczne czy wstrząsające się okażą.

Dosłownie umierali z pragnienia.

Stanął bardzo blisko i podstuchiwał, jak się napawają.

Mówili o jego dziele, o tym, co zrobił, nie uświadamiając sobie ani przez chwilę, że jest wśród nich.

Podniecało go to. Czuł się potężny. Pełen życia.

Wiedział, że ryzykuje. Nie powinien tu przychodzić. Już zauważył przelotne spojrzenia ludzi, którzy go znali i w razie potrzeby umieliby go zidentyfikować. Cieszył się, że jest zamaskowany czapką i okularami przeciwsłonecznymi, i celowo trzymał się w pobliżu mężczyzn o podobnym wzroście, by nie rzucać się zanadto w oczy. W tak licznym zbiegowisku byli osobnicy wszelkich typów.

Pozwolił myślom wędrować swobodnie, gdy przyglądał się ludziom cisnącym się wokół niego. Nietrudno było znaleźć dziewczyny, jakie lubił, dziewczyny, które by się nadały. W skąpych bikini i superkrótkich szortach odsłaniających gładką, nieskazitelną skórę wydawały się szczególnie urocze. Może spotka je znowu, w innym miejscu, w innym czasie.

Wiedział jednak, że nie wolno mu tu zostać. Im dłużej czekał, tym bardziej rosła szansa zdemaskowania, szczególnie w tego rodzaju otoczeniu.

Schylił nisko głowę i zaczął przemykać pod prąd gapiów przepychających się bliżej jeziora. Zza ciemnych szkieł rzucał spojrze-

nia we wszystkie strony, zapamiętując scenę, by później, gdy zostanie sam na sam z myślami, przypomnieć sobie każdy szczegół. Każdy najdrobniejszy brudny detal. To był dobry dzień. Zobaczył dość, by zyskać spokój. Na jakiś czas.

ROZDZIAŁ 6

TAMTEN DZIEŃ NAD JEZIOREM był jak ostatni dzień lata nie tylko w opinii Violet, lecz wszystkich. I chociaż kalendarz mówił co innego, pogoda potwierdziła to wrażenie, bo wbrew prognozom zapowiadającym wysoką temperaturę, już następnego ranka zmieniła się w ponurą i nieprzyjemną.

Violet z trudem przetrwała pierwsze dwadzieścia cztery godziny. Wciąż czuła się przygnębiona - najpierw nocnymi ciemnościami, potem ciężkim smutkiem niekończącej się niedzieli. Unikała towarzystwa, przesiadywała godzinami w swoim pokoju, jednym uchem słuchając muzyki dolatującej przez słuchawki i zapadając w drzemkę tylko wtedy, kiedy wyczerpanie brało nad nią górę. Jay zadzwonił kilkanaście razy i choć bardzo chciała usłyszeć jego głos, nie podeszła do telefonu. Uważała, że jest mu winna przeprosiny za to, na co go naraziła, lecz nie wiedziała, co powiedzieć, by zmazać winę.

Przez pierwsze najtrudniejsze godziny czuła się, jakby lunatykowała.

Nadeszła druga noc i zmęczenie w końcu zwyciężyło. Próbowwała się opierać, spędzać niezliczone godziny w łóżku na zabawie w „co by było gdyby”. A gdyby nie zobaczyła niesamowitych barw unoszących się nad wodą? A gdyby postanowiła nie przyglądać się im bliżej? I najlepsze: a gdyby po prostu była normalna, szła przez życie, z niczego nie zdając sobie sprawy? Rozkosznie nieświadoma obecności zmarłych? W końcu znużył ją własny bunt i wewnętrzny zamęt.

Podobnie jak poprzednio, gdy miała osiem lat, kiedy sen wreszcie nadszedł, zapłaciła za niego wysoką cenę. Na falach podświadomości napłynęły koszmary związane z martwą dziewczyną. Białe, pozbawione życia oczy czujnie obserwowały Violet, kiedy tylko zamykała własne. Nie mogła uniknąć nawet najbardziej szokujących obrazów aż do świtu.

Zbyt szybko zdecydowała się wrócić do szkoły, lecz kiedy to zrozumiała, było już za późno.

Wychodząc z domu w poniedziałek, sądziła, że zmiana otoczenia dobrze na nią wpłynie. Jayowi na widok przyjaciółki kamień spadł z serca i chociaż Violet nadal nie umiała go poprosić o wybaczenie, w obecności chłopaka poczuła się lepiej... prawie jakby wróciła do świata żywych.

Kiedy wchodzili do klasy, ujął jej zimną dłoń. W innej sytuacji ten drobny gest przyprawiłby dziewczynę o mocniejsze bicie serca, lecz dziś jedynie przypomniiał Violet, że nie śpi.

Nie pomyślała, że to, co wydarzyło się w weekend nad jeziorem, nie dotyczyło tylko jej i Jaya. Wydarzenie dotknęło jednak całą szkołę. I każdy, kto zdołał się do niej precyzyjnie, chciał o tym rozmawiać... Wszyscy pragnęli, by opowiadała o zdarzeniu wciąż i wciąż od nowa.

Jak ją znalazła, tę martwą dziewczynę?

Czy ją rozpoznała?

Jak to jest zobaczyć zwłoki?

Czy sądzi, że dziewczyna utonęła? Czy była zakrwawiona? Czy miała ślady pobicia?

Czy brakowało jej jakichś części ciała? Maglowanie nie miało końca.

Ci, którzy lepiej znali Violet - jej przyjaciele - okazywali większą wrażliwość, lecz byli równie gadatliwi. Ich pytania z jakiegoś powodu bardziej wytrącały ją z równowagi niż łatwa do przewidzenia makabryczna ciekawość pozostałych. Były zbyt osobiste.

Czy Violet doszła do siebie? Czy chce o tym porozmawiać? A może jej stryj wspomniał, czy policja wie, kim była martwa dziewczyna?

Miała wrażenie, że obnoszą się z teatralną troską o nią, ale nawet kiedy próbowała zmienić temat - czyli prawie co chwila - zawsze udawało im się powrócić do tego, który ich naprawdę interesował: dziewczyny znalezionej w jeziorze.

Jeden Jay ją rozumiał, jakby tylko on zdawał sobie sprawę, że Violet nie jest jeszcze gotowa. Przez cały dzień nie opuszczał jej ani na chwilę i chociaż Violet uważała, że to o n a jemu powinna okazać wsparcie, wątpiła, by zdołała się wygramolić z czarnej otchłani żalu nad sobą na czas dość długi, żeby tego spróbować. Jayowi najwyraźniej wcale to nie przeszkadzało. Chyba nie przeżywał sprawy równie mocno jak ona.

W domu rodzice okazywali Violet wiele cierpliwości. Słuchali, kiedy chciała rozmawiać - bo z nimi r o z m a w i a ła - lecz gdy umilkła, zostawili ją w spokoju. Zadawali sobie wiele trudu, by jej nie sprawić bólu. Zastanawiała się, czy uważają ją

za aż tak kruchą i wrażliwą. Zamiast wdzięczności czuła irytację, że mają ją za tak słabą.

Przez pierwszy tydzień także stryj Stephen wpadał regularnie, sprawdzając, jak Violet się czuje, i podrzucając ciastka od cioci Kat - prawdziwe, upieczone w domu, nie kupione w sklepie spożywczym w dziale mrozonek. Violet starała się docenić wysiłki ciotki, nie potrafiła jednak wykrzesać z siebie entuzjazmu.

A potem, niemal równocześnie, nastąpiły dwa zdarzenia, które wszystko zmieniły.

Zaledwie tydzień po znalezieniu przez Violet ciała w jeziorze odkryto kolejną martwą dziewczynę.

Dokładnie tydzień po pierwszej, co do dnia.

Dzień później i dwa miasteczka dalej, w niedzielne popołudnie dziewczyna z jeziora - Carys Kneer - została pochowana. ..
złożona na spoczynek.

Na dobre.

Mimo że właśnie znaleziono kolejne zwłoki, Violet poczuła się naraz w zgodzie ze światem. Jakby raptownie otrząsnęła się z odrętwienia.

I tak było.

Dopóki nie zniknęła następna dziewczyna.

ROZDZIAŁ 7

NIM NADSZEDŁ PONIEDZIAŁEK, wszyscy w szkole usłyszeli o odkryciu drugiego ciała. Ta wiadomość wzbudziła sensację nie tylko dlatego, że zginęła kolejna nastolatka, ani że znaleziono ją blisko domu. Wiadomość wywołała większe poruszenie z powodu tego, kim dziewczyna była.

Brooke Johnson nie chodziła co prawda do liceum Violet, White River, ale uczyła się w sąsiednim miasteczku. Jak to bywa z młodzieżą z małych miejscowości, ich kręgi znajomych się nakładały: dziewczyny chodziły na te same imprezy, umawiały się z tymi samymi chłopakami i odwiedzały te same knajpy. Brooke była popularna, co niekoniecznie znaczyło: „lubiana”, lecz zdecydowanie zapewniało jej eksponowaną pozycję w szkolnym rankingu. Violet nie znała Brooke osobiście, lecz wiedziała, o kogo chodzi - tak samo jak uczniowie ze szkoły Brooke wiedzieliby, kim jest Lissie Adams.

To zabójstwo odbiło się głośniejszym echem także dlatego, że dowodziło - przynajmniej w oczach zwykłych ludzi - istnienia jakiegoś wzoru. Te śmierci nie były przypadkowe...

Wszyscy wiedzieli teraz to, co z czego Violet zdawała sobie sprawę od początku: że dziewczyna z jeziora została zamordowana przed wrzuceniem do wody. I choć władze ani nie potwierdzały, ani nie zaprzeczały, że między obiema zabitymi istnieje związek, nikt z miejscowych w to nie wątpił. Dwie dziewczyny porwane, a następnie kolejno zamordowane i porzucone blisko od siebie, w krótkim odstępie czasu - nie wyglądało to na zwykły traf.

W kwestii rzekomego zbiegu okoliczności przeważała opinia: skoro tak się wydaje, to tak jest, i ludzie reagowali odpowiednio. Uruchomiono dyżury psychologów w kilku okolicznych szkołach, między innymi w White River w Buckley. Zorganizowano apele i dodatkowe zajęcia na temat osobistego bezpieczeństwa, zagrożenia ze strony obcych i samoobrony. Nagle każda dziewczyna w szkole zaniepokoiła się o swój los. I choć zgodnie z obowiązującą w szkole zasadą „zero tolerancji” tego rodzaju przedmioty były właściwie niedozwolone, małe opakowania gazu pieprzowego stały się - obok błyszczyka do ust i tamponów - podstawowym wyposażeniem każdej torebki.

W połowie tygodnia w rozmowach powróciły jednak powszednie sprawy i choć bezpieczeństwo nadal było ważną kwestią, nawet śmierć Brooke Johnson została w końcu zepchnięta w cień przez przyziemne zapotrzebowanie na beztrioskie plotki, które wyparły poważny nastrój.

Inaczej było z Jayem: on nie został ani zepchnięty w cień, ani zapomniany. I w miarę jak lato ustępowało miejsca jesieni, liczba snujących się za nim zakochanych dziewcząt rosła z każdym dniem.

Violet, przytłoczona nawałem własnych problemów, na jakiś czas zapomniała o zazdrości wobec koleżanek i wreszcie sobie przypomniała, jak być kumpelą Jaya. W dniach poprzedzających pogrzeb dziewczyny znalezionej w jeziorze tylko Jay utrzymywał ją przy zdrowych zmysłach. Wsuwał jej do plecaka batoniki i zostawiał liściki w szafce, aby wiedziała, że o niej pamięta. Polegała na nim w każdej sprawie, a on nigdy się nie skarżył. A później, kiedy poczuła, że znowu jest dawną sobą - przynajmniej do pewnego stopnia - pozostał przy niej.

Zastanawiała się, czym sobie zasłużyła na takiego przyjaciela, kogoś, kto nigdy się waha i nigdy nie podważa jej decyzji. Kogoś, kto zawsze jest obok... pomocny, zabawny i mądry.

Obserwowała go, stojąc na korytarzu. Przetrzasał szafkę w poszukiwaniu książki do matematyki i chociaż dziewczyna doskonale wiedziała, że podręcznika tam nie ma, nie zdradziła się ani słowem. Na podłogę obok jego stóp spadł plik wymiętych kartek.

Chyba wyczuł, że Violet mu się przygląda, bo się obejrzał.

- Co? - spytał.

- Nic - odpowiedziała, uśmiechając się mimo woli. Zmrużył oczy, uświadamiając sobie, że padł ofiarą żartu. - No co?

Westchnęła i lekko kopnęła jego plecak leżący obok rzędu szafek.

- Masz książkę w plecaku, tępoto - wyjaśniła i ruszyła do klasy.

Usłyszała jęk, a potem huk zatraskiwanej szafki. Po chwili ją dogonił.

- Czemu nic nie powiedziałaś? Czasem naprawdę mnie wkurzasz.

Łatwo było zignorować ostre słowa, bo przeczył im bynajmniej nie karcący ton. Wzruszyła ramionami.

- Fajnie popatrzeć, jak się męczysz.

- Ach, fajnie. Tak właśnie sądziłem. Zbliżył się do nich Grady Spencer.

Grady początkowo był jednym z kumpli Jaya, ale szybko zaprzyjaźnił się także z Violet. Kiedy byli młodsi, w czwartej klasie, zakochała się w Gradym i posyłała mu liściki z pytaniem, czy też ją „lubi”. W jednym narysowała nawet okienka przy odpowiedziach „tak” i „nie”. Wybrał „tak” i oficjalnie zostali parą na resztę roku, co oznaczało jedynie, że ścigała go na przerwie, a on udawał, że mu się to nie podoba.

Pierwszego dnia piątej klasy rozplakała się, kiedy się okazało, że nie mają razem zajęć. I to był właściwie koniec dziecięcego zauroczenia. Później Grady zainteresował się Mirandą Grant, nową dziewczynką ze swojej klasy, a Violet zakochała się w nauczycielu, panu Strozyku.

- Jak leci? - spytał Jay przyjaciela.

Zabawnie było patrzeć na Grady ego, bo podobnie jak Jay w ciągu wakacji urósł prawie piętnaście centymetrów i teraz górował nad Violet. Połowa chłopaków w klasie wystrzeliła i nagle zmieniła się w mężczyzn, druga połowa pozostała dziećmi.

Dziewczyny od paru lat czekały, aż chłopcy je dogonią - i tych, którzy to zrobili, traktowały jak cenną zdobycz. W liceum White River zaczął się sezon łowiecki.

- Po staremu - odparł Grady głosem niższym, niż pamiętała. - Idziecie na mecz w piątek?

- Jasne. Prawda, Vi? - odparł Jay, właściwie odpowiadając w jej imieniu.

- Pewnie. - Wzruszyła ramionami.

Nie oburzyła się; wiedziała, że pójdą. Zaczęła się jesień, a to oznaczało sezon futbolowy. Mecze na własnym boisku były traktowane w miasteczku niemal jak obrzędy religijne.

Zatrzymali się pod klasą, w której Violet i Jay - lecz nie Grady - mieli następną lekcję. Zamiast iść dalej, Grady przystanął.

- Violet, mogę z tobą chwilę pogadać? - Jego niski głos znowu ją zaskoczył.

- Okej, nie ma sprawy - zgodziła się, zaciekawiona, o co chodzi. Jay spojrzał na niego wyczekująco, ale Grady milczał i stało się jasne, że chce pogadać z Violet s a m n a s a m .

Jay nagle poczuł skrępowanie i wycofał się najnaturalniej, jak potrafił.

- Do zobaczenia w środku - powiedział do Violet. Skinęła mu głową, gdy odchodził.

Niepokoiliła się trochę, że odezwie się dzwonek i znowu dostanie uwagę, ale jej ciekawość wzrosła, kiedy się okazało, że Grady nie chce, by Jay był obecny przy rozmowie - i znacznie przewyższyła obawę przed ewentualnym spóźnieniem.

Kiedy zostali sami i Grady nadal nic nie mówił, ponagliła:

- O co chodzi?

Patrzyła, jak chłopak przełyka ślinę - jabłko Adama przesunęło się w górę i w dół. Dziwnie było oglądać starych kumpli w nowym wcieleniu. Zawsze był przystojny, ale teraz wyglądał jak mężczyzna... nawet jeśli nadal zachowywał się jak dzieciak.

Przestępował z nogi na nogę; gdyby się zastanowiła, z pewnością by odgadła, że Grady się denerwuje.

Tymczasem całkowicie błędnie odczytała jego zachowanie.
Pomyślała, że też się boi spóźnić.

- Wolisz pogadać po szkole? Możemy się spotkać na parkingu.

-Nie. Nie. Teraz jest okej. - Niepewnie przeczesał włosy palcami.
Odetchnął głęboko, ale głos nadal mu drżał, kiedy się odezwał. -
Zastanawiałem się...

Spojrzał jej prosto w oczy. Dziewczynę nagle ogarnął niepokój,
co usłyszy. Pożałowała, że pozwoliła Jayowi odejść.

- Zastanawiałem się, czy się wybierasz na imprezę dla ab-
solwentów - wykrztusił wreszcie Grady.

Patrzyła na niego, czując, jakby została schwytana w pułapkę,
niepewna, co odpowiedzieć.

Zadzwonił dzwonek. Oboje drgnęli.

Violet była wdzięczna za wymówkę i uchwyciła się jej jak liny
ratunkowej. Z szeroko otwartymi oczami wskazała drzwi za sobą.

- Muszę... moglibyśmy...? - Znowu machnęła ręką, wiedząc, że
zachowuje się jak idiotka niepotrafiąca sklecić zdania. - Możemy
pogadać po szkole?

Grady z ulgą przyjął odwleczenie trudnego momentu.

- Jasne. Pewnie. Pogadamy po lekcjach.

Odszedł bez pożegnania, a Violet, także z poczuciem ulgi,
spróbowała się niezauważenie wślizgnąć do klasy.

Miała pecha. Nauczyciel wpisał jej spóźnienie i wszyscy się
gapili, kiedy wędrowała na swoje miejsce obok Jaya. Twarz
miała gorącą i zarumienioną.

- O co w tym wszystkim chodziło? - spytał półgłosem. Nadal
czuła, że kręci jej się w głowie. Nie miała pojęcia, co
powiedzieć Grady emu, kiedy lekcje dobiegną końca.

- Grady chyba właśnie mnie zaprosił na imprezę dla absolwentów
- oznajmiła Jayowi.

Spojrzał podejrzliwie.

- Na mecz?

Przechyliła głowę i posłała mu spojrzenie mówiące, żeby się nie wygłupiał.

- Nie, jestem prawie pewna, że chodziło mu o bal - wyjaśniła zirytowana tępotą chłopaka.

Zmarszczył brwi. - I zgodziłaś się?

- Nie. Zadzwonil dzwonek i powiedziałam, że pogadamy później.

Nauczyciel spojrzał w ich stronę, więc udali, że ze sobą nie rozmawiają. Violet uznała, że nie chce podpaść za nieuważanie na lekcji, szczególnie po zaliczeniu spóźnienia, więc skupiła się na wykładzie. Było to jednak bardzo trudne.

Chciała iść na bal, jeszcze zanim Grady ją zaprosił, i liczyła, zapewne na próżno, że zaproponuje jej to Jay - nawet gdyby miało to oznaczać, że wybiorą się tylko jako przyjaciele. Wolą wieczór spędzony w jego towarzystwie, nawet całkiem niewinnie, od wyjścia z każdym innym chłopakiem. Teraz jednak, po rozmowie z Grady, musiała przynajmniej rozważyć nową możliwość. Czemu nie? Przyjaźniła się z nim prawie tak długo jak z Jayem, a skoro Jay uważał, że nie zostaną z Violet parą, zabawnie byłoby się wybrać z kimś innym.

Po lekcji prawie musiała biec, by dogonić Jaya, który wyszedł z klasy w takim pośpiechu, że ledwie zdążyła schować książki.

Pędziła za nim zirytowana, że musi go ścigać.

Kiedy go dopadła, nie próbowała ukryć rozdrażnienia.

- Dokąd tak ci się śpieszy?

Zaczął coś mówić, a potem najwyraźniej zmienił zdanie. -Wcale się nie śpieszę. Po prostu nie chcę także zarobić spóźnienia. Pokręciła głową, patrząc, jak przyjaciel znika w tłumie, rozłoszczona, że przez niego czuje się, jakby zrobiła coś złego. Patrząc na Grady'ego i Jaya, zupełnie nie wiedziała, co myśleć o chłopakach.

Zastanawiała się, czy po lekcjach Jay w ogóle zechce z nią wracać samochodem. Przez cały dzień ją ignorował - a przynajmniej takie odniosła wrażenie. Nawet lunch zjadł z kumplami, zamiast przyłączyć się do Violet i Chelsea. Pomyślała, czy nie zostawić go w szkole, nie pytając, jakie ma plany, ale nie była na niego aż tak rozgniewana. Czekala więc w wozie niemal dwadzieścia minut.

Kiedy usłyszała stukanie w szybę od strony pasażera, podniosła wzrok, spodziewając się zobaczyć Jaya proszącego, by odblokowała drzwi i wpuściła go do środka.

Nie był to jednak Jay, lecz Grady Spencer, i Violet nagle pożałowała, że została dłużej, że nie uległa pierwszej złośliwej myśli i nie zostawiła Jaya na lodzie.

Opuściła szybę, starając się nie sprawiać wrażenia przerażonej widokiem Grady'ego.

-Cześć - powiedziała możliwie radosnym tonem. - Co tam?

- Nie czekasz na Jaya, prawda? - spytał, zupełnie ją zaskakując.

- W pewnym sensie. - Skrzywiła się i nagle poczuła się głupio, że tyle czasu tkwiła w samochodzie. - Czemu?

Wyglądał na zawstydzonego, że to on musi jej powiedzieć, i wykrztusił po chwili wahania:

- Zabrał się z Lissie Adams i paroma jej kumpelami. Violet nie byłaby bardziej zaskoczona, gdyby Grady uderzył ją w twarz, zaś ból, jaki jej sprawiła wiadomość, był porównywalny. Przez moment siedziała w oszołomieniu, kompletnie zaskoczona, nie wiedząc, co powiedzieć czy zrobić.

A potem ogarnął ją gniew podszyty zazdrością i rozgoryczeniem. Nie wiedziała już, co gorsze: to, że Jay pojechał do domu, nie wyjaśniając, czemu jej unika... czy że wrócił z Lissie Adams. Nie miało to jednak większego znaczenia, bo nagle poczuła, że nie jest na niego zła... Była wściekła...

...oraz boleśnie świadoma, że Grady nadal obserwuje ją z niepokojem. Wsunęła dłonie pod uda, by ukryć ich drżenie.

Odetchnęła głęboko, a potem wywróciła oczami i skomentowała:

- Byłoby miło, gdyby mnie uprzedził.

Jakimś cudem zdołała to powiedzieć lekkim, drwiącym tonem, choć gotowała się z frustracji i gniewu.

Grady wyraźnie poczuł ulgę i odzyskał odwagę na tyle, by zadać pytanie, z którym przyszedł.

- Zastanawiałem się, czy myślałaś w ogóle o balu.

Spojrzała na jego. pełną nadziei twarz. Uśmiechał się, nachylony, zaglądając przez okno od strony pasażera. To tylko bal. Jeden wieczór. Miałyby okazję wystroić się i wyjść z kimś, kogo szczerze lubiła.

Przypomniała sobie o Jayu i poczuła, jak ogarnia ją fala gorzkiej nienawiści.

Uśmiechnęła się, patrząc na przystojną twarz Grady'ego, i opuściły ją wątpliwości.

- Tak - przyznała, nagle całkiem przekonana do podjętej przed chwilą decyzji. - Z wielką chęcią pójdę z tobą na imprezę dla absolwentów. Prawdę mówiąc, z nikim innym nie poszłabym równie chętnie.

Wyszczерzył zęby.

- Fajnie. Zadzwoń później i dogadamy szczegóły.

Wyjeżdżając z parkingu trzydzieści trzy minuty po zakończeniu lekcji, pomachała Gradyemu, który wyglądał, jakby właśnie wygrał na loterii i koniecznie chciał się komuś pochwalić.

Skinął jej, ale już tego nie widziała. Głęboko zamyślona, starała się zgadnąć, czemu Jay tak niespodziewanie się na nią zirytował.

ROZDZIAŁ 8

VIOLET SPĘDZIŁA RESZTĘ POPOŁUDNIA na ponurych rozważaniach. Jej gniew rósł coraz bardziej i czuła się coraz gorzej. Postanowiła odrobić lekcje, by skierować myśli na coś innego niż złość na Jaya.

Lekcji było jednak niewiele - pewnie na całym świecie nie znalazłoby się ich wystarczająco dużo, by ją odpowiednio zająć. Myślała o Jayu, rozwiązując zadania z trygonometrii, myślała o nim, pisząc wypracowanie z angielskiego, myślała o nim, nawet czytając o wyprawie Lewisa i Clarka*. I żadna z myśli nie była w najmniejszym stopniu przyjemna.

Wiedziała, że rodzice się niepokoją - wciąż dopytywali, czy dobrze się ma i czy wszystko w porządku w szkole, próbując ją delikatnie skłonić do opowiedzenia o kłopotach. Czuła się trochę winna z powodu swego milczenia - szczególnie po ostatnich wydarzeniach i znalezieniu zwłok dziewczyny w jeziorze

*** Pierwsza amerykańska lądowa ekspedycja, która w latach 1804-1805 pokonała zachodnią część Stanów Zjednoczonych i dotarła do wybrzeży Oceanu Spokojnego (przyp. red.).**

Tapps. Nic jednak nie mogła na to poradzić i zaraz po kolacji - złożonej z pizzy na telefon i paczkowanej sałatki cezara - pośpieszyła do swojego pokoju, gdzie mogła być sama.

Włączyła zestaw stereo i próbowała skończyć zadania z matematyki. Wkrótce jednak, rysując esy-floresy na marginesie, odtwarzała w wyobraźni wydarzenia dnia. Znowu pożałowała, że nie wróciła do domu prosto po lekcjach, nie czekając jak idiotka na Jaya.

Pożałowała też, że zgodziła się iść na bal dla absolwentów z Gradym. Nie zdecydowałyby się na to, gdyby nie wściekłość na Jaya, więc w pewnym sensie także to było jego winą.

Leżała na łóżku na brzuchu, próbując się skupić na kolejnym równaniu, kiedy rozległo się pukanie do drzwi. Udała, że nie słyszy. Nie miała sił wysłuchiwać kazania o tym, że tłumienie uczuć jest niezdrowe i blokuje czakry. Mama jednak nie poddawała się łatwo i zapukała znowu... tym razem głośniej.

Violet ścisnęła czoło dłońmi, by odegnąć ból głowy, który zaczynał właśnie pulsować za oczami - pewnie z powodu zablokowanych czakr - i licząc, że mama nie usłyszy, mruknęła w odpowiedzi:

- No, wejdź już.

Usłyszała, że drzwi się otwierają, ale po prostu nie potrafiła się zmusić do podniesienia głowy. Brakowało jej energii na rozmowę, więc postanowiła skłamać.

- Mam mnóstwo zadane - powiedziała, zanim mama zdążyła spytać, o co chodzi tym razem. - Wszystko w porządku.

Na prawdę. Tylko muszę to skończyć.

Matka nie odpowiedziała od razu i dziewczyna nabrała nadziei, że rodzicielka dała się nabrać i mimo wszystko zostawi ją

w spokoju. Czekwała na dźwięk zatraskiwanych drzwi. Zamiast tego usłyszała głos Jaya.

- Naprawdę wszystko u ciebie w porządku? Bo u mnie nie.

Spojrzała zdumiona. Jay był ostatnią osobą, którą spodziewała się zobaczyć w swoim pokoju tego wieczoru.

Uśmiechnął się przepaszająco.

- Chyba nie wyrzucisz mnie za drzwi?

Nie była pewna, jak zareagować. Naprawdę chciała nadal się złościć; było to łatwiejsze, niż przyznanie, nawet przed sobą, że jej uczucia zostały zranione. Jednak z jakiegoś powodu, kiedy zobaczyła przed sobą Jaya we własnej osobie, gniew częściowo się ulotnił. Nagle pożałowała, że nie może odczytać myśli chłopaka.

Wzruszyła ramionami, mimo wszystko próbując wzbudzić w sobie urazę.

- Nie - mruknęła i czekała nadal, by się dowiedzieć, czemu przyszedł. Podniosła się i przyjrzała mu badawczo.

Usiadł na brzegu łóżka; Violet przechyliła się w stronę Jaya, kiedy materac ugiął się pod jego ciężarem.

- Słuchaj, Violet, strasznie przepraszam za dzisiaj. Nie powinienem wracać bez ciebie. To nie była twoja wina.

Słuchając jego tłumaczeń, poczuła, jak jej serce znowu zaczyna głupio tłuc się w piersi. Umilkł, a po chwili ciągnął:

- Nie chodzi o to, że się wkurzyłem, bo idziesz na bal. Liczyłem, że pójdziesz. - Skrzywił się. Violet pomyślała, że Jay bardzo starannie dobiera słowa i zastanowiła się, czego jej nie mówi. Wypuścił oddech i przyznał: - Chyba po prostu się nie spodziewałem, że wybierzesz się z Gradym.

Więc chodziło o Grady ego? Otworzyła usta i zaczęła coś bąkać, tłumaczyć, że właściwie nie zamierzała się zgodzić na propozycję, zanim jednak zdążyła wtrącić słowo, Jay podjął:

- Ja wiem... to głupie i właściwie to nie moja sprawa, przyjaźnimy się wszyscy od tak dawna i... i sam nie wiem, Violet... chyba nie chciałem, żeby popsuło się między nami dlatego, że umówiłaś się z nim na randkę.

Violet nie czuła już złości, teraz zmagiała się z cichym żalem, że nie potrafi wyznać Jayowi, co do niego naprawdę czuje. On jednak wciąż mówił:

- Ale rozumiem, że nie miałem prawa się o to wkurzać i zachowałem się jak kompletny smarkacz, wychodząc ze szkoły i cię nie uprzedzając.

Skubnęła kłaczek z koca. Okropnie teraz żałowała, że zgodziła się iść z Gradym.

- Nic się nie stało. Ale to nie jest tak, że chodzimy z Gradym ani nic. Chodzi tylko o bal - jeden wieczór - to nic nie znaczy. Obiecuję, że to nie zniszczy niczyjej przyjaźni. Szczególnie naszej.

- Wiem. Nie rozumiem, czemu mnie tak poniosło. Z jakiegoś powodu dałem się zaskoczyć i zachowałem się jak bałwan. Naprawdę mi przykro, Violet.

Szczerłość brzmiąca w jego głosie była jak pieszczota.

Dziewczyna uśmiechnęła się szeroko.

-Aha, już mówiłeś. - Szturchnęła go stopą w skarpetce. -

Wybaczam ci... no wiesz, to, że byłeś bałwanem.

Chwytał jej stopę, przekręcił, tak że musiała się przewrócić na plecy. Zachichotała, czując się lepiej już choćby dlatego, że nie musiała marnować czasu na gniewanie się na Jaya.

Zdecydowała, że to doskonały moment, by wyznać mu to, co zamierzała od pewnego czasu... i czego nie potrafiła powiedzieć wcześniej.

Położył się obok na łóżku. Czekala na uczucie spokoju, które zwykle ją ogarniało, gdy był tuż obok, ale nie nadeszło. Nie rozumiała, czemu jest taka zdenerwowana. Z jakiegoś powodu, leżąc z twarzą tuż przy jego twarzy, poczuła się nieswojo jak nigdy, a jej skrepowanie - i możliwe, że ciepło jego ciała - sprawiło, że się zawahała.

I znowu wydawało się, że Jay odczytał jej myśli. Violet dumala, czy naprawdę tak łatwo ją przejrzeć. Miała nadzieję, że chłopak nie potrafi odgadnąć w s z y s t k i e g o , co jej chodzi po głowie.

- Śmiało, Vi. Możesz mi wszystko powiedzieć.

Jego leniwy półuśmieszek był hipnotyzujący; przyłapała się na tym, że zbyt długo wpatruje się w jego usta.

- Wszystko - zapewnił łagodnie i Violet zaczęła się zastanawiać, jak by to było poczuć ich dotyk na wargach.

„Teraz albo nigdy” - pomyślała z ironią i zamrugala, żeby się uwolnić spod czaru odbierającego jej jasność myślenia.

- Ja... naprawdę mi przykro... z powodu tamtego dnia nad jeziorem. Nie chciałam, żebyś to zobaczył...

Teraz, w samym środku wyjaśnień, jeszcze trudniej było jej znaleźć słowa; nie wiedziała, jak wyrazić to, co czuje. W myślach zawsze mówiła jak ktoś spokojny i pewny siebie, lecz z jakiegoś powodu, kiedy słowa padały z jej warg, brzmiały chaotycznie i urywanie.

-Nie powinnam tam iść... szczególnie że byłam prawie pewna, że... no wiesz, że c o ś tam jest.

Jay pokręcił głową, podparł się na łokciu i spojrzał na nią z góry.
- Nie musisz przeproszać. Wiem, że nie masz kontroli nad tym, co znajdujesz.

Odgarnął jej z twarzy pasmo włosów. Jego słowa były równie łagodne i szczerze jak dotyk.

- Zresztą gdybyś mi wcześniej powiedziała, że coś tam wyczuwasz, i tak bym poszedł. To nie twoja wina, że leżało tam nie jakieś zwierzę, tylko dziewczyna. Po prostu nie chcę, żebyś mnie odsuwała, kiedy coś czujesz. Zbyt długo się przyjaźnimy, Violet. Wolałbym, żebyś mi powiedziała, jeśli kiedyś jeszcze wyczujesz coś dziwnego.

Opuścił dłoń; Violet musiała się opanować, by się nie wzdrygnąć od elektryzującego wrażenia, jakie zostawił jego dotyk.

Zarumienione policzki wciąż jeszcze ją mrowiły w miejscach, gdzie przesunął czubkami palców. Postanowiła, że to dziwne uczucie zachowa dla siebie.

- Wiem, że to nie moja wina, ale powinnam cię przynajmniej ostrzec. - Chciała, by zrozumiał, jak źle się czuła, że kazała mu oglądać coś, czego nie powinien. - Poza tym - dodała - naprawdę mi przykro.

- Jestem prawie pewien, że już to mówiłaś - odparł, wykorzystując złośliwie jej wcześniejsze słowa.

Uśmiechnęła się, desperacko pragnąc, żeby dotknął jej znowu. Miała nadzieję, że Jay nie wyczyta z jej twarzy także tego.

- Po prostu nie chcę, żeby coś stało między nami - dodała w ramach wyjaśnienia.

- Wiem. - Ujął jej dłoń. Swobodnie splótł jej palce ze swoimi.

Violet oparła się o niego i nareszcie poczuła, jak z wolna ogarnia ją spokój.

I wtedy ją pocałował. Delikatnie. Czule. Nie w usta, jak sobie wyobrażała tyle razy wcześniej, tylko w czoło.

Gest był bardzo miły i odrobinę zaborczy.

Miała nadzieję, że to jedynie początek.

ADRENALINA

KAŻDE POLOWANIE *było jedyne w swoim rodzaju, i tak samo dziewczyny.*

Lepiej, jeśli każdej pozbywał się w inny sposób. I w innej okolicy. Stawało się to jednak coraz trudniejsze, bo nieobecności w pracy zaczęły przyciągać uwagę. Ostatnio był więc zmuszony polować bliżej domu, a to oznaczało więcej środków ostrożności niż kiedyś. Oznaczało większą staranność. Drobiazgowość.

Nie można jednak powiedzieć, żeby wcześniej postępował niedbale. Nigdy nie był niedbały; sprzeciwiałoby się to jego najgłębszym zasadom.

Przesunął palcem po krawędzi ostrego jak brzytwa noża wojskowego Ka-Bar. Wiedział, że nie będzie musiał go używać. Przerażenie, jakie broń budziła w dziewczynach, skłaniało je do całkowitej uległości. Wystarczyło pogłodzić ostrze, by ogarnęło go podniecenie większe niż kiedykolwiek w obecności kobiety. Wsunął nóż do torby - nierzucającej się w oczy sportowego worka, który zabierał na każde polowanie - obok taśmy klejącej i plastikowych kajdanek.

Nie martwiły go dodatkowe środki ostrożności, jakie musiał podejmować. Prawdę mówiąc, z jakiegoś powodu większe ryzyko związane z szukaniem dziewczyn tak blisko miejsca, gdzie mieszkał i pracował, podsycalo podniecenie. To było jak sikanie we własnym ogródku: obrzydliwe i niestosowne. Podobało mu się. Spojrzał na siebie w lustrze ostatni raz i ruszył do wyjścia. Zaczęło się polowanie.

Kwadrans po północy był w podłym nastroju.

Nic nie poszło, jak należy. Na ulicach po zmroku nie zobaczył ani jednej obiecującej kandydatki.

Obawiał się tego. Nie sądził, co prawda, że nie znajdzie nikogo, ale podejrzewał, że wybór okaże się ograniczony, a możliwości mało pociągające. W dosłownym sensie. Wolał ładne dziewczyny.

Wiedział, że wieść o zniknięciach się rozeszła, i rodzice starannie pilnują córek. Od każdej reguły jednak istnieją wyjątki.

Głupsze i słabsze zawsze w końcu oddzielają się od stada.

Wszystkie dziewczyny, które widział tego wieczoru, albo chodziły w grupkach, albo nie były warte jego wysiłku.

Właśnie miał zrezygnować, kiedy ją dostrzegł. Przechodzącą przez ulicę. Samotną. I śliczną.

Nie tracił czasu.

- Podwieźć cię? - spytał przez otwarte okno samochodu, zwalniając, by dotrzymać jej kroku.

- Nie trzeba - odparła, podnosząc wzrok tylko na moment, by na niego spojrzeć. - Mieszkam tu niedaleko.

- Nie szkodzi. Czułbym się spokojniejszy, gdybyś się pozwoliła podzucić.

Zwolniła odrobinę, ale nie przystanęła. Zawahała się, lecz nie dała przekonać, dodał więc:

- Biorąc pod uwagę wszystko, co się ostatnio dzieje... no wiesz, te biedne dziewczyny...

Pozwolił, by zdanie zawisło w powietrzu. Zamierzał wzbudzić w niej strach, najwyraźniej jednak źle ją ocenił.

Dostrzegł obawę, bez wątpienia, ale nie tego rodzaju, na jakim mu zależało. Zobaczył, jak po jej twarzy przemyka wyraz niepokoju, i mimo woli zastanowił się, czy ujrzała coś, co umknęło pozostałym.

Przyśpieszyła kroku; widział, jak nerwowo szuka czegoś w kieszeni. Zobaczył przedmiot, kiedy tylko znalazł się w jej dłoni. Telefon komórkowy.

Zamierzała zadzwonić po pomoc.

Nie mógł na to pozwolić. Musiał działać szybko, jeśli chciał ją powstrzymać.

Nacisnął hamulec i ustawił skrzynię biegów na „parkowanie”.

Dziewczyna rzuciła się biegiem do ucieczki, zanim zdążył wysiąść z samochodu.

Szybka była ta mała dziwka!

Popędził za nią, jego ciężkie buty głośno dudniły o chodnik.

Przewaga, jaką zyskała dzięki dodatkowym sekundom na starcie, wkrótce zniknęła z powodu jego większej sprawności.

Poza tym zawsze łatwiej jest być drapieżnikiem niż ofiarą. Ofiary panikują.

Rzucił się na nią od tyłu. Pisnęła, gdy powietrze uszło jej z płuc pod jego ciężarem. Przygniótł ją do ziemi. Komórka potoczyła się po ulicy.

Nim zdążyła złapać oddech, zakrył jej dłonią usta. Złe, że zaczęła uciekać, ale ostatnie, czego potrzebował, to żeby jeszcze zaczęła krzyczeć.

Nie wypuszczając dziewczyny, szybko przetoczył się na plecy, tak że teraz leżała mu na piersi, i rozejrzał się po okolicy, czy nie widać potencjalnych świadków. To by była prawdziwa katastrofa, błąd, którego zdołał uniknąć tak długo.

Nadal jednak byli sami. Tylko we dwoje.

Walczyła, miotając się gwałtownie w jego uścisku, chociaż wyczuwała siłę, z jaką ograniczał jej ruchy. Była niczym szmaciana lalka trzepocząca bezradnie w jego ramionach. Mimo to wzmocnił uchwyt, opierając się instynktowi podpowiadającemu, by ją na miejscu udusić.

Raptownym ruchem zerwał się na nogi, pociągając ją za sobą. Silnik wciąż pracował i samochód był dobrze widoczny dzięki światłom rozjaśniającym ciemną ulicę.

Czuł wściekłość na dziewczynę. Dlaczego uciekała? Nie powinna tego robić; żadna z nich nigdy nie powinna uciekać.

Zakłóciła polowanie... zepsuła mu nastrój.

Sięgnął do wnętrza wozu i otworzył bagażnik. Z tą - tą dziewczyną - nie obchodził się łagodnie; nie zasługiwała na troskę ani kojące zapewnienia.

Kiedy zobaczyła, co mężczyzna zamierza zrobić, mocno go kopnęła. Cisnął nią o twardą krawędź bagażnika, pozwalając, by uderzyła głową o karoserię, a potem wrzucił ją do środka. W ułamku sekundy, kiedy odsłonił jej usta, spróbowała zawołać o pomoc, ale uderzył ją pięścią w szczękę, zanim dźwięk nabral mocy. Rozległo się pełne bólu skomlenie.

Humor nieco mu się poprawił.

Pracował szybko. Chwycił torbę z narzędziami i oderwał z rolki kawałek taśmy. Dziewczyna uchylała się na boki, unikając srebrnego przylepca, ale złapał ją za włosy i szarpnął do tyłu, po czym zakleił jej usta na dobre.

Plastikowe kajdanki unieruchomiły dłonie i stopy, zmieniając ją w pokorną ofiarę, jakie lubił. Widział, jak wola walki gaśnie w jej oczach. Popatrzyła błagalnie.

Poczuł się znacznie lepiej.

W chwili współczucia próbował ją uspokajająco pogładzić po twarzy, lecz gdy tylko jej dotknął, panika wróciła i dziewczyna znowu zaczęła się szarpać, napinając plastikowe paski kępujące jej nadgarstki i kostki.

„Dziwka! - zaklął w duchu.-Głupia mała dziwka!”.

Zatrzasnął energicznie bagażnik, zadowolony, że z nią skończył. Miał dość jej widoku. Nie obchodziło go, czy ofiara boi się albo cierpi.

jedno wiedział na pewno... kiedy zobaczy ją następny raz, ta dziewczyna już nie będzie się opierać.

ROZDZIAŁ 9

OOCH, TE SĄ BOSKIE! - zachwyciła się Claire Everton, kiedy Violet podciągnęła nogawki dżinsów, żeby zademonstrować kolejną parę butów.

Chelsea wywróciła oczami; gęste czarne rzęsy sprawiły, że wypadło to bardzo dramatycznie.

- Claire, podobały ci się dokładnie wszystkie pary, jakie do tej pory oglądałaś. Pokaż mi choć jedną, która ci n i e odpowiada. Claire zwiesiła ramiona i wydeła wargi.

- Powiedziałam tylko, że mi się podobają. Nie twierdzę, że powinna je kupić.

Chelsea z desperacją spojrzała na Violet, a potem przeniosła wzrok z powrotem na Claire, pełna politowania dla koleżanki o słabym charakterze. Był to olbrzymi wyczyn z jej strony, bo rzadko się powstrzymywała przed powiedzeniem na głos tego, co myślała.

Violet zwykle lubiła otwartość Chelsea, niekiedy jednak -na przykład teraz - dobrze by jej zrobiła odrobina powściągliwości.

-Wiem, Klarusiu-dzidziusiu - zagruchała Chelsea przesłodzonym głosem, jakim się mówi do dziecka. - Nie chciałam na ciebie naskoczyć.

Claire najwyraźniej nie uznała tonu za protekcyjnalny, bo natychmiast się rozpromieniła. Odwróciła się, sięgnęła po kolejną parę butów i spojrzała na nie tęsknie. Dziewczyny usłyszały, jak mruknęła: „Te też mi się podobają...”, wchodząc głębiej między półki w eleganckim sklepie Nordstrom.

Chelsea znowu przeniosła wzrok na Violet i zmarszczyła nos, przyglądając się czółenkom, które koleżanka miała na nogach.

-Nie podobają mi się - stwierdziła rzeczowo, bez śladu dziecięcego seplenienia. Violet pokręciła głową. - Mnie też nie. Wyprawa do sklepu miała ją oderwać od rozmyślań o niedawno odkrytych ciałach. Coś związanego z dwiema martwymi dziewczynami - oprócz obawy o własne bezpieczeństwo - nie dawało jej spokoju.

Uważała to za naturalne, biorąc pod uwagę, że to ona znalazła zwłoki w jeziorze. Trudno jednak było jej się skupić na najprostszyc czynnościach, nawet tak łatwych jak zakupy.

W tej samej chwili nie wiadomo skąd zjawiała się Jules z namiętnym pudełkiem z butami.

-Proszę - oświadczyła tonem nieznoszącym sprzeciwu, wręczając Violet dwa z nich. - Znalazłam dla ciebie idealną parę. Nie byłam pewna numeracji, więc przyniosłam rozmiar trzydzieści dziewięć i czterdzieści. - Następnie zwróciła się do Chelsea: - Te są dla ciebie.

Jedno pudełko. Najwyraźniej nie miała wątpliwości co do rozmiaru.

- Hej, ADHD! - zawołała do Claire. - Chodź tutaj i przymierz. Położyła dwa identyczne pudełka na krześle, które najwyraźniej przeznaczyła dla koleżanki.

Potem usiadła na sąsiednim i czekała niecierpliwie.

- A ty? Dla siebie nic nie wybierzesz? - spytała Chelsea. - Ja już skończyłam. W czasie, który wyście zmarnowały na szukanie „idealnej” pary, zdążyłam znaleźć buty dla siebie oraz dla was wszystkich. Nawet już zapłaciłam za swoje... Leżą przy ladzie.

Nachyliła się, opierając łokcie o szeroko rozstawione kolana, co wyglądało bardzo nie na miejscu w eleganckim sklepie z damskimi czółenkami.

Jules Oquist nie miała w sobie cienia kobiecości, choć trudno to było odgadnąć z jej powierzchowności. Dopiero kiedy się poruszyła albo odezwała - albo choćby odetchnęła - zauważało się, jaką jest chłopczycą. Nie brakowało jej urody. W przeciwieństwie jednak do Chelsea i pozostałych dziewczyn nie starała się wyglądać ładnie. Jej dyskretne piękno nie wymagało makijażu ani suszarki do włosów. Miała świetną karnację, miękkie włosy w odcieniu miodu i pełne wargi. Tu jednak kończyło się jej podobieństwo do typowej kobiety. Przedłużające się zakupy zdecydowanie nie przypadły jej do gustu.

Chelsea zdjęła pokrywkę ze swojego pudełka i szeroko otworzyła oczy z zaskoczenia.

- O mój Boże, dokładnie takich szukałam - westchnęła.

Usiadła na jednym z tapicerowanych krzeseł i wsunęła stopę w delikatny srebrny sandałek. Wyglądała jak Kopciuszek. I tak samo jak w bajce, pantofelek leżał znakomicie.

- Dzięki, Jules! - Rozpromieniła się, zachwycona wyborem przyjaciółki.

Violet zajrzała z kolei do swojego pudełka, chcąc się dowiedzieć, co Jules wyszukała dla niej.

Nie szalała z radości na myśl, że pójdzie na imprezę dla absolwentów z Gradym, musiała jednak przyznać, że świetnie się bawiła, wybierając suknię i teraz szukając do niej odpowiednich butów. Znajdujące się w pudełku czarne sandałki z paskami wyglądały prześlicznie. I chociaż nie planowała kupić sandałków, gdy tylko je zobaczyła, wiedziała, że będą doskonale pasować do prostej, eleganckiej czarnej kreacji. Bardzo jej się podobały paski krzyżujące się na wierzchu stopy, zapinane z boku na delikatną sprzączkę wysadzaną sztucznymi brylantami. Pierwsza para, którą przymierzyła, okazała się d o k ł a d n i e w jej rozmiarze.

Dotąd dwa punkty dla Jules.

Claire, następna, już się nie mogła doczekać na swoją kolej.

Kiedy tylko Violet przyznała, że nie będzie szukać dłużej, koleżanka zaczęła grzebać we własnym pudełku.

Wszystkie były trochę zaskoczone śmiałym wyborem Jules: parą odsłaniających palce lśniących, czerwonych, skórzanych lakierków.

- Co jest, Julio? - spytała Chelsea, wiedząc, że przyjaciółka nienawidzi swojego prawdziwego imienia. - Chcesz nas wszystkie przerobić w słodkie dziewczynki?

Jules wyglądała na dotkniętą sugestią; spojrzała na nią z niechęcią.

- Chciałam wam dać kopa w tyłek, żebyście się pośpieszyły. Nie podoba się?

- Przeciwnie - Claire westchnęła, wpatrzona w buty, nie zaś w Jules. - One są... są... s e k s o w n e - orzekła w końcu, znajdując właściwe słowo.

„Bardzo seksowne - pomyślała Violet - i będą wyglądać odjazdowo przy sukni Claire, odsłaniającej ramiona i z usztywnianym stanikiem”.

Trzy trafienia na trzy próby - to był imponujący wynik, szczególnie w wypadku dziewczyny upierającej się, że nie znosi zakupów.

Jules wstała i przeciągnęła się bez wdzięku.

- Pośpieszmy się i zapłaćmy, zanim ta tutaj - ruchem kciuka wskazała Claire - zobaczy coś błyszczącego i znowu przepadnie. Violet nie miała nic przeciwko propozycji.

W piątkowy wieczór w galerii handlowej panował tłok. Violet zarejestrowała przynajmniej kilka sensorycznych śladów, dziwnie niepasujących do otoczenia. Z powodu niedawnych śmierci wydawała się ostatnio specjalnie wyczulona na wszelkie odbiegające od normy zjawiska, jak gdyby szukała ech nawet w najzwyczajniejszych miejscach.

Szczególnie uderzył ją jeden sygnał: dziwny zapach wody morskiej, dolatujący od starszego dżentelmena o dystygowanym wyglądzie, robiącego z żoną zakupy w sklepie z obuwem. Zwróciła na niego uwagę, dopiero kiedy przeszedł obok, i wątpiła, czy ta woń miała cokolwiek wspólnego z oceanem. Ślad był stary, zapewne bardzo stary, i Violet zastanawiała się, czy mężczyzna brał udział w wojnie. Albo czy dawniej polował. Tak czy inaczej, wątpiła, by był mordercą.

Po zapłaceniu i wyjściu ze sklepu postanowiły coś przekąsić. Chelsea namówiła je na wypróbowanie tajskiej restauracji tuż obok galerii handlowej, przy tej samej ulicy. Violet nie dała się prosić dwa razy. Jedzenie było jedyną dziedziną, w której nie kaprysiła: im bardziej egzotyczne, tym lepiej. Szczególnie lubiła wszystko, co nie przypominało mrożonej lazanii lub pizzy na telefon.

Zamówiły do spółki makaron pad thai, kurczaka ze szpinakiem i ryżem oraz wietnamskie sajgonki, które podano z dwoma sosami: słodkim czosnkowym oraz z orzeszków ziemnych. Zapach ryżu jaśminowego mieszał się z aromatem sosu kokosowego i chili. Kiedy skończyły, Violet pękała z przejedzenia i zastanawiała się, czy zmieści się w nową suknię.

W drodze do domu Chelsea usta Claire się nie zamykały, wciąż trajkotała o zbliżającym się balu. Violet starała się ignorować nieustającą paplaninę, gdy naraz uświadomiła sobie, że przyjaciółka zwraca się do niej.

- Co? - spytała, udając, że po prostu nie dosłyszała, nie zaś wcale nie słuchała rozmowy.

- Zapytałam, czy cię to nie dziwi, że Jay zabiera na imprezę Lissie Adams? - powtórzyła Chelsea wolno, jakby zwracała się do niezbyt rozgarniętego dziecka.

„O Boże, tylko nie to!” - pomyślała Violet. Liczyła, że uda jej się uniknąć tego tematu. Nagle pożałowała, że nie jest strusiem i nie może schować głowy w piasek, całkowicie unikając odpowiedzi. Niestety, trzy pary oczu - w tym oczy Jules spoglądające z lusterka wstecznego - wpatrywały się w nią w skupieniu. „Okej, Vi, udaj, że nic się nie stało”.

- Dziwi? Czemu miałoby mnie dziwić? Jesteśmy z Jayem tylko przyjaciółmi. A Lissie wydaje się w porządku.

Trzy pary brwi podjechały w górę.

- J a a s n e - przeciągnęła sceptycznie Chelsea. I oczywiście to ona zapytała: - Czemu miałabyś być zazdrosna o to, że zabiera czwartoklasistkę... nie, nie, poprawka:

najpopularniejszą czwartoklasistkę w szko-1 e na imprezę dla absolwentów?

- No właśnie - odparła Violet, jak gdyby Chelsea stwierdziła rzecz oczywistą, nie zaś zadała obciążające pytanie. - No właśnie, nie widzę najmniejszego powodu, by czuć zazdrość... skoro jesteśmy tylko przyjaciółmi.

Teraz to ona mówiła wolno, jakby dziewczyny miały problem ze zrozumieniem.

Miały, ale nie dlatego, że były zbyt tępe. Po prostu nie były tak niezorientowane, jak chciałaby Violet.

Claire poklepała ją po udzie, aby ją pocieszyć, ale Violet rozzłościła się, że koleżanka traktuje ją z góry.

- Serio, czemu tak trudno to pojąć?

„Czemu? Pewnie dlatego, że to nieprawda". A przynajmniej dlatego, że nawet sama Violet nie chciała, by była to prawda.

Jules z powrotem skupiła uwagę na drodze, a Claire lekko, lecz nieprzekonująco wzruszyła szczupłymi ramionami. Chelsea obejrzała się i posłała Violet spojrzenie jasno dające do zrozumienia, że nie wierzy w ani jedno słowo - ale przynajmniej nie powiedziała nic na głos.

Violet poczuła ulgę, gdy Claire znowu zaczęła trajkotać, wypełniając niezręczną ciszę, jaka zapadła w samochodzie.

Wiedziała naturalnie, że nie powinna się czuć zazdrosna, ponieważ Jay idzie na bal z Elisabeth Adams. W gruncie rzeczy

nawet nie zaprosił tej dziewczyny, póki nie usłyszał, że Violet przyjęła propozycję Grady'ego - żałowała tej chwili słabości w każdej sekundzie każdego dnia, jaki upłynął od tamtej pory. I z jakiegoś powodu nawet idealne pantofelki pasujące do idealnej sukni wcale nie poprawiały jej nastroju... Bo koniec końców miała stanąć na parkiecie z dala od chłopaka, z którym naprawdę chciała przyjść, i patrzeć, jak Jay tańczy z wybraną przez siebie najidealniejszą dziewczyną.

Zamknęła oczy i spróbowała się skupić na niekończącym się potoku słów Claire.

Naprawdę zaczynała się martwić sytuacją, w jakiej się znalazła. Violet nie miała wiele czasu na rozmyślanie o balu oraz swoim rozczarowaniu faktem, że idzie tam z Grady'ym zamiast z Jayem.

Wszystkie jej troski i mało znaczące problemy zostały przesłonięte przez nowinę, którą usłyszała po powrocie do domu następnego ranka, po nocy spędzonej u Chelsea.

Kiedy weszła, rodzice czekali w salonie.

Mama przechadzała się przed kominkiem, tato sprawiał wrażenie odprężonego: rozparty na sofie, z długimi nogami wyciągniętymi przed sobą. Napięte rysy twarzy zdradzały jednak niepokój.

Widok natychmiast obudził czujność Violet. Włoski na jej karku uniosły się mimo woli.

- Co się stało? - spytała, zamykając drzwi.

Rodzice spojrzeli na siebie, naradzając się w milczeniu, po czym ojciec wstał i do niej podszedł. Ujął Violet za ramiona i uściśnął gestem, którym zwykle dodawał jej odwagi.

Dziewczyna poczuła narastającą panikę.

- O co chodzi? - powtórzyła głośniej, przenosząc wzrok z ojca na mamę; wiedziała, że matka nie potrafi nic przed nią ukryć. Nie umiała maskować swoich myśli i emocji tak dobrze jak ojciec.

- Usiądź, Vi. Musimy porozmawiać - poleciła mama, wyminęła ojca i pociągnęła córkę w stronę sofy.

Violet się nie opierała. - No, co? - spytała znowu.

Tym razem miała wrażenie, że schrypnięty szept z trudem wydobywa się z jej gardła, kiedy błagała, by wyjaśnili, co się stało.

Mama odezwała się pierwsza.

- Chodzi o Hailey McDonald... Zniknęła wczoraj wieczorem. - Usiadła obok córki i objęła ją ramieniem. - Wczoraj w środku nocy jej mama zadzwoniła do stryja Stephena i powiedziała, że Hailey nie wróciła do domu. Sprawdzili wszędzie, gdzie się dało... w domach wszystkich koleżanek, w miejscach, gdzie ją ostatnio widziano... nikt nie wie, gdzie się podziała.

Violet poczuła mdłości. Leżące na kolanach dłonie zaczęły drżeć, spazmatyczne skurcze przeniosły się na ręce, a potem na całe ciało, jakby przebiegały je elektryczne impulsy.

Hailey McDonald uczyła się w gimnazjum, miała najwyżej trzynaście lat - znacznie mniej niż pozostałe dwie dziewczyny, których zwłoki dotychczas znaleziono. Violet знаła ją, pilnowała jej parę razy, kiedy młodsza dziewczynka chodziła jeszcze do szkoły podstawowej. Starszy brat Hailey, Jacob McDonald, uczył się w liceum White River klasę niżej niż Violet.

Tym razem trafiło blisko. Zbyt blisko.

- Czy sądzą, że... no wiecie, czy podejrzewają... - Wzięła oddech, żeby powstrzymać drzenie głosu. - Sądzą, że to on ją porwał? Tato usiadł z jej drugiego boku.

- Tak. - Jego głos wydawał się zbyt spokojny w porównaniu z przerażającymi, budzącymi sprzeciw słowami. - Stephen mówi, że miała wrócić piechotą od swojej najbliższej przyjaciółki, Eleny Atkins, ale nie dotarła do domu. Rodzice czekali ponad godzinę, zanim zaczęli wszędzie wydzwaniać, lecz wtedy było już pewnie za późno.

- Może po prostu pokłóciła się z nimi i ukryła w domu innej koleżanki. - Violet starała się, by jej głos brzmiał przekonująco, ale sama nie wierzyła w ani jedno słowo. A potem, ponieważ nic innego nie przyszło jej do głowy, zakryła usta drżącą dłonią. - O mój Boże - szepnęła.

Chciała się rozplakać, wyrzucić z siebie bezsilną złość i strach. Tak byłoby zdrowiej, może nawet poczułaby się lepiej, gdyby mogła okazać emocje... podzielić się nimi, jak by powiedziała mama. Zamiast tego jednak stwierdziła, że się wycofuje. Zamyka w sobie.

Tak samo zareagowała po znalezieniu zwłok dziewczyny w jeziorze: przytłoczona poczuciem beznadziejności, które sprawiło, że zapadła się głębiej w bagno wewnętrznego zamętu.

Czuła się nieszczęśliwa i bezbronna.

I zdeterminowana.

Ten moment zmienił wszystko. Tę dziewczynę znała... i wiedziała, w jaki sposób powinna pomóc - nawet jeśli jej udział miałby się okazać bezużyteczny, nawet gdyby miała znaleźć się w niebezpieczeństwie. Wiedziała, że nie może dłu-

żej siedzieć z założonymi rękami i czekać, czy - lub kiedy - Hailey zostanie odnaleziona.

Miała dość czekania, aż ktoś inny złapie psychopatę napadającego nastolatki. Postanowiła działać, nawet jeśli będzie musiała to robić w tajemnicy przed wszystkimi.

Przeprosiła i poszła do swojej sypialni, mówiąc rodzicom, że chce być sama, a po drodze zabrała ze sobą telefon.

Musiła coś zrobić. Lecz nie sama.

Zamierzała poprosić o pomoc.

ROZDZIAŁ 10

JAY ZJAWIŁ SIĘ NATYCHMIAST, nie musiała mu nawet wyjaśniać powodu. Był u niej w niespełna dziesięć minut po telefonie.

Oczywiście słyszał, co się stało z Hailey. Wszyscy słyszeli. W tak niewielkim mieście wieści rozchodziły się szybko... Szczególnie te złe.

Wyjaśniła mu, co zamierza zrobić. Nie było to nic ryzykownego, przynajmniej jeśli chodziło o nią, i nie spodziewała się, że Jay odmówi. Kiedy więc się nie zgodził, ogromnie ją zaskoczył.

- Wykluczone - upierał się kategorycznie. - Nie ma mowy, żebyś krążyła po okolicy, szukając tego gościa.

Violet była zaszokowana jego tonem i ostrym spojrzeniem, jakie jej posłał. Pomyślała, że może źle zrozumiał plan, więc spróbowała wyjaśnić jeszcze raz.

-Jay, chcę się tylko przejść po publicznych miejscach, na przykład centrach handlowych i parkach, by sprawdzić, czy zdołam wyczuć, kto to jest. Być może właśnie tam przychodzi ich szukać, może przesiaduje tam, czekając i wybierając dziew-

czynny, żeby je... no wiesz... porwać. - Starła się, by argumenty brzmiały logicznie, ale w jej głosie słychać było desperację. - Nie pójdę sama... ty możesz się wybrać ze mną. Będziemy po prostu krążyć po okolicy, żeby się przekonać, czy go znajdziemy. A jeśli tak, zadzwonimy do stryja. Nie zrobimy nic głupiego. - „Czymś głupim” jest już samo szukanie zabójcy. Nie pozwolę, żebyś się narażała na ryzyko, Violet. Ten gość jest niebezpieczny, musisz to zostawić policji. Oni wiedzą, jak postępować. I są u z b r o j e n i .

Mówił, jakby uważał, że oszalała - i może tak było, lecz Violet już podjęła decyzję.

- Słuchaj, i tak to zrobię. Proszę tylko, żebyś poszedł ze mną.

- Nie zrobisz! - upierał się. - Nawet gdybym miał powiedzieć twojemu stryjowi i rodzicom, co planujesz. Przysięgam, że ci na to nie pozwolę.

Poczuła, że traci cierpliwość.

-Nie możesz mnie powstrzymać, Jay. Jeśli na mnie doniesiesz, skłamię. Niewinnie zatrzepoczę rzęsami i obiecuję, że n i e pójdę go szukać. Ale przysięgam ci, że przy pierwszej okazji, nawet jeśli będę się musiała w tym celu wymknąć z domu, s p r ó b u j ę go znaleźć.

Wstała, zamierzając spojrzeć na niego gniewnie z góry, lecz zamiast tego stwierdziła, że musi wyciągać szyję, by mu popatrzeć w twarz. Niewygodna pozycja bynajmniej nie zbiła jej z tropu. Nie zamierzała ustąpić.

- Mówię serio, Jay. Nie powstrzymasz mnie.

Był zaskoczony. Po jego twarzy przemknęły emocje - niedowierzenie, frustracja, a potem znowu niedowierzenie. Wy-

dawało się, że walczy z samym sobą. Kiedy jednak usłyszała, jak westchnął, a potem nerwowo przeczesał palcami włosy, wiedziała, że wygrała. Jego lodowata determinacja topniała na jej oczach.

- Do diabła, Violet - westchnął szorstko, obejmując ją ramionami i przytulając mocno. - Jaki mam wybór? - spytał, prawie wyciskając z dziewczyny ostatni dech.

Nie była pewna, jak to potraktować. Zdecydowanie nie przypominało to czułego uścisku, lecz bliski kontakt i tak sprawił, że obudziły się w niej tajemne pragnienia. Mimo woli zaczęła się zastanawiać, czy Jay nie czuje choćby ułamka tego co ona. Ręce miał silne i czuła się bezpiecznie w ich objęciu. Nigdy sobie nie wyobrażała, że można się czuć zarazem tak komfortowo i niekomfortowo. Zamknięta w jego objęciach czekała, jak się rozwinie sytuacja.

- Więc jak będzie? - spytał surowo, zwracając się do czubka jej głowy.

Zamarła.

- Z czym? - odparła, czując, jak serce zaczyna jej bić szybciej. Puścił ją i uświadomiła sobie, że Jay nie mówi o nich - chodziło mu o plan znalezienia mordercy. Próbowwała zignorować ostre ukłucie rozczarowania.

Szybko się jednak otrząsnęła.

- Myślałam, że moglibyśmy wychodzić na miasto, no wiesz, w miejsca, gdzie bywają nasi kumple i dziewczyny z innych szkół. Po szkole i w weekendy, jak długo będzie trzeba, to znaczy aż go złapie policja albo aż trafię na jego ślad. W jakiś sposób trzeba mu przeszkodzić, Jay. - Spojrzała na niego znowu, tym razem bezbronna z zupełnie innego powodu. - Po prostu

nie potrafię siedzieć spokojnie i patrzeć, jak znikają kolejne dziewczyny, albo, co gorsza, znajdują się... m a r t w e .

Jej głos załamał się na ostatnim słowie, chociaż próbowała zachować opanowanie. Nienawidziła czuć się taka bezradna i słaba i nienawidziła przyznawać, że potrzebuje pomocy. Lecz tak właśnie wyglądała prawda.

Potrzebowała Jaya. Bo mimo śmiałych zapewnień, że zrobi to sama, był to tylko blef. Naprawdę nie miała pewności, czy poradziłaby sobie na własną rękę.

- W porządku - zgodził się wreszcie, posyłając jej ten sam głupawy uśmiech, z którego powodu serce dziewczyny zaczynało wariować, nadal jednak nie wydawał się przekonany. - To może byśmy poszli na film dziś wieczorem? Sprawdzimy, czy w kinie jest bezpiecznie.

Tak szybko po wiadomości o zniknięciu Hailey McDonald Violet z trudem udało się przekonać rodziców, by ją wypuścili z domu.

Gdyby nie obietnica Jaya, że cały czas będzie ją miał na oku, nigdy by się na to nie zgodzili. Jeszcze bardziej uspokoiło ich, kiedy Jay uparł się, że poprowadzi. Samochód jego mamy był sto razy nowocześniejszy od rozpadającej się hondy Violet.

Sprawdzili program w internecie i zdecydowali się na film akcji, który niedawno wszedł na ekrany i był wyświetlany w najbliższym kinie w Bonney Lake, rodzinnym mieście Brooke Johnson.

Gdyby ktoś szukał nastolatki, zamierzając ją porwać, sobotni wieczór w multiplexie nadawałby się idealnie. Gromady młodzieży, począwszy od jedenasto- lub dwunastolatków aż po niemal dorosłych, przechadzały się po stojącym samotnie

budynku lub snuły bez celu po zatłoczonym parkingu. W holu energiczne grupki kierowały się do sal projekcyjnych lub z nich wychodziły.

Violet właściwie nigdy wcześniej się im nie przyglądała; przypominało to trochę obserwowanie małp w zoo. Nie widzowie jednak interesowali ją tego wieczoru.

Przyszła szukać mordercy. Fakt, że zjawiała się z Jayem, stanowił tylko dodatkową, niespodziewaną atrakcję.

Trafili na grupę znajomych ze szkoły, którzy zamierzali obejrzieć najnowszą obrzydliwą komedię w stylu *American Pie*, i przystanęli na parę minut, by pogadać. Dziewczyny w grupie ożywiły się, gdy tylko spostrzegły, że znajdują się w towarzystwie Jaya Heatona, a Violet poczuła przypływ satysfakcji, że to z nią umówił się dzisiaj na randkę... nawet jeśli nie była to prawdziwa randka.

Amanda Kaufman, odkąd jej wzrok padł na Jaya, nie spuszczała z niego zachwyconego spojrzenia.

-Cześć, Jay - zamruczała, ignorując wszystkich wokół, w tym swojego chłopaka, który nie zwrócił na to najmniejszej uwagi. - Świetnie wyglądasz. - Poglądziła go po piersi. - Podoba mi się twoja bluza. Jest t a a k a m i ę k k a - gruchała.

Violet przyjrzała się uważniej, zastanawiając się, czy umknęło jej coś szczególnego. Nie umknęło. Była to zwyczajna szara bluza z kapturem, jakie połowa chłopaków w szkole nosiła każdego dnia. Popatrzyła na Jaya i uniosła brwi. Wiedziała, że to dostrzegł, udawał jednak niewiniątko.

- Dzięki - zwrócił się do Amandy odrobinę zbyt życzliwym tonem i Violet uświadomiła sobie, że chłopakowi sprawia przyjemność zainteresowanie, jakie wzbudza.

Amanda zachichotała. Violet omal nie wybuchnęła śmiechem, słysząc piskliwe dźwięki wydobywające się z ust koleżanki. Chłopak Amandy, futbolista z czwartej klasy, był zbyt zaprzątnięty rozmową z kumplami o przyszłotygodniowym meczu, by spostrzec, że panna flirtuje tuż pod jego nosem. Violet starała się obserwować otoczenie, koncentrując się na wszelkich nietypowych odczuciach.

Wiedziała już, że jeden ze śladów to połyskliwy, oleisty poblask, jaki widziała przy dziewczynie z jeziora, i gdyby go zauważyła, bez trudu rozpoznałaby mordercę. Nie wiedziała tylko, jakie inne ślady nosi na sobie.

Wkrótce sobie uświadomiła, że w holu nie ma nic niezwykłego, więc popijając colę, zaczęła się przyglądać dziewczynom mizdrzącym się do Jaya. Co jakiś czas przemykało jej przez myśl, że powinna się czuć zazdrosna o ich względy, ale po prostu nie potrafiła się do tego zmusić, bo zbyt ją bawiło patrzenie, jak robią z siebie idiotki. Jay także wychodził na głupca.

Jego reakcja na słowa Amandy zachęciła kolejne dwie znajome. Teraz przyszła kolej na Yvette Siegel. Jej chłopak okazał się równie mało spostrzegawczy jak chłopak Amandy.

- Założę się, że będziesz świetnie wyglądał w smokingu
-pochwaliła Jaya.

- Już coś sobie wybrałeś? - przyłączyła się Alexandra Yates. Jako jedyna nie miała chłopaka, więc wystąpiła naprzód, prawie odpychając z drogi dwie pozostałe dziewczyny - s w o j e przyjaciółki - by się do niego zbliżyć.

Violet miała ochotę roześmiać się na cały głos, lecz zamiast tego omal się nie zakrztusiła napojem, który trafił nie tam, gdzie trzeba. Wszystkie trzy nagle się zorientowały, że Violet stoi tuż obok. Próbowwała opanować napad kaszlu, ale bezskutecznie.

Jay uderzył ją w plecy trochę mocniej niż należało.

- Wszystko w porządku? - spytał, a Violet posłała mu mordercze spojrzenie, kaszląc w stuloną pięść.

- Już dobrze - wysapała, z trudem wydobywając słowa ze ściśniętego gardła.

Odepchnęła jego pomocną dłoń i spojrzała gniewnie. Uśmiechnął się szeroko.

- Hej, Violet. - Alexandra jako jedyna dała po sobie poznać, że ją zauważa. - Co u ciebie? Masz już suknię na bal?

Violet raz jeszcze zakasłała i pokiwała głową.

- Wygląda na to, że kupiłam wszystko.

- Pójdziecie na kolację po balu? - głos Amandy nabrał pre-
tensjonalnej maniery, która zupełnie do niej nie pasowała. - Macie już rezerwację?

Violet zrozumiała, że dziewczyny są przekonane, iż ona i Jay razem idą na bal absolwentów.

- Och, nie - skorygowała błąd. - Nie wybieramy się razem.

Wyraźnie poprawiło to humor Amandzie, choć Violet była niemal pewna, że tamta pójdzie na bal. .. z własnym chłopakiem.

- Serio?

- Serio. Violet została zaproszona przez Grady'ego Spencera - wyjaśnił Jay całej trójce, uśmiechając się niewinnie do Violet.

- A Jay wybiera się z Lissie Adams - zdradziła Violet, posyłając mu drwiący uśmiech.

- O! - jęknęła Amanda z wielkim przygnębieniem. Sądząc po jej tonie, wydawało się dziwne, że nie tupnęła przy tym nogą.

- Hej, musimy się zbierać, nasz film zaraz się zacznie
-przypomniał Amandzie Cameron, po czym odciągnął swoją
dziewczynę od Jaya. - Miło się z wami gadało.
Ostatnie zdanie wygłosił z kamienną twarzą, chociaż nie zamienił
ani słowa z Violet i Jayem.

Violet przyglądała się całej grupce, kiedy odchodzili: wszystkie
trzy dziewczyny - każda w innym momencie - obejrzały się przez
ramię, by przed ostatecznym rozstaniem raz jeszcze spojrzeć na
Jaya. Szturchnął Violet konspiracyjnie.

Popatrzyła na niego, szeroko otwierając oczy.

- O co w tym wszystkim chodziło, do diabła?

Na moment przybrał poważny wyraz twarzy, a potem mrugnął.

- Fajnie być zaliczanym do pięknych tego świata, to wszystko.

- O mój Boże, Jay, prawie cię obślinały.

Pierwszy raz od długiego czasu wyskoki innych dziewczyn
wobec jej najlepszego kumpla budziły tylko rozbawienie Violet.

Było to przyjemne. ..nie czuć ani odrobiny zazdrości z
powodu względów, jakimi go zasypywały w wielkich ilościach.

Jay roześmiał się i ponownie ją szturchnął.

- Zazdrosna?

Omam znowu nie zakrztusiła się napojem.

- Jak bym mogła? Zachowywały się jak kompletne idiotki.

Mówię poważnie, zdaje mi się, że Amanda naprawdę trochę się
śliniła.

Przy wejściu na salę Jay pokazał bilety kobiecie z obsługi, potem
schował odcinki do kieszeni i ujął Violet za rękę. Był to
przyjacielski gest; zawsze tak robili i dziewczynie zrobiło się
miło.

Sala okazała się tylko w połowie pełna, więc znaleźli sobie miejsca trochę na uboczu. Kiedy przeleciały napisy początkowe, myśli Violet znowu zaczęły błądzić wokół rzeczywistego powodu, dla którego tu przyszła tego wieczoru. By schwytać mordercę.

Jak dotąd nic nie zwróciło jej uwagi... ściślej, nic prócz dziwacznego zachowania innych dziewczyn w obecności Jaya. Cały wieczór nie wychwyciła żadnego echa zmarłej osoby i pomyślała, że być może spodziewała się zbyt wiele, sądząc, iż osiągnie sukces tak szybko... z taką łatwością.

Pogodziła się z faktem, że może to zabrać nieco czasu.

Tymczasem oglądała film oparta o Jaya, lecz ciepło jego ciała sprawiało, że trudno jej się było skoncentrować. Próbowwała sobie przypomnieć, kiedy dokładnie jego zapach zaczął jej się wydawać tak pociągający i kiedy jego dotyk zaczął działać niczym poprawiający nastrój narkotyk.

Zerknęła z ukosa, usiłując zgadnąć, o czym chłopak myśli, czy ich swobodny kontakt wpływa na niego równie silnie, ale twarz miał pustą, zupełnie nieprzeniknioną, gdy śledził akcję na wielkim ekranie.

Nachyliła się i szepnęła:

- Muszę wyjść do łazienki. Wstała z fotela. On zrobił to samo.

Spojrzała pytająco.

- Zaraz wracam - wyjaśniła cicho. Ruszył za nią krok w krok.

- Co ty wyprawiasz? - Zaczęła ją ogarniać irytacja.

- Idę z tobą.

-Wiem, tyle zauważyłam - odparła nieco głośniejszym głosem. -Czemu?

Popychał ją od tyłu, aż opuścili ciemną salę kinową i znaleźli się w słabo oświetlonym korytarzu.

- Mogę iść sama do łazienki - warknęła, biorąc się pod boki i przechylając głowę.

- Nie, Violet, nie możesz. Obiecałem twoim rodzicom, że cię nie spuszczę z oka, i dotrzymam słowa. Poza tym póki nie zdecydujesz, że przestajesz polować na tego gościa, nie pozwolę ci nic zrobić w pojedynkę.

Jego szczęki znowu zacisnęły się w upartym grymasie.

- A teraz się pośpiesz - dorzucił, opierając się swobodnie o ścianę przed damską toaletą.

Violet nie zamierzała marnować czasu na kłótnie, więc tylko pokręciła głową i otworzyła drzwi.

- Oszalałeś! Wiesz o tym, prawda?

Nie czekając na odpowiedź, zniknęła w pustej łazience, przysięgłaby jednak, że słyszy ścigający ją śmiech.

Jasne, jakby wyblakłe wnętrze miało w sobie coś niesamowitego. Zwykle pustoszało w czasie projekcji i zimne, upiorne światło pokrywało niemal przerażającą bladością drobne, sześciokątne białe kafelki na podłodze. Świetlówki brzęczały złowroźnie, dźwięk odbijał się echem. Violet była niemal zadowolona, że Jay czeka na zewnątrz.

Szybko poszła do toalety, a potem zerknęła na swoje odbicie w lustrze, myjąc ręce. Musiała przyznać, że nawet w tym oświetleniu nie wygląda aż tak okropnie. Nigdy w gruncie rzeczy nie uważała się za ładną, ale wiedziała, że nie jest też nieatrakcyjna. Nie chciała być jedną z dziewczyn doszukujących się w sobie wad i zadreczających się nadmiernym samokrytycyzmem.

Włączyła suszarkę do rąk wiszącą na ścianie, lecz zniecierpliwiło ją długie czekanie, więc w końcu wytarła dłonie o dzinsy i ruszyła do wyjścia, obok którego stał Jay, nadal oparty o ścianę. Nie zaczekała na niego. Musiał przyśpieszyć, by się z nią zrównać.

-Co tak długo? - szepnął, kiedy szukali swoich miejsc w ciemności.

Nie odpowiedziała. Nadal była zła, że jego zdaniem potrzebuje eskorty, nawet by iść do toalety. Kiedy jednak usiedli, znowu ujął jej rękę.

Nie protestowała. Sprawiało jej to zbyt wielką przyjemność, by się uskarżać.

Ręce miał silne i znacznie większe od jej dłoni. Jego skóra wydawała się grubsza - twardsza - niż jej własna i kontrast bardzo ją cieszył. Wystarczyło, by jej dotknął, a czuła, jak ciepło rozlewa się po całym ciele.

Violet ogarnęło rozczarowanie, kiedy film się skończył, choć Jay nie okazywał chęci, by wypuścić jej dłoń. Z wielkim zawstyżeniem uświadomiła sobie, że prawie nie pamięta akcji. Jej umysł zaprzętały inne, znacznie bardziej interesujące sprawy. Miała wielką nadzieję, że Jay nie zada jej żadnego pytania na temat filmu, który rzekomo obejrzała.

W drodze na parking zauważyli Amandę i jej znajomych, lecz tym razem Jay ledwie zwrócił na nich uwagę; przechodząc, skinął im tylko głową. Violet zauważyła spojrzenia, jakie wymieniły między sobą dziewczyny - nie umknął im fakt, że Jay trzyma Violet za rękę.

Chłopak widocznie też to zauważył, bo szybko, uspokajająco ją uścisnął.

Zacząła się zastanawiać nad wszystkimi sytuacjami, kiedy sądziła, że Jay całkowicie nie zdaje sobie sprawy z uwagi, jaką mu poświęcają koleżanki ze szkoły. Być może znacznie lepiej, niż to okazywał, uświadamiał sobie, jak wielkie zainteresowanie budzi w żeńskiej części liceum White River.

Przeszedł ją dreszcz, kiedy wpadła jej do głowy kolejna myśl. Skoro Jay nie był zupełnie nieświadomy tego, jak działa na dziewczyny, to co wiedział o myślach i fantazjach Violet? A może domyślał się, co ona naprawdę do niego czuje? Czy potrafił ją przejrzeć równie łatwo jak Amandę i pozostałe koleżanki ze szkoły?

„To by było straszne!” - pomyślała zgnębiona. Musi być ostrożniejsza w obecności Jaya i przestać szaleć na jego punkcie niczym któraś z jego *groupies*.

Postanowiła, że choć pragnie Jaya, nie może ryzykować zniszczenia łączącej ich więzi. Przyjaźń, która odkąd pamiętała, stanowiła część jej życia, była zbyt ważna, by Violet zgodziła się ją narazić na szwank.

Poczuła się naraz zdecydowana i silna i wysunęła dłoń z jego ręki. Nie mógłby jednak wziąć tego za wyraz wielkiej stanowczości, bo właśnie doszli do samochodu i musiałyby go puścić tak czy inaczej. Jay otworzył przed Violet drzwi od strony pasażera i wślizgnęła się do środka.

Spojrzała na swoją dłoń, wciąż jeszcze ciepłą od kontaktu z jego skórą, już tęskniąc za dotykiem chłopaka. Nie rozumiała, skąd się bierze poczucie straty po czymś, czego przecież nigdy nie miała. Poza tym w tej chwili trapiło ją przecież wiele poważniejszych zmartwień.

Musiała znaleźć mordercę i powstrzymać go, nim skrzywdzi kolejną osobę.

Jak zdoła to zrobić, jeśli będzie zbyt zaprzątnięta zakochaniem się w swoim najlepszym przyjacielu?

ROZDZIAŁ 11

NIEDZIELE VIOLET I JAY spędzili w większej części w miejscowej galerii handlowej. Wędrowali po sklepach, zjedli lunch w stołówce i nawet zabawili trochę w salonie gier wideo - jak się okazało, z większą korzyścią dla Jaya. Violet okazała się takim beztalenciem we wszystkich grach, jakich próbowała, że przepuściła dziesięć dolarów w niecałych dziesięć minut. Kiedy skończyła, Jay nie wydał jeszcze pierwszych dwóch dwudziestopięciocentówek.

Stwierdziła, że nie może sobie pozwolić na marnowanie czasu. Stała obok maszyny, na której grał Jay - d o s k o n a - 1 e, musiała przyznać - i rozejrzała się dokoła. Elektroniczne dźwięki były niemal ogłuszające, szczególnie dla kogoś o zmysłach równie wyczulonych jak jej. Wiedziała już jednak, że mężczyzny, którego szuka, tutaj nie ma. Łatwo dostrzegłaby barwne piętno, szczególnie w półmroku tego pomieszczenia. Znowu spojrzała na monitor. Próbowała udawać zainteresowanie tym, co się na nim dzieje, wkrótce jednak się znudziła i uznała, że woli poczekać na Jaya na korytarzu. Nie oderwał

wzroku od zabawy na chwilę wystarczająco długą, by się zorientować, że dziewczyna odchodzi.

Zostawiła za plecami atakujący zmysły chaos salonu gier i wyszła na otwartą przestrzeń wewnętrznego dziedzińca. Zjedli niedawno lunch i nie czuła się głodna, zaczęła więc oglądać wystawy w pobliżu części gastronomicznej.

Powiodła wzrokiem wokoło. Galeria była zatłoczona i przed kilkoma restauracjami stały kolejki. Kobiety ciągnące za sobą maluchy i przedszkolaki zmierzały w stronę McDonalda. Przemieszane zapachy rozmaitych fast foodów były silne, lecz w miarę apetyczne.

I wtedy jej uwagę przyciągnęło coś dziwnego.

Poczuła wyraźnie nie zapach, lecz raczej s m a k . Zaskakujący aromat czosnku w głębi gardła... palący i silny, niemal przytłaczający.

To było to. To mogło być to, czego szukała.

Jakiegoś rodzaju echo.

Rozejrzała się, próbując odgadnąć, skąd pochodzi wrażenie, lecz naprawdę mogła się upewnić tylko w jeden sposób.

Ruszyła przed siebie, opuszczając część gastronomiczną i wchodząc w głąb galerii. Kiedy przenikliwe uczucie się nasiliło, wiedziała, że zmierza we właściwym kierunku.

Serce zabiło jej szybciej i pozostałe zmysły się wyostrzyły, kiedy patrzyła dookoła, zastanawiając się, czy nie zmierza wprost ku mordercy. Była przerażona i podniecona zarazem. Wiedziała, że Jay wścieknie się na nią za to, że go zostawiła.

Doszła do końca korytarza mieszczącego część gastronomiczną i salon gier i natrafiła na przestronniejszy wewnętrzny plac, gdzie supermarkety górowały nad outletami i butikami. Teraz musiała zdecydować, w którą stronę skręcić.

Poszła w lewo i przekonała się, że zmierza ku supermarketom. Wydawało się, że to dobry pomysł - ruchliwa część galerii handlowej - lecz kiedy minęła kilka sklepów, zorientowała się, że wybrała zły kierunek. Czosnkowy posmak osłabł. Zawróciła i ruszyła w przeciwną stronę.

Minęła miejsce, skąd przyszła, i wędrowała dalej, kierując się do Searsa i Macy's. Skupiła się na wrażeniu w ustach, smakując czosnkowy aromat... nie dlatego, że go lubiła, lecz ponieważ działał niczym kompas... wskazywał jej drogę.

Smak stawał się silniejszy, bardziej namacalny. Puls jej przyspieszył, oddychała nierówno i z wysiłkiem. Patrzyła wszędzie i na każdego, próbując odgadnąć, kto to może być... skąd dochodzi echo czy sygnał. Wymijała matki pchające wózki i pary trzymające się za ręce.

I naraz, bez ostrzeżenia, smak zaczął znowu słabnąć, a Violet poczuła, jak ogarniają ją panika i irytacja. Stała jak wryta pośrodku galerii, wśród ludzi zmierzających we wszystkie strony, i rozejrzała się, szukając wskazówki. Minęła ją jakaś za-kupowiczka, uderzając trzymanymi w rękach wypakowanymi torbami. Violet nie zwróciła na nią uwagi.

Znowu się cofnęła, próbując odnaleźć smak.

Przybrał na sile jedynie na kilka kroków, a potem zniknął.

Obserwowała otaczający ją tłum, starając się zobaczyć, gdzie... i kim on jest. Jednak tak wielu ludzi zmierzało w tylu różnych kierunkach, że nie potrafiła odgadnąć, od kogo dochodzi sygnał. Zerknęła na najbliższe sklepy i zaczęła podchodzić do nich kolejno, lecz wtedy smak jedynie osłabł.

„Nie ma go w żadnym ze sklepów. Więc gdzie?”

Obróciła się, czując falę rozczarowania, i właśnie gdy uznała, że będzie musiała zrezygnować, smak uderzył ją znowu,

silniejszy niż dotąd. Zrozumiała, że nieznajomy musi być blisko. I wtedy zauważyła długi, wąski korytarz odchodzący od głównego pasażu galerii. Napisem nad wejściem głosił TOA-LETY.

Wolno, ostrożnie podeszła do słabo oświetlonego przejścia, przytłoczona niespodziewanym lękiem. Nie miała pewności, ale nogi chyba jej drżały, kiedy szła w stronę ubikacji.

Zbliżyła się do męskiej i jej kubki smakowe niemal eksplodowały od nagłej fali palącego czosnkowego smaku - czuła, jakby w ustach płonął ogień. Wiedziała, że ktokolwiek to jest, znajduje się w środku.

Zawahała się, nagle niepewna. Nie wiedziała, czy zdoła to zrobić. Była tak bliska odkrycia, kto nosi na sobie piętno śmierci, z czyjego powodu czuje się, jakby przed chwilą zjadła cały talerz ciepłych, miękkich ząbków czosnku. Mimo woli pomyślała jednak, że może znalazła się zbyt blisko. Może Jay ma rację. Może to jest zbyt niebezpieczne.

Zamarła w miejscu, czas zwolnił bieg. Słyszała gwałtowne bicie swojego serca, w ustach nagle jej zaschło. Powoli zbliżyła się do drzwi, tylko o krok. Wciąż próbowała zdecydować, czy wejść do środka, czy poczekać, aż ten człowiek wyjdzie. Gęsia skórka załaskotała ją na ramionach. Dziewczyna wstrzymała oddech w obawie, że ten za drzwiami jakimś sposobem ją usłyszy i zorientuje się, że Violet na niego czeka.

Zrobiła jeszcze jeden sztywny krok naprzód.

Dopiero kiedy poczuła dłoń zaciskającą się na swoim nadgarstku, zorientowała się, że ktoś stoi tuż za jej plecami. Czyjaś silna ręka szarpnęła ją w tył, nim zdążyła zareagować. Otworzyła szeroko oczy, próbując sobie przypomnieć, jak się krzyczy,

lecz głos uwiązał jej w gardle. Przez chwilę dziewczynie zdawało się, że zapomniała także oddychać.

- Co ty tu robisz, u diabła?

Z osłupieniem zdała sobie sprawę, że słyszy głos Jaya szepczący jej do ucha. Przyjaciel bynajmniej nie wydawał się w dobrym nastroju.

Odwróciła się. Nie była całkiem pewna, co widzi na jego twarzy. Zaniepokojenie? Irytację? Złość? O tak, zdecydowanie złość. Zanim jednak zdążyła choćby zacząć tłumaczyć, czemu wyszła z salonu gier, przyłożył palec do ust i przyciągnął ją do siebie, po czym spytał jeszcze ciszej:

- Wyczułaś coś?

Był to zaledwie cień szeptu.

Skinęła głową, trochę zaskoczona surowym wyrazem jego twarzy.

I znów głos chłopaka zabrzmiał cicho, lecz bardzo stanowczo.

- On tam jest? - spytał Jay, wskazując toaletę. Kiwnęła ponownie.

- A niech cię. - Słowa z trudem dało się usłyszeć, lecz Violet poczuła cały ciężar jego frustracji. - Idź i zaczekaj na środku galerii, przy ławkach. I nie ruszaj się stamtąd, aż przyjdę.

Próbowała zaprotestować, bo wreszcie do niej dotarło, że chłopak zamierza wejść do toalety sam.

- A jeśli...? - zaczęła, lecz spojrzał na nią ze zdecydowaniem, które zamknęło dziewczynie usta.

- Mówię serio, Violet. Nie żartuję.

Popchnął ją w kierunku sklepów. Uznała, że nie pora na kłótnie. Z wyrazu jego twarzy wyczytała, że podjął decyzję, i nic, co by powiedziała, nie skłoniłoby go do zmiany zdania.

Czuła, że drży, kiedy wędrowała z powrotem przez niekończący się strumień kupujących. Nagle aż nazbyt jasno uświadomiła sobie, co zamierzała i przed czym Jay powstrzymał ją w ostatnim momencie, i zrozumiała, na jak niedorzeczne ryzyko się wystawiła. Czy naprawdę usiłowała zrobić coś równie głupiego?

Niestety, odpowiedź brzmiała: tak. I Jay także o tym wiedział, dlatego tak się na nią rozgniewał. Przyrzekł, że nie spuści jej z oka, obiecał, że się nią zaopiekuje, a ona to kompletnie zignorowała.

Usiadła na ławce pośrodku ruchliwej galerii handlowej i próbowała myśleć o czymś innym niż o tym, co Jay robi w tej właśnie chwili. Czuła się obolała z przerażenia. A jeśli zabójca naprawdę tam jest? Co zrobi Jay? I co gorsza: co morderca może zrobić jemu?

Nerwowo wyłamując ręce splecione na kolanach, czekała -zdawało się - całą wieczność i nerwowo obserwowała wylot korytarza, licząc, że dojrzy przyjaciela.

Kiedy go wreszcie zobaczyła, najwyraźniej całego i zdrowego, zerwała się i niemal odepchnęła z drogi jakiegoś przechodnia, by podbiec do Jaya. Choć wyraz jego twarzy się nie zmienił, nic jej to nie obchodziło, bo nawet jeśli nadal się gniewał, był bezpieczny.

- Wszystko w porządku! - Było to stwierdzenie, nie pytanie, i w jej słowach brzmiała ulga. - Co się stało?

Jay odciągnął ją na bok, z dala od ludzi. Jego dotyk podziałał na Violet uspokajająco, choć brakowało w nim nawet śladu czułości.

- W środku siedziało tylko paru smarkaczy... palili papierosy. Więc to nie był on, chyba że gość chodzi do liceum.

Violet z zaskoczeniem usłyszała w jego głosie nutę frustracji, która nie miała nic wspólnego z jej osobą. Sądziła, że Jay zamierzał jedynie chronić ją przed niebezpieczeństwem. Nie sądziła, by interesowało go schwytywanie mordercy. A jednak teraz wydawał się szczerze rozczarowany.

Naraz na języku Violet wybuchła nowa fala czosnkowego aromatu. Obróciła się w samą porę, by zobaczyć grupkę nastolatków wychodzących z korytarza i zmierzających prosto w stronę ich obojga.

Chwyciła przyjaciela za rękę, szukając u niego oparcia. Poczowała mdłości od palącego wrażenia w ustach.

Kiedy grupka przechodziła obok, jeden z chłopaków w wieku trzynastu lub czternastu lat spojrzał na Violet. Kontrast między ufarbowanymi na czarno włosami i bladą, ziemistą cerą sprawiał, że na pierwszy rzut oka chłopak wydawał się anemiczny i chorowity. Lecz w ułamku sekundy, gdy ich spojrzenia się skrzyżowały, dziewczyna wyczuła okrucieństwo bijące od niego z taką siłą, że niemal ją oparzyło. Jadowite rozbłyśki czosnkowego smaku niczym gniewne wybuchy paliły ją w język, kiedy odwzajemnił jej spojrzenie.

W rzeczywistości, a może w wyobraźni, zobaczyła, jak chłopak - pewnie często znęcający się nad różnymi drobnymi stworzeniami - wyrasta na mężczyznę, który rzeczywiście byłby zdolny porywać i mordować młode dziewczyny.

Lecz nie jego szukała.

Musiła odwrócić wzrok i zamknąć oczy, póki się nie oddalił.
- To jego wyczułaś? - spytał Jay.

Mogła jedynie skinąć głową, czekając, aż miną jej mdłości i zniknie posmak zła, bijący od tego konkretnego nastolatka. Jay nie zapytał, czy jest gotowa do wyjścia, po prostu objął ją ramieniem. W jego dotyku nie było nic łagodnego ani dodającego otuchy; zamierzał ją raczej pokierować niż pocieszyć, gdy prowadził dziewczynę w kierunku samochodu.

Jechali do domu w milczeniu - Jay był zagniewany, a Violet zmęczona zetknięciem ze złem. Wciąż jeszcze kręciło się jej w głowie po intensywnych wrażeniach, które odebrała od promieniującego nienawiścią wyrostka.

Wiedziała, że nie potrafiłaby tego powtórzyć: krążyć wśród ludzi, wypatrując ukrytego wśród nich mordercy. Ten dzień okazał się zbyt trudny. Przywykła izolować się od podobnego rodzaju wrażeń, nauczyła się budować ściany chroniące ją przed intensywnymi odczuciami. Poza tym nie była nawet pewna, czego szuka. Nie sądziła, że zdołałaby to wytrzymać dużo dłużej. Postanowiła, że jeśli ma spróbować znowu, potrzebuje lepszego planu działania. I musi poważniej się do tego przygotować.

ROZDZIAŁ 12

W SZKOLE PANOWAŁ NASTRÓJ znacznie posepniejszy niż po poprzednich zniknięciach dziewczyn. Violet podejrzewała, że to dlatego, ponieważ Hailey McDonald nie była przypadkową osobą, zobaczoną przelotnie na imprezie czy spotkaniu towarzyskim. Znaczna część uczniów wiedziała, o kogo chodzi. Hailey to siostra ich kolegi ze szkoły, a wielu uczniów liceum White River dobrze znało całą rodzinę. Nieobecność dziewczyny zdawała się niemal namacalna i odczuwano ją znacznie bardziej niż poprzednie śmierci.

Kolejne, co dawało się wyraźnie zauważyć tego poniedziałkowego ranka, to widoczne wzmocnienie środków bezpieczeństwa. I nie chodziło tylko o nieuzbrojonych strażników patrolujących boisko i pilnujących porządku. Pojawiła się także policja w postaci dwóch oficerów w mundurach, czuwających na korytarzu przed klasami.

Jeden nosił kilka śladów, które - jak sądziła Violet - były po prostu związane z jego pracą. Na szczęście żadne z piętn nie okazało się szczególnie bolesne i bez trudu mogła je ignorować, kiedy znalazła się w pobliżu mężczyzny.

Wrócili też psychologowie, co dziewczyna uznała za trochę przedwczesne, ponieważ nie istniały żadne dowody - przynajmniej na razie - sugerujące, że Hailey McDonald nie zostanie odnaleziona i nie wróci do domu cała i zdrowa.

Psychologowie czekali na uczniów pragnących wyrzucić z siebie lęki i frustracje. Wielu nastolatków uznało jednak wizytę za wygodną wymówkę, by opuścić zajęcia, bo przepustki na spotkania rozdawano na prawo i lewo.

Violet wolała zachować swoje zmartwienia dla siebie, zamiast zgłaszać się do specjalisty. A ponieważ Jay się do niej nie odzywał, nie miała zupełnie nikogo, komu mogłaby się zwierzyć. Przyjaciel podrzucił ją do domu po katastrofalnej wyprawie do centrum handlowego i zaczekał na podjeździe akurat tyle czasu, by się upewnić, że dziewczyna bezpiecznie zniknęła za drzwiami. Kiedy Violet zadzwoniła do niego później tego wieczoru, nie zadał sobie nawet trudu, by podejść do telefonu, nie odpowiadał też na e-maile. Nie naciskała. Wiedziała, że jest na nią wściekły i potrzebuje czasu, by ochłonąć.

Po powrocie rodzice całkowicie zaskoczyli Violet, wręczając jej nowiutki telefon komórkowy.

Prosiła ich o komórkę, odkąd skończyła czternaście lat, wyliczając kolegów i koleżanki w swoim wieku, którzy już je dostali. Rodzice zawsze odmawiali i ignorowali jej świąteczne oraz urodzinowe prośby o telefon, odpowiadając, że „nie ma potrzeby” go kupować.

Najwyraźniej zmienili zdanie.

Violet powinna być zachwycona, ale prezent nie zrobił na niej takiego wrażenia, jakie wywarłby dawniej. Teraz wydawał się raczej narzędziem niezbędnym do przetrwania niż zabaw-

ką, którą zawsze chciała mieć. Wsunęła go do torebki obok pojemnika z gazem pieprzowym.

W poniedziałek wędrowała według planu z zajęć na zajęcia, próbując nie zwracać uwagi na fakt, że Jay, zajmujący miejsce obok niej na kilku lekcjach, nadal się nie odzywa. Siedział niewzruszony, patrząc przed siebie i przekonująco udając, że słucha nauczycieli, by uniknąć przypadkowego kontaktu wzrokowego z Violet. Wiedziała, że nadal jest wściekły.

W gruncie rzeczy jej to nie przeszkadzało, bo czuła, że na to zasłużyła, przynajmniej do pewnego stopnia. Wspominając plany konfrontacji z mordercą w galerii handlowej, zrozumiała, że poprzedniego dnia zachowała się jak idiotka. Zamiast więc pozwolić, by celowe lekceważenie przez Jaya ją zabolowało, udawała, że nic nie zauważa.

W poniedziałek nastąpiło jednak jeszcze jedno zaskakujące wydarzenie.

Po wuefie, pierwszej lekcji, ze zdziwieniem zobaczyła Grady ego czekającego na nią obok szatni. Odprowadził ją na kolejną lekcję. Gawędzili o drobiazgach, co nie było dziwne: przecież znali się od dawna. Violet podobało się, że chłopak nie próbuje stać się dla niej kimś więcej, choć wybierali się razem na bal. Prawdę mówiąc, jego towarzystwo sprawiło jej przyjemność i ucieszyła się, że ją zagadnął.

Jay nie podniósł wzroku, mijając ich w drodze na własne zajęcia, lecz Violet była pewna, że zacisnął pięści, kiedy zobaczył ją z Gradym.

Mimo to - skoro byli „tylko przyjaciółmi” - dziewczyna zdziwiła się jeszcze bardziej na widok Grady ego czekającego na nią po dwóch następnych lekcjach.

Planowała zjeść lunch przy tym co zawsze stoliku, z tymi samymi znajomymi, z którymi jadała niemal codziennie. Grady zwykle spędzał czas z grupą swoich kumpli sportowców, tego dnia jednak najwyraźniej wyczuł, że Violet będzie sama, i zdecydował się jej nie opuszczać ani na chwilę. Dziewczyna nie protestowała. Podeszła z tacą do stolika, gdzie siedziały już Claire i Jules. Grady zajął krzesło obok niej... na dotychczasowym miejscu Jaya.

Nieobecność tego ostatniego kłuła w oczy.

Violet najdyskretniej jak mogła, rozejrzała się po stołówce, zastanawiając się, z kim przyjaciel postanowił zjeść lunch, ale nigdzie go nie zauważyła. Trochę ją zirytowało, że poczuła rozczarowanie, nie widząc go nawet z daleka.

- Cześć, Grady - rzuciła znacząco Chelsea, dołączając do towarzystwa i wciskając się między Claire i Jules.

Violet wiedziała doskonale, że ten ton był przeznaczony przede wszystkim dla niej.

- Hej - odparł Grady, kiwając głową pozostałym dziewczynom.

Na parę chwil zapadło niezręczne milczenie, które stało się jeszcze bardziej krępujące, gdy Chelsea rzuciła kilka mało dyskretnych ciekawskich spojrzeń w kierunku Violet. Chelsea miała mniej więcej tyle subtelności co młot pneumatyczny.

Ostatecznie jednak to Claire pogorszyła sytuację pytaniem, gdzie się podział Jay.

Violet nie zamierzała tłumaczyć, że chłopak się na nią gniewa, zresztą i tak nie mogłaby wyjaśnić powodu awantury, wymyśliła więc kulawą wymówkę, że musiał zostać po lekcji, by dokończyć jakieś zadania. Nie miała pojęcia, czy Jay potwier-

dzi jej głupie kłamstwo, gdyby ktoś go spytał, ale w tej chwili obchodziło ją tylko to, by powstrzymać pozostałych od wypytывania o jego nieobecność.

Kiedy przyłączył się do nich Andrew Lauthner, stały gość przy ich stoliku i wierny wielbiciel Chelsea, Grady z wdzięcznością skupił na nim uwagę. Ponieważ zaczęli dyskutować o samochodach - na temat, o którym Violet zupełnie nic nie wiedziała - nie czuła się niezręcznie, ignorując rozmowę i ich samych.

Chelsea posłała jej kolejne zaintrygowane spojrzenie, dając znać, że nie kupiła historyjki o odrabianiu zadań. Ale Violet udawała tępą i robiła wrażenie, że nie dostrzega bystrych spojrzeń przyjaciółki.

Gdy w końcu odezwał się dzwonek, ucieszyła się, że Grady jest nadal zbyt zaprzątnięty rozmową z Andrew, by ją odprowadzić na kolejną lekcję. Niestety, ciekawość Chelsea nie zmaląła w trakcie posiłku. Dziewczyna zerwała się z miejsca i ruszyła za Violet do wyjścia ze stołówki.

Szły w milczeniu niemal minutę, zanim Chelsea się odezwała. Violet wiedziała jednak doskonale, na co się zanoszą.

- Podoba mi się nowy Jay - oznajmiła Chelsea, jakby to była najzwyczajniejsza uwaga, nie zaś próba wydobycia informacji.

- Zamknij się - jęknęła Violet, nie umiając ukryć uśmiechu wywołanego absurdalnym komentarzem.

Nie miała ochoty dzielić się z Chelsea swoimi problemami.

- Nie zrozum mnie źle, Vi. Nadal wolę starego Jaya, mówię tylko, że nowy nie jest taki zły. No i o n przynajmniej miał odwagę zaprosić cię na bal. A na to stary Jay najwyraźniej nie umiał się zdobyć.

- On nie jest nowym Jayem - upierała się Violet, przystając przy swojej szafce, by wyjąć podręcznik. - Jay po prostu jest na mnie w tej chwili wkurzony. Przejdzie mu. Poza tym już ci mówiłam, że tylko się przyjaźnimy.

- Z którym? Z nowym czy starym?

Violet wywróciła oczami i z hukiem zatrzęsnęła drzwiczki.

- Z oboma. - Obróciła się na pięcie, zostawiając Chelsea obok rzędu szafek. Po chwili zawołała przez ramię: - Zresztą nie ma żadnego nowego Jaya!

Dopiero w tej chwili uświadomiła sobie, że Jay stoi dokładnie na środku korytarza, parę metrów od niej, i mógł słyszeć całą rozmowę, choć nie była pewna, od jak dawna się tam znajdował. Mimo to okropnie się zawstydziała.

Udała, że nie widzi jego jadowitego spojrzenia, kiedy przemykała obok, uciekając na następną lekcję... I starając się nie pamiętać, że Jay będzie siedział obok niej.

Minęły kolejne dwa dni, podczas których Jay nie odzywał się do Violet, Grady zaś okazywał jej nadzwyczajne względy.

Przypominało to życie w jakimś dziwnym równoległym wszechświecie, gdzie góra oznacza dół, a tak - nie.

Violet nie przeszkadzało, że Jay jej unika, bo dzięki temu miała czas na opracowanie planu, który wymyśliła, a w którym, jak wiedziała, Jay nigdy by jej nie pomógł. Ale nadmierne zainteresowanie ze strony Grady'ego to była zupełnie inna historia. Zaczynał jej działać na nerwy, kiedy włóczył się za nią krok w krok niczym rozbrykany szczeniak, ciągle płaczący się pod nogami. I zawsze okazywał się szybszy: stał pod klasą, zanim zdążyła się wymknąć i zniknąć na zatłoczonym korytarzu, cze-

kał przy jej stoliku w stołówce, a nawet zjawiał się przy samochodzie po szkole, by spędzić z nią jeszcze parę minut.

Stało się oczywiste, że wcale nie zamierza być tylko jednym z jej znajomych. Violet upewniła się już, że chłopak chce czegoś więcej, i winiła nieobecnego Jaya za bezczelność, z jaką Grady towarzyszył jej w szkole. Obawiała się, że jeśli Jay wkrótce nie zacznie z nią rozmawiać, Grady uzna, iż lekcje mu nie wystarczają, i zacznie do niej wydzwaniać o najróżniejszych porach. A nie była pewna, ile wiadomości głosowych zmieści się w jej komórce.

Ostatnio na samą myśl, by pójść z Gradym na bal, zaczynała ją swędzieć skóra, jakby dopadły ją mrówki - lub, co bardziej prawdopodobne, poważne wątpliwości.

Próbując ignorować entuzjastyczne zainteresowanie Grady ego, skierowała całą uwagę na szczegóły nowego planu. Pomysł przyszedł jej do głowy w czasie milczącego powrotu z galerii z Jayem. Wiedziała już na pewno, że wędrowanie po miejscach publicznych w poszukiwaniu ech było błędem. Istniało zbyt wiele zmiennych, zbyt wielu ludzi zabijało bez złych intencji, z racji wykonywanego zawodu lub dla sportu.

Uświadomiła sobie, że musi w jakiś sposób zawęzić poszukiwania.

Sądziła, że bez trudu wychwyci piętno pozostawione przez dziewczynę z jeziora. Widziała je przecież i wiedziała, że kimkolwiek jest zabójca, pozna go po promiennej oleistej plamie, takiej samej jak u dziewczyny znalezionej w wodzie. A jednak echo wizualne okazałoby się użyteczne tylko wtedy, gdyby Violet stanęła twarzą w twarz z mordercą. Dostrzeżenie go z odległości było prawie niemożliwe.

Potrzebowała więcej informacji. I istniał tylko jeden sposób, by je zdobyć.

Musiała się dowiedzieć, jakie echo pozostawiła druga dziewczyna, Brooke Johnson - i czym nazaczyła zabójcę.

Komuś takiemu jak Violet, kto potrafił wyczuć ślady energii morderstwa, trudno było odwiedzać cmentarze. O ile się orientowała, pochowanie zwłok zaprowadzało spokój, sprawiało, że echo stawało się mniej... i n t e n s y w n e. Jej wiedza była jednak ograniczona, w najlepszym razie oparta na doświadczeniu, i dziewczyna zawsze się obawiała, że jej domysły okażą się błędne.

Starła się zatem unikać miejsc, gdzie szanse na spotkanie ech były największe - cmentarzy, szpitali z kostnicami, domów pogrzebowych - gdyż bała się, że mogłaby tam wyczuć coś trudnego do zniesienia. Rodzice ją ochraniali, posunęli się nawet do tego, że zostawili ją w domu, jadąc na pogrzeb babci. A to zdarzyło się zaledwie przed trzema laty.

Teraz jednak, gdy los Hailey McDonald wciąż pozostawał nieznany, w Violet zbudziło się poczucie odpowiedzialności znacznie silniejsze od wszelkich lęków - r z e c z y w i s t y c h c z y w y o b r a ż o n y c h - przed nieprzyjemnymi odczuciami. Co, jeśli tylko ona mogła znaleźć sprawcę? Nie zamierzała zaprzepaścić tej szansy.

Jeśli miała się dowiedzieć, jak wygląda echo Brooke, musiała iść na cmentarz, gdzie dziewczyna została pochowana.

Pomysł wydawał się prosty, lecz zrealizowanie go było zupełnie inną sprawą. Rodzice wprowadzili maksymalne środki bezpieczeństwa i prawie uziemili Violet. Czowała się niczym w ciężkim więzieniu, tym bardziej że pod nieobecność Jaya,

jej strażnika i obrońcy, nie chcieli spuścić córki z oka na dłużej niż pięć minut.

Jay byłby idealnym pomocnikiem, gdyby nie irytujący fakt, że postanowił się do niej nie odzywać. To oraz skromny wyczyn w galerii sprawiało, że Violet w żaden sposób nie zdołałaby go przekonać, by znowu jej pomógł. Obawiała się, że gdyby się dowiedział o planach przyjaciółki, próbowałby ją powstrzymać, nawet gdyby musiał w tym celu donieść na nią rodzicom.

Rozważała wciąż nowe sposoby, by się wymknąć na popołudnie, i odrzucała je po kolei, pewna, że gdyby ją przyłapano na kłamstwie - lub choćby zatajeniu prawdy - rodzice trzymaliby ją pod kluczem do końca życia.

Okej, trochę dramatyzowała, ale nie było to całkiem nieprawdopodobne.

Kiedy wreszcie wpadła na pomysł, zrobiło jej się niemal głupio, że nie pomyślała o tym wcześniej. Wymówka wydawała się idealna. Nikt, nawet rodzice, nie mógł się domyślić prawdy. Nawet jej towarzysz miał pozostać nieświadomy swojej roli w oszustwie. Nie mogło się nie udać.

Wystukała numer Grady ego na nowej komórce: pierwszy raz, odkąd go dostała, aparat miał się na coś przydać.

Chłopak odebrał po pierwszym dzwonku głosem pełnym entuzjazmu. Wymienili parę uprzejmości i Violet przeszła do realizacji planu.

Starannie dobierała słowa, wypełniając scenariusz, który przygotowała w myślach, zanim sięgnęła po telefon.

- A w ogóle to dzwonię, bo z powodu tego wszystkiego nie miałam jeszcze okazji odwiedzić grobu Brooke i okropnie się czuję z tego powodu - wyjaśniła najszczerzej, jak potrafiła.

- Kurczę, nie wiedziałem nawet, że się przyjaźniłyście.

- Aha. Grałyśmy razem w softball i piłkę nożną, kiedy byłyśmy młodsze, i chociaż rzadko się spotykałyśmy, bardzo mną wstrząsnęło, kiedy usłyszałam... no wiesz...

Starła się sprawiać wrażenie przybitej, niezdolnej dokończyć zdanie. Żałowała, że nie należy do dziewczyn, które potrafią płakać na zawołanie dla większego efektu.

- Myślisz... nie miałbyś nic przeciwko temu... żeby ze się mną wybrać? Żebym nie musiała tam jechać sama...?

Pozwoliła, by pytanie zawisło w powietrzu, i czekała na odpowiedź.

Rozegrała to idealnie, od pomysłu po wykonanie. I mimo że zadanie było bardzo trudne, przyznała sobie za nie dziesięć punktów na dziesięć możliwych. Jay przejrzałby ją natychmiast, lecz Grady dał się nabrać jak dziecko.

- Kiedy chcesz jechać? - zapytał.

- Mógłbyś wpaść do mnie za godzinę?

Zapewne gdyby kazała mu się stawić za dwie minuty, przybyłby w ciągu jednej.

Kiedy się rozłączyła, stwierdziła ze zdziwieniem, że nie ma najmniejszych wyrzutów sumienia z powodu oszustwa. Zastanawiała się, czy czułaby się inaczej, gdyby okłamała Jaya.

Następna część planu okazała się trochę trudniejsza. Musiała przekonać rodziców, by ją puścili.

Tato nie wrócił jeszcze z pracy, ale mama była w swoim studiu.

Violet powędrowała przez trawnik do niewielkiej szopy przerobionej na pracownię malarską. Kiedy pchnęła drzwi, przywitał ją znajomy zapach lnianych płócien i opary rozcieńczalnika do farb.

Mama uśmiechnęła się na powitanie, myjąc pędzle w starym słoiku ze żrącym płynem.

- Co tam, Vi?

Violet zawahała się i poczuła pierwsze ukłucie wyrzutów sumienia. Pomyślała jednak, że nie może się już wycofać, więc brnęła dalej.

-Dzwonił Grady Spencer i pytał, czy pojedę z nim na cmentarz. Mama uniosła brwi, słysząc o niezwyklej prośbie. Przerwała płukanie pędzli i wytarła ręce o poplamiony farbą kitel. Wydawała się zaniepokojona i Violet wiedziała dlaczego. W zwykłych okolicznościach Violet nie mówiłaby o rzeczach tego rodzaju.

Dziewczyna zagłębiła się w przygotowane wcześniej wyjaśnienia.

- Zdaje się, że się przyjaźnił z tą zamordowaną dziewczyną, tą z Bonney Lake. Chciał zanieść kwiaty na jej grób, ale wolałby nie iść sam. - Ledwie potrafiła uwierzyć, że wypowiada te kłamstwa bez drgnienia powieki. - To nic wielkiego, szczególnie że będzie ze mną, więc się zgodziłam.

Zmusiła się, by sprawiać wrażenie tak odprężonej, jak to możliwe w podobnej chwili, choć serce biło jej nerwowo.

- Mogę jechać, prawda?

Maggie Ambrose uważnie przyjrzała się córce.

- Jesteś pewna?

Violet kiwnęła głową i wstrzymując oddech, spojrzała czujnie na matkę, próbując odgadnąć jej myśli. Dziewczynie wydało się, że ujrzała przelotny sceptycyzm w oczach kobiety, i zastanowiła się, czy nie przesadziła.

W końcu jednak matka wróciła do czyszczenia pędzli i wzruszyła ramionami.

- Chyba możesz. Jeśli cały czas będziecie razem. - Posłała Violet surowe spojrzenie. - Mówię poważnie, Violet Marie... macie się nie rozdzielać. I bądź ostrożna.

- Dobrze, mamó. Dzięki.

Podbiegła i szybko cmoknęła mamę w policzek, co trochę zaskoczyło je obie. Nie robiła tego od wieków i nie potrafiła powstrzymać myśli, że impuls wywołało palące poczucie wstydu z powodu kłamstwa. Być może czuły gest złagodzi nieco skrupuły wywołane tym, co zamierzała uczynić.

Jednak mimo ciężaru nieczystego sumienia prawie wyfrunęła z szopy i czekała niecierpliwie na przybycie Grady ego.

ROZDZIAŁ 13

VIOLET SIEDZIAŁA NA FOTELU PASAŻERA w podrasowanym pięcioletnim nissanie sentra należącym do Grady'ego. Uważała za dziwny pomysł, by „odpicować” tę markę, lecz zachowała to dla siebie, bo chłopak najwyraźniej puchł z dumy, pokazując nowe kołpaki i opalizującą fioletową farbę, którą pokrył fabryczny srebrzysty lakier. Silnik pracował nedorzecznie głośno - kolejna rzecz, z której Grady był niezwykle zadowolony. Hałaśliwa przejażdżka nie mogła zmniejszyć napięcia, jakie czuła Violet. Nie do wiary, że się na to zdobyła. Osiągnięcie miało jednak swoją cenę.

Czuła, jak mięśnie karku napinają się coraz bardziej, w miarę jak się zbliżali do małego cmentarza w centrum, gdzie pochowano Brooke Johnson. Grady najwyraźniej uznał niepokój dziewczyny za żal z powodu utraty rzekomej przyjaciółki, bo przestał zamęczać Violet nieustającym strumieniem komunałów, kiedy wjechali na szosę wijącą się wzdłuż rzeki.

Pierwszy raz Violet miała szansę wykorzystać swoją umiejętność w pożyteczny sposób i nie zamierzała się uchylać od obowiązku. Grady minął ostatni zakręt w lewo i ich oczom ukazało się ciężkie czarne ogrodzenie z kutego żelaza.

Violet była zaskoczona, kiedy dotarli do bramy i nie poczuła - czy raczej nie wyczuła - niczego. Zmartwiła się, że może myliła się od początku. Może będzie tak jak ze zwierzętami znajdowanymi w lasach: ich indywidualne echa roztapiały się w ledwie uchwytnym szumie, kiedy je pochowała na swoim prywatnym cmentarzu.

Jeśli okaże się, że słyszy jedynie cichy szmer, nie odróżni echa Brooke Johnson od pozostałych.

Grady wjechał na niewielki parking i zgasił ogłuszający silnik. Violet wysiadła z wozu i natychmiast otoczyły ją elektryczne trzaski. Dobiegały zewsząd i niewiele się różniły od szumu zakłóceń, do którego przywykła na własnym zaimprovizowanym cmentarzyku, lecz mimo to niewątpliwie je słyszała. Napięcie w karku wróciło. Przygotowała się na sensoryczny atak.

Grady nic nie słyszał.

Obszedł samochód i w milczeniu jej towarzyszył, kiedy wolno wędrowała wśród rzędów nagrobków i tablic. W kilku miejscach w ziemię wbite małe amerykańskie flagi. Violet bardzo uważała, by nie zniszczyć żadnych prywatnych pamiątek napędzających cmentarz energią i barwami, żyjących własnym życiem.

- Wiesz, gdzie jest pochowana? - zapytał Grady, przybierając poważny ton, stosowny do posępnej atmosfery rozciągającego się przed nimi cmentarza.

Nie wiedziała. Z jakiegoś powodu zupełnie nie przyszło jej do głowy, że mogłaby mieć problem z o d s z u k a n i e m grobu, po prostu założyła, że będzie wiedziała, gdzie się znajduje. .. że jakimś sposobem w y c z u j e Brooke wśród innych osób pochowanych w tym miejscu. Pokręciła głową, odpowiadając na pytanie Grady ego.

- Nie szkodzi - uspokoił ją niezrażony i nagle poczuła, jakby znowu miała przy sobie starego przyjaciela. Bardzo jej go brakowało. - Będziemy chodzić tak długo, aż znajdziemy - zapewnił.

Violet uznała, że chłopak ma rację; nie powinno się to okazać zbyt trudne. Cmentarz był niewielki, zajmował nie więcej niż parę kwartałów. Kiedy jednak spojrzała na morze nagrobków - niektóre ozdobiono kwiatami i balonikami - zdumiała się, jak wiele grobów pomieściło się w ciasnej przestrzeni.

Wkrótce sobie uświadomiła, że biały szum bynajmniej nie przypomina zakłóceń elektrostatycznych. Kiedy się skupiła, szukając drogi do Brooke Johnson, w y c z u ł a jego fluktuacje. Odetchnęła głęboko, próbując się odprężyć i zabrać do wyławiania poszczególnych energii.

Bez wątpienia były tu echa zamordowanych.

Gdzieś bardzo blisko usłyszała przenikliwy huk wybuchających sztucznych ogni. Drgnęła i obróciła się dokoła, szukając źródła dźwięku. Raptowne trzaski brzmiały znajomo, przypominały dziewczynie gorące czerwcowe dni i letnie pikniki.

- Co się stało? - spytał Grady, przyglądając jej się ciekawie.

Violet zrozumiała, że właśnie wyłowiła pierwsze echo.

- Nic - odparła szczerze, ruszając w kierunku dźwięku. Musiała się dowiedzieć, skąd dochodzi. Miała nadzieję, że dopisało jej szczęście i odnalazła Brooke.

Zatrzymała się przy kamiennej tablicy z plakietką z brązu, na której widniał napis:

EDITH BERNHARD 19 *czerwca* 1932 - 2 *maja* 1998 *Ukochana żona i matka*

Wystrzały i huki rozbrzmiewały tak wyraźnie, kiedy stała przed prostym nagrobkiem, że niemal czuła siarkowy zapach dymu, którego w rzeczywistości brakowało. Pomyślała o Edith Bernhard, zmarłej w wieku sześćdziesięciu pięciu lat.

Zastanawiała się, kim była, w jaki sposób zginęła i kogo po sobie zostawiła. Nie była to naturalna śmierć, nie w wypadku Edith, nie z takim echem... Lecz jaka w takim razie? Morderstwo?

Eutanazja chorej, cierpiącej kobiety? Samobójstwo? Czy samobójstwo w ogóle zostawia echo? Czy Edith nosiła piętno śmierci z własnej ręki?

- Znałaś ją?

Na moment Violet zapomniała o Gradym, stał jednak tuż za nią, czytając jej przez ramię napis na nagrobku. Z jakiegoś powodu poczuła, że chłopak burzy spokój zmarłej przez samą obecność w tym miejscu.

- Nie. Tylko patrzę - odparła, odciągając go dalej. Spacerowali. Violet przystanęła raptownie przy kilku echach, które zdołały się wyodrębnić spośród pozostałych. Zatrzymała się przy wyraźnym zapachu kawy, by przeczytać napis na nagrobku mężczyzny zmarłego wkrótce po trzydziestce, ponad czterdzieści lat wcześniej.

Poczuła, jakby każdy centymetr jej skóry gładziło tysiąc puchowych piór, i stanęła obok grobu niemowlęcia, które zmarło parę dni po urodzeniu przed jedenastoma laty. Ogarnął ją

smutek na myśl, co takiego spotkało małeństwo, że otrzymało własne tragiczne echo, lecz musiała odejść, skrepowana i niezadowolona z siebie.

Kiedy pierwszy raz doleciało ją bicie dzwonów, wyraźne i czyste, wzięła je za pochodzące z realnego świata. Była pewna, że w pobliżu, gdzieś na cmentarzu, znajduje się wieża zegarowa i właśnie wybiła godzina. Dźwięk miał w sobie coś niezwykle melodyjnego, choć zarazem brzmiał zbyt rozdzierająco jak na realny odgłos. Rozejrzała się wokół i szybko zerknęła na Grady'ego, by sprawdzić, czy też usłyszał.

Jak jednak mogła oczekiwać, w zasięgu wzroku nie zobaczyła żadnych zegarów ani wież, a wyraz twarzy Grady'ego zdradzał jasno, że chłopak nie słyszał tego co ona.

Było to echo.

I, co więcej, Violet nie miała wątpliwości, że to echo Brooke. Nieodparte i silne.

Wyminęła Grady'ego, trawiona potrzebą odnalezienia źródła dźwięku.

Nie szukała długo. Melodyjne kuranty wskazywały jej drogę, pozwalając bez trudu znaleźć grób. Świeże kwiaty kaskadą spływały z nagrobka na otaczającą go trawę. Srebrne balony, wciąż wypełnione helem i unoszące się w powietrzu, kołysały się na lekkim jesiennym wietrze. Violet musiała się schylić i odgarnąć na bok liczne pamiątkowe drobiazgi, by zobaczyć nazwisko na tabliczce.

To była ona.

BROOKE LYNNE JOHNSON Najdroższa córka Ukochana przyjaciółka

Już sam widok umieszczonych obok siebie dat urodzenia i śmierci sprawił, że pod Violet ugięły się nogi, więc osunęła się na ziemię, nie zwracając uwagi na wilgotny chłód przenikający przez materiał dzinsów. Miały prawie tyle samo lat i mieszkały kiedyś tak blisko siebie... Choć Violet od zawsze była oswojona ze śmiercią, brutalne zabójstwo dziewczyny odczuwała aż nazbyt realnie.

Zamknęła oczy i słuchała dzwonów. Rozbrzmiewały słodko, przenikając ją do głębi, niemal sięgając duszy; dźwięk wibrował w jej wnętrzu, żył własnym życiem.

Utrwaliła go w pamięci.

Było to echo słuchowe. Wciąż silne, nieosłabione upływem czasu. Potrafiłaby je wytropić. Rozpoznałaby ten dźwięk wszędzie. O każdej porze.

Lecz mężczyzna noszący piętno nic o tym nie wiedział.

Nagle poczuła się jak drapieżnik wyposażony w najpotężniejszą w świecie broń. Teraz to ona stanie się myśliwym, a on -zwierzyną.

Zaczekała tylko parę chwil dłużej, niż potrzebowała, chcąc w myślach podziękować Brooke za czas, jaki zmarła jej poświęciła. .. i za rozdzierająco piękne echo, jakie jej ofiarowała.

Grady czekał z szacunkiem w pewnej odległości.

Kiedy wracali przez cmentarz, Violet pozwoliła, by wszystkie echa, także echo Brooke, stopiły się w harmonijny szmer, ponownie napełniając ją spokojem.

To były ciała zmarłych. Wyrwanych z tego świata przed właściwym czasem, lecz złożonych na spoczynek przez kochających bliskich. Oni odnaleźli harmonię.

NIEWIDZIALNE

MĘŻCZYŻNA OKRYŁ SIĘ ZASŁONĄ CIEMNOŚCI niczym opończę. Choć chronił go mrok, mimo woli rozejrzał się wokół raz jeszcze, jak najciszej zamykając bagażnik samochodu.

Nie potrzebował latarki, nawet gdyby dysponował wolną ręką, by ją trzymać. Znał drogę na pamięć; wcześniej wiele razy ćwiczył pokonywanie tej trasy. Uczył się każdego kroku, aż mógł ją przebyć z zamkniętymi oczami. Tak musiało być, bo ładunek był ciężki, a on nie miał czasu na szukanie drogi.

Podniósł z ziemi cuchnącą wojskową torbę; nieporęczna zawartość się przesunęła. Napiął mięśnie, zanim zrobił pierwszy krok. Przełożył przez pierś długi pasek, balansując górną częścią ciała, aby utrzymać ciężar w równowadze. Mimo niesionego brzemienia jego ruchy były regularne i pewne, stopy odszukiwały drogę, wymijając naturalne przeszkody ukryte w mroku.

Liczył każdy odmierzony krok, aż dotarł do celu, a wtedy rzucił pakunek na ziemię, jego puls przyśpieszył, oddech, już wcześniej ciężki, teraz stał się nierówny i urywany. Poczul znajome ożywienie - miał nadzieję, że to uczucie nigdy mu nie spowszednieje... Podniecało go do głębi.

Uwielbiał tę część polowania.

Schylił się, rozkoszując się czekającą go pracą, i rozpiął torbę. W powietrzu rozszedł się metaliczny zapach krwi, nie do pomylenia z niczym, zmieszany z lekkim odorem zaczynającego się rozkładać ciała. Mężczyzna wciągnął go głęboko do płuc. Za chwilę będzie po wszystkim i nigdy już nie poczuje woni tej właśnie dziewczyny.

Odwrócił się i ukląkł. Rękami rozgarnął miękką ziemię i liście w miejscu przygotowanym wcześniej na ukrycie zwłok. Teraz, po jesiennej mżawce, grunt stał się bardziej zbity, więc praca wymagała większego wysiłku, niż się spodziewał. Nie dbał jednak o to; także ten element polowania cenił: ostateczny akt, w którym uwalniał dziewczynę raz na zawsze i grzebał wraz z nią swoje tajemnice.

Zanim dół był gotowy, mężczyzna oblał się lodowatym potem, owiany przez nocne powietrze. Uniósł koniec płóciennej torby i szarpnął, tak że ukryte we wnętrzu ciało wysunęło się przez rozpięty zamek i z ciężkim odgłosem wpadło do prowizorycznego grobu. Nie czuł nic, kiedy je przykrywał świeżo wruszoną ziemią. Kiedy skończył zakopywać zwłoki, sięgnął do luźnego stosu liści zebranego w pobliżu i obsypał nimi odsłoniętą glebę, nadając scenie możliwie naturalny wygląd. Chociaż w tym miejscu i tak nie było to konieczne.

Wstał i otrzepał z ziemi ręce i ubranie, rękawami otarł pot i brud z twarzy, po czym starannie zwinął torbę w ciasny rulon i wsunął ją pod pachę. Wyciągnął w ciemności rękę i dotknął pnia drzewa po swojej lewej stronie - wskazówki, której używał do wyznaczenia drogi powrotnej - po czym zaplanowaną z góry trasą wrócił do samochodu.

Gdy znalazł się w środku, najuważniej, jak potrafił, rozejrzał się po okolicy, a kiedy się upewnił, że nikt go nie spostrzegł, włączył silnik.

Odjeżdżając z kryjówki pośród rozrośniętych drzew i krzewów, sprawdził w lusterku, czy nie ma na twarzy śladów błota, i skręcił na główną drogę. Czekał, aż napłynie uczucie ulgi, poczucie dobrze wykonanej pracy... świadomość sukcesu... ostatecznego rozstrzygnięcia.

Nie pojawiło się jednak, jedyne, co czuł, to naglące pragnienie wyływające z głębi jego istoty.

Tym razem nie będzie zdolny czekać. Znajome wrażenia powracały coraz szybciej po zabiciu każdej dziewczyny: niecierpliwość, by znaleźć następną... by znowu rozpocząć polowanie.

„Nienasycony - pomyślał. - Głodny. Spragniony pogoni”.

„Wkrótce - uspokoił sam siebie. - Wkrótce”.

ROZDZIAŁ 14

W PIĄTEK, PIĄTEGO Z RZĘDU DNIA, kiedy Jay jej unikał, Violet poczuła się opuszczona na dobre. Nie dlatego, że nie miała innych znajomych, ale tak się złożyło, że Jay należał do jej ulubionych. Poza tym trudno go było oglądać cały dzień, siedzieć obok na lekcjach i mijać na korytarzu - i się nie odezwać. Chciałaby spróbować, ale myśl, że chłopak mógłby nie odpowiedzieć, tak ją przygnębiała, że wołała nie ryzykować odrzucenia.

„Moje życie w pigułce” - pomyślała zgnębiona. Nigdy nie sądziła, że wpakuje się w podobną sytuację.

Ugryzła jabłko; Chelsea właśnie sadowiła się obok niej w stołówce.

- Gdzie nowy Jay? - spytała.

Przywiązała się do tego żartu. Powtarzała go w kółko przez cały ostatni tydzień, za każdym razem coraz bardziej drażniąc tym Violet. Pewnie dlatego zabawa jeszcze jej się nie znudziła: potrafiła wyczuć irytację przyjaciółki.

Zamiast sprostować po raz setny, Violet rozejrzała się po otoczeniu i uświadomiła sobie, że Grady ego nigdzie nie widać. Zdarzyło się to pierwszy raz - przynajmniej w ciągu ostatnich pięciu dni - i dziewczynie wydało się dziwne, że nawet nie zauważyła jego nieobecności.

Wzruszyła ramionami w odpowiedzi na pytanie Chelsea. Zrobiło jej się trochę żal chłopaka, który miotał się jak szalony, aby się znaleźć w jej pobliżu. Lecz wdzięczność za chwilę spokoju była znacznie silniejsza niż żal z powodu źle ulokowanych uczuć kolegi.

Ścisłe rzecz biorąc, spokój trwał... póki nie zjawiła się Chelsea. Wkrótce potem przyłączyły się do nich Jules i Claire.

- Gdzie nowy Jay? - rzuciła Jules, po czym wymieniła spojrzenia z Chelsea i obie zaczęły rechotać z własnego dowcipu.

Nawet Claire, zwykle poważnie podchodząca do życia, zachichotała.

Violet wywróciła oczami.

- Ile czasu zabrało wam, geniusze, wykombinowanie tej perły dowcipu? - spytała oskarżycielsko, co tylko rozbawiło je jeszcze bardziej. Pokręciła głową. - Idiotki - dodała i ugryzła jabłko, postanawiając nie zwracać na nie uwagi.

- Więc jak w końcu? - dociekała Claire. - Uważasz je za geniuszy czy idiotki?

Chelsea, oparta o Jules, tak bardzo śmiała się z głupiego żartu, że nie mogła wydobyć głosu.

Violet przeniosła wzrok z Chelsea na Jules i z powrotem.

- Idiotki - stwierdziła stanowczo.

Nastąpiła kolejna długa pauza, gdy dwuosobowy kabaret próbował dojść do siebie.

- Daj spokój, Vi. Skoro nie możemy żartować z nowego Jaya, z czego mamy się śmiać? - spytała Chelsea, w końcu odzyskując kontrolę nad sobą. Otarła oczy papierową serwetką.

- Śmiejecie się, z czego chcecie - odparła Violet tak beznamiętnie, jak potrafiła. - Nie wasza wina, że nie jesteście zabawne.

- Och, ja jestem bardzo zabawna. Jestem, kurczę, prze-komiczna. To ty straciłaś poczucie humoru - odparowała Chelsea.

Violet już miała zaprotestować, ale riposta utknęła jej w gardle na widok wchodzącego Jaya.

- O, popatrz, stary Jay - rzuciła nonszalancko Chelsea. -Z Lissie Adams.

Violet też to zauważyła.

Zachowywali się jak para starych przyjaciół. Jay, niosąc tacę z jedzeniem, uśmiechał się do Lissie. Dziewczyna szła tak blisko niego, jak to możliwe bez utraty równowagi. Jej najlepsza kumpela - dziewczyna, która przez całą karierę w szkole średniej żyła w cieniu popularności Lissie - wydawała się całkiem zadowolona, zamykając tyły. Jako para Jay i Lissie, ze swym nienagannym wyglądem i idealnymi uśmiechami, prezentowali się, jakby zeszli ze stron hollywoodzkiego magazynu plotkarskiego. Lissie miała nawet własny orszak. Brakowało tylko czerwonego dywanu.

„Ale nie są parą - przekonywała Violet w duchu samą siebie. - Prawda?”.

Nagle poczuła ucisk w piersi, była przytłoczona ciężarem pytań bez odpowiedzi. A jeśli właśnie zostali parą? A jeśli jej głupi wyczyn w galerii w ubiegły weekend tak bardzo znie-

chęcił Jaya, że zdecydował się na Lissie? Czy naprawdę zdarzyło się to niecały tydzień temu?

A jeśli Violet straciła w jego oczach wszystkie szanse?

Jak gdyby kiedykolwiek je miała...

Raz jeszcze zerknęła smętnie w ich stronę, niepewna, czy się jedynie nie oszukiwała do tej pory. Siedzieli przy stoliku zajmowanym zwykle przez Lissie i tych, których uznała za godnych swojego towarzystwa. Dziewczyna tuliła się do Jaya i szeptała coś najwyraźniej przeznaczonego tylko dla jego uszu. Naprawdę był świetnym facetem, szczególnie w sprawach, które się liczą. Pod nową wspaniałą powierzchownością pozostał dawnym Jayem: inteligentnym, zabawnym, słodkim. Czemu nie dostrzegła tego wyraźniej, zanim przemienił się w ideał urody, zanim wszystkie dziewczyny w szkole zaczęły ze sobą walczyć, by choćby zbliżyć się do niego?

Miał jednak także wady, co przypomniawszy sobie, obserwując go przy stoliku Lissie. Był niewiarygodnie uparty i zawzięty. I wcale nie tęskniła za tym, jak zabierał pilota, kiedy oglądali telewizję, i wyjadał jej frytki podczas lunchu. A przynajmniej przekonywała sama siebie, że nie tęskni.

Ani na chwilę nie podniósł wzroku, zajęty rozmową z Lissie. Nawet nie spojrzął w ich stronę, chociaż Violet była pewna, że zdawał sobie sprawę z jej obecności... Wiedział, że Violet siedzi na starym miejscu, z tymi samymi starymi koleżankami. Podczas gdy on testował siły na cienkim lodzie nowych, ambitniejszych znajomości, ona pozostała tą samą dawną Violet.

Chelsea najwyraźniej wyczuła, że nie pora na żarty, bo dała spokój dowcipom o nowym i starym Jayu... Przynajmniej na chwilę. Objęła Violet ramieniem.

- Hej, nie przejmuj się nimi. Elisabeth Adams niczym się nie różni od wszystkich pozostałych lasek, które go próbowały dostać w swoje szpony. Jest powierzchowna i nudna - starała się dodać otuchy przyjaciółce. - Jedna więcej cheerleaderka pozbawiona mózgu.

- Poza tym - odezwała się Claire - słyszałam, że to zdzira. Podobno ugania się za chłopakami. Połowa drużyny futbolowej przeżywa ją „ochraniacze na kolana”, jeśli wiecie, o co mi chodzi. Oczywiście wiedziały, jak można by nie zrozumieć mało subtelnej aluzji? Tylko czemu, u licha, Claire uważała, że ten okrucuch informacji poprawi nastrój Violet? Claire była chyba jedyną osobą przy stoliku, która nie zauważyła lodowatego spojrzenia i jadowitego tonu Chelsea.

- Nic podobnego - sprzeciwiła się Chelsea. - Święta Lissie to jedna z tych gwarantowanych dziewic. Z takich, co noszą pierścionek czystości i przyrzekają tatusiowi, że nie zrobią tego do ślubu, albo inne podobne bzdury. Nie ma mowy, żeby Jay dotarł do trzeciej bazy z tą sztywną chrześcijańską frajerką. Miało to podnieść Violet na duchu; wiedziała o tym i nie winiła Chelsea. W ten sposób przyjaciółka okazywała jej swoje bezwarunkowe poparcie. Ale z jakiegoś powodu Violet poczuła się jeszcze gorzej niż dotąd. Teraz wciąż sobie wyobrażała Lissie i Jaya, jak się obściskują w samochodzie jego mamy, jego rękę pod bluzką Lissie... mijającego pierwszą bazę i zmierzającego do drugiej. Zrobiło jej się niedobrze.

Zdecydowanie był to obraz, bez którego świetnie dałaby sobie radę, i żałowała w tej chwili, że nie może czegoś zrobić, by go usunąć z wyobraźni.

- To zdecydowało, Violet. Na sto procent idziesz dzisiaj z nami - oznajmiła Chelsea. - Olivia Hildebrand robi najlepsze imprezy, a tobie przyda się trochę rozrywki. Każdy ma przynieść własny alkohol, ale poproszę starszą siostrę, żeby nam coś kupiła, więc jeśli tylko wyskrobiesz parę dolców, ja się zajmę organizacją napojów.

Violet powiedziała wcześniej, że nie chce iść na imprezę. Jedyne, na co naprawdę miała ochotę tego wieczoru (i jedyne, co potrafiła sobie wyobrazić), to włożyć najwygodniejszy dres, wczłgać się do łóżka i oglądać stare filmy.

Zacząła protestować, ale Chelsea jej przerwała.

- Zaufaj mi, Vi. Nie siedź dzisiaj sama. Powiesz rodzicom, że nocujesz u mnie, i pójdziemy się zalać. Zapomnij o Jayu.

Zapomnij o Lissie. - Zrobiła słodką minkę i posłała Violet łzawe spojrzenie, raczej z ironią niż na poważnie. - Ślicznie, ślicznie prooszę!

- No chodź, będzie fajnie - zachęciła Jules na swój zwykły zwięzły sposób. Była równie niezdolna, by wydusić z siebie więcej niż parę słów, jak Chelsea, by powiedzieć coś naprawdę szczerze.

- No, a jeśli nie masz się w co ubrać, możesz pożyczyć ode mnie - dodała Claire, jakby to było jedyne zastrzeżenie Violet.

Teraz z kolei to Violet się roześmiała, patrząc na przyjaciółki próbujące - każda na swój żaloszny sposób - pocieszyć ją po stracie Jaya. Chciała odmówić, ale poczuła, że nie potrafi. Może miały rację, może potrzebowała babskiego wieczoru, nawet jeśli miał się skończyć na zatłoczonej imprezie z gromadą pijanych kumpli z klasy?

- Dobrze - uległa w końcu. - Ale musicie po mnie przyjechać. Rodzice nie wypuszczą mnie samej z domu. Uważają, że jesteśmy bezpieczniejsze, kiedy się poruszamy w grupach.

- Grzeczna dziewczynka. - Chelsea zmięła w kulkę pustą torebkę po śniadaniu i cisnęła ją w stronę kubła na śmieci stojącego obok stołu. Spudłowała haniebnie, ale kompletnie zignorowała ten fakt, pozostawiając papier na ziemi. - Zadzwoń do ciebie, jak będę wyjeżdżać.

Po czym odmaszerowała z Claire na następną lekcję, pozostawiając Violet w towarzystwie Jules.

W drodze do wyjścia musiały minąć stolik Lissie i Violet zaskoczona spostrzegła, że Jay nie siedzi już z dziewczynami. Nie zauważyła, jak wychodził. Ale sama z jakiegoś powodu przyciągnęła uwagę Lissie, bo kiedy mijały cheerleaderkę, ta przerwała rozmowę z koleżankami i zmierzyła Violet wzrokiem.

Jej spojrzenie było dziwne, jakby niepewne... niemal w y-z y w a j a c e. Jakby to Lissie była zazdrosna o Violet... i okropnie ją to wkurzało.

Violet chciała wyjaśnić, że nie ma się czego obawiać, tylko po to, by dziewczyna przestała się na nią gapić. Chciała powiedzieć, że nie są już z Jayem nawet przyjaciółmi, nie mówiąc nawet o byciu kimś więcej. Ale to byłoby bez sensu. Sądząc z niedawnej sceny w stołówce, Lissie prawie odniosła sukces. Wkrótce zrozumie, że Violet nie jest dla niej zagrożeniem.

Nagle impreza wydała się Violet doskonałym pomysłem.

Violet przymierzyła kilkanaście różnych strojów i właśnie zaczynała się zastanawiać, czy Claire nie miała racji. Może należało coś pożyczyć od samozwańczej dyktatorki mody?

Ostatecznie zdecydowała się na lepszą parę dżinsów, słodki czarny top i buty na płaskich obcasach. Dodała naszyjnik z koralików i klipsy do kompletu, po czym przejrzała się w lustrze. Rzadko się malowała, ale uznała, że to szczególna okazja - wieczór w babskim gronie, by zapomnieć o Jayu - więc delikatnie podkreśliła swoje zielone oczy kredką i ostrożnie pociągnęła rzęsy czarnym tuszem.

Efekt był bardzo dramatyczny; nadało to jej egzotyczny, niezwykły wygląd.

Pomalowała błyszczkiem wargi. „Nieźle” - oceniła w myślach, zakładając za ucho niesforne pasmo włosów.

Odezwał się standardowy, fabrycznie ustawiony dzwonek jej komórki. Nie zadała sobie trudu, by go zmienić. Czułaby się jak ktoś tańczący na grobach zamordowanych dziewczyn - oczywiście w przenośni - gdyby bawiła się telefonem, zamiast używać go do praktycznego celu, w jakim został kupiony.

Otworzyła klapkę i zanim zdążyła powiedzieć „słucham”, Jules już wrzeszczała jej do ucha: - Rusz swój chudy tyłek, dziewczyno! Czekaamy na twoim podejździe!

W tle usłyszała piski i wybuchy śmiechu. Pomyślała, że lepiej będzie zejść szybko, nim zaalarmowani rodzice zmienią zdanie i zabronią jej wieczornego wyjścia.

- Uciszcie się albo nigdzie nie pojedę - rzuciła surowo do telefonu, po czym zatrzasnęła klapkę, nie mówiąc nawet „cześć”.

Chwyciła torebkę i przeskakując po dwa stopnie, zbiegła na dół.

- Chelsea przyjechała! Do zobaczenia jutro rano!

- Uważaj na siebie! - odkrzyknęła mama.

- Miej telefon włączony - odezwał się tato, nie podnosząc głosu. - Na wszelki wypadek - dodał.

ROZDZIAŁ 15

USŁYSZAŁY ODGŁOSY IMPREZY, na długo zanim dotarły do domu Olivii Hildebrand. Grała muzyka podobna do tej w wozie Chelsea - tylko znacznie, z n a c z n i e głośniej. Cała czwórka wygramoliła się z niewielkiej mazdy i ruszyła długim podjazdem zatłoczonym samochodami. Violet przebiegła je wzrokiem, licząc wbrew nadziei, że zobaczy wóz mamy Jaya zaparkowany wśród pozostałych. Nie było go jednak, więc odsunęła marzenia na bok.

Mimo to uśmiechała się, stając w drzwiach wejściowych i tuląc w objęciach butelki taniego alkoholu, którego pewnie nawet nie skosztuje. Muzyka grała głośno, ale jej przyjaciółki zachowywały się głośniej. Słyszała kumpli wołających do nich z wnętrza domu, kiedy się zbliżały. Ich entuzjazm był zaraźliwy.

Violet uwielbiała imprezy głównie dlatego, że mogła zobaczyć, jak znajomi zachowują się poza szkołą. Stawali się innymi ludźmi, gdy opuszczali szkolny dziedziniec. To byli ci sami koledzy, których znała od dzieciństwa. Tutaj jednak, wieczorem i z dala od instytucji, do której uczęszczali pięć dni w tygodniu, z dala od klik decydujących o tym, kto gdzie siedzi i z kim się

przyjaźni na co dzień, mogli być kim chcieli. Oczywiście, alkohol pomagał zatrzeć ostro zarysowane różnice społeczne.

- Violet! V i - o - l e t! - usłyszała męski głos z drugiego końca kuchni, kiedy stawiała swój ładunek na blacie. Chmara nastolatków zaczęła rozszabrowywać, na co kto miał ochotę, nim jeszcze Violet wypuściła z rąk przyniesiony alkohol.

- O, świetnie! - ryknęła Chelsea, przekrzykując hałas i nawet nie sprawdzając, kto zawołał Violet. - Jest tu twój fanklub!

Dziewczyna zerknęła w tamtą stronę, a kiedy zobaczyła kto to, ścisnęło ją w żołądku.

Grady przeciskał się przez tłum rozhasanych nastolatków, zmierzając prosto do niej.

- O, Boże - jęknęła i nachyliła się do Chelsea, tak aby tylko przyjaciółka mogła usłyszeć jej słowa. - To nowy Jay.

Chelsea prychnęła śmiechem, zadowolona, że Violet ostatecznie przeszła na ciemną stronę mocy, a słysząc wydany przez siebie dźwięk, zaczęła rechotać jeszcze głośniej.

- Chodź - rozkazała, chwyciła Violet za rękę i po prostu powlokła ją w przeciwnym kierunku... jak najdalej od Grady ego. -

Będziemy udawać, że go nie zauważyliśmy.

Szybko zanurkowały w głąb korytarza, który okrążał sypialnie i kuchnię, po czym ponownie dochodził do salonu. Znalazły się niedaleko miejsca, z którego Grady zaczął wołać. Teraz nigdzie nie było go widać. Dziewczyny zachichotały, jakby dokonały niezwykłego wyczynu, unikając spotkania.

- Myślisz, że go zgubiłyśmy? - spytała Violet, kiedy próbowały się wmieszać w tłum.

Chelsea chwyciła z blatu dwie przezroczyste butelki drinków smakujących jak sok owocowy i podała jedną przyjaciółce.

Odkręciła metalowy kapsel i stuknęła szyjką o butelkę Violet.

- Istnieje taka nadzieja - odparła, pociągając pierwszy łyk. Violet upiła nieco coolera na winie, podobnego w smaku do lemoniady. Nie rozumiała, jak mogła chcieć zostać w sama domu. Chelsea miała rację, impreza to było dokładnie to, czego potrzebowała.

Na cały wieczór zanurzyła się w muzyce i śmiechu, pozwalając, by ściana ogłuszających dźwięków oddzieliła ją od świata niczym zasłona. Nie myślała o niczym prócz terażniejszości. Nie miała czasu uzalać się nad sobą otoczona przez gromadę rozhasanych, niepohamowanych nastolatków wolnych od dozoru rodziców, za to mających dostęp do dużej ilości alkoholu.

Zanim wieczór się skończył, mogła obserwować gry piwne w kuchni, bójkę na podwórku od frontu - która wcale nie była bójką, raczej teatralną przepychanką - i dwoje znajomych puszczających pawia. Pierwszy był Todd Stinnett, chłopak, z którym chodziła na niektóre zajęcia; wlał w siebie o jedno piwo za dużo przy stoliku, gdzie grano w rzut ćwierćdolarów-ką do szklanki. Druga, pierwszoklasistka Mackenzie Sherwin, wyszła na zewnątrz, żeby ulżyć sobie w krzakach. Na swoje nieszczęście nie zdążyła w porę odgarnąć włosów i w rezultacie przez resztę wieczoru krążyła wokół z mokrymi kosmykami wiszącymi wokół twarzy. Grupka amatorów trawki uznała, że biedna dziewczyna wygląda bardzo zabawnie; wydawali odgłosy jak przy wymiotowaniu za każdym razem, kiedy Mackenzie znalazła się w pobliżu.

Zbliżała się północ, gdy Grady wreszcie dopadł Violet. Widząc, jak podchodzi, zastanawiała się, jakim cudem wciąż jeszcze trzyma się na nogach. Był kompletnie zalany.

- Zie byłaś? Szukałem sie wszezie - wymamrotał niewyraźnie i ją objął, opierając się na niej.

Miała wrażenie, że to nie tyle czuły gest, ile sposób na zachowanie cennej równowagi.

Zaniepokoiła się jednak o niego, choć udała niewiniątko i zapewniła, że wcale go nie unikała przez cały wieczór.

-Cały czas tu byłam - wyjaśniła z kamienną twarzą. -Zresztą wygląda na to, że świetnie się bawiłeś beze mnie.

Spróbowała się wywinąć spod jego ręki. Opierał się na niej tak mocno, że miała wrażenie, jakby próbował ją wtłoczyć w ziemię. Kiedy przesunęła się nagle, stracił równowagę i uwiesił się jeszcze silniej, przenosząc na Violet większą część swojego niestabilnego ciężaru.

- Nie odchoź - poprosił, jego gorący oddech przenikliwie cuchnął zwietrzałym piwem i tequilą.

Kombinacja była odrażająca.

Dziewczyna zauważyła Chelsea gawędzącą z grupką koleżanek po drugiej stronie pokoju. Przyjaciółka posłała Violet pytające spojrzenie, a ta w odpowiedzi tylko wywróciła oczami i wskazała wzrokiem Grady ego. Chciała uciec od jego towarzystwa i wrócić do znajomych, ale obawiała się go zostawić w takim stanie. Był w poważnych tarapatach. I b y ł jej kumplem.

- Chyba odstawimy cię do domu - zaproponowała w końcu. Prócz łyku coolera na początku wieczoru nie miała w ustach ani kropli alkoholu, wiedziała więc, że może go odwieźć. - Daj mi kluczyki. Zamknął jedno oko, jakby w ten sposób łatwiej mu było skupić wzrok, i sięgnął do kieszeni. Gapiąc się na Violet, zadzwonił nimi na wysokości jej twarzy.

- Mogę prowadzić...

W jego ustach zabrzmiało to jak bełkot.

Violet wyrwała mu kluczyki z dłoni. Refleks miał zbyt wolny, by ją powstrzymać, więc kiedy spróbował to zrobić, spóźnił się o jakichś pięć sekund. Próba nagłego ruchu sprawiła, że mało się nie przewrócił, prawie pociągając Violet ze sobą.

Dziewczyna z trudem utrzymała się na nogach.

- Dalej, Grady, idziemy. Zresztą mam u ciebie dług. Znowu spojrzał na nią, mrużąc oko.

- O so si chozi?

Nie zadała sobie trudu, by tłumaczyć, że wybawił ją z kłopotu przed paroma dniami, zabierając na cmentarz, by mogła odwiedzić grób Brooke Johnson. Nic nie powiedziała, a Grady nie powtórzył pytania; nie nalegał też na prowadzenie auta.

Wydawało się, że zrezygnował. Oparł się o Violet, kiedy go wyprowadzała na zewnątrz. Mijając Chelsea, uniosła kluczyki, dając znać przyjaciółce, dokąd się wybiera.

Po zapadnięciu zmroku powietrze się ochłodziło. Rześki powiew nie o otrzeźwił Grady'ego... co w tym momencie stanowiło wielki postęp. Jego wóz stał dalej przy ulicy niż mazda Chelsea - z powodu niewielkich rozmiarów jej samochodu oraz twórczego podejścia do pojęcia „parkowanie”, oznaczającego, w rozumieniu dziewczyny, wciśnięcie wozu, przechylnego na bok i nosem do przodu, między dwie inne maszyny.

Wysokie cedry i jodły przesłaniały znaczną część księżyca bliskiego pełni. Drzewa rzucały na nich upiorne cienie, kiedy szli - czy raczej, w wypadku Grady'ego, zataczali się - w stronę samochodu. Lecz gdy do niego dotarli, Grady stanął znowu niemal o własnych siłach, nie chwiejąc się z boku na bok.

Violet doprowadziła go do drzwi po stronie pasażera i przytrzymała je otwarte.

Lecz chłopak nie był jeszcze gotowy, by wsiąść.

- Dzięki, Violet. Naprawdę to doceniam. Nawet mówił teraz wyraźniej.

- Nie ma sprawy. I tak zaczynałam się nudzić. - A kiedy spojrzał z niedowierzaniem, dodała: - Serio. Też czuję się trochę zmęczona. Wysiłała się, by zabrzmiało to przekonująco.

Grady stał oparty o ościeżnicę. Teraz wyprostował się i zrobił krok w jej stronę. Górował nad nią i nagle poczuła się jak schwytana w pułapkę między chłopakiem a otwartymi drzwiami. .. między młotem i kowadłem.

- Moglibyśmy tu trochę zostać. Objął ją ręką w pasie.

Nie była pewna, jak powinna zareagować. Chociaż wiedziała, co chłopak zamierza, absolutnie nie miała na to ochoty. Mimo to tkwiła jak wrośnięta w ziemię.

Nachylił się do niej, objął ją także drugim ramieniem i przyciągnął do siebie. Jego uchwyt był silny... zbyt silny... i Violet zaniepokoiła świadomość, że Grady nie zapytał, czy może to zrobić. Poczula, że sytuacja wymknęła jej się spod kontroli.

Gęsia skórka, która pokryła jej ramiona, miała niewiele wspólnego z nocnym chłodem.

Chłopak schylił głowę i niespodziewanie Violet odzyskała głos.

- Nie, Grady! - sprzeciwiła się stanowczo, odwracając twarz, nim zdołał dotknąć ustami jej ust. - P r z e s t a ń !

Spróbowała zanurkować pod jego ramieniem, ale chwycił ją mocniej, przyciskając jeszcze silniej do piersi. Serce zabiło jej nierównym rytmem i nagle Violet ogarnął lęk, jak się to skończy.

Przycisnął wargi do ucha dziewczyny i szeptał ochryple, niezdarnie je pieszcząc:

- Spokojnie, Violet. Jeśli nie chcesz, nikomu nie powiem.

Miało to brzmieć jak zachęta, ale w połączeniu z jego brutalnym zachowaniem bardziej przypominało rozkaz. Językiem przesunął po jej szyi w sposób, który w jego wyobrażeniu był zapewne uwodzicielski.

Violet uświadomiła sobie mgliście, że słyszy szmer opon, i zobaczyła przybliżające się reflektory samochodu. Przemknęło jej przez głowę, żeby zawołać o pomoc, ale obawiała się, czy to nie przesada.

Była pewna, że poradzi sobie sama.

Grady raz jeszcze spróbował ją pocałować, szukając jej ust, lecz tym razem odepchnęła go, wpierając obie ręce w jego pierś.

Spróbowała odsunąć się poza zasięg rąk chłopaka.

- Przestań, Grady. Mówię serio!

Z zaskoczeniem stwierdziła, że zabrzmiało to bardzo stanowczo.

Przynajmniej jej głos nie drżał tak bardzo jak ona sama.

Grady był jednak wyższy i silniejszy. Ignorując protesty, chwycił ją za głowę i przygwoździł do miejsca. Kiedy jego usta w końcu wylądowały na jej, połączenie przesyconego alkoholem oddechu i brutalnego, gwałtownego zachowania sprawiło, że dziewczyna wzdrygnęła się i poczuła mdłości. Wargi miał wilgotne i miękkie, ale nie tak sobie wyobrażała pocałunek, a język, który próbował wsunąć jej do ust, przypominał ciepłego, oślizgłego ślimaka.

Poczuła, że zaraz zwymiotuje.

Walczyła z tym uczuciem... z Gradym... rozpaczliwie bijąc go pięściami w pierś. Nie była już pewna, czy z tym także

da sobie radę. Odwróciła głowę, by odsunąć usta od niego, i korzystając ze sposobności, uniosła ręce i zasłoniła twarz.

- Proszę! Przestań! - zawołała w nadziei, że coś do niego dotrze. Miała nadzieję, że chłopak odzyska rozsądek i uświadomi sobie, jak idiotycznie się zachowuje.

Marzyła tylko o tym, by ją puścił.

I naraz to zrobił. Ale nie w taki sposób, jak sobie wyobrażała. Odskoczył i usłyszała zduszony jęk, kiedy uderzył całym ciałem o bok własnego samochodu. Tak silnie go odpychała, chcąc się znaleźć jak najdalej od niego, że kiedy rzeczywiście ją wypuścił, zatoczyła się i uderzyła głową o ościeżnicę. Usłyszała donośny, głuchy stuk, a potem skomlenie jakby rannego zwierzęcia.

Próbowała nadażyć za tym, co się dzieje, ale umysł wciąż miała o tępiący, myśli splątane po nieoczekiwanych pieścotach Gradyego. W pierwszej chwili sądziła, że się poślizgnął i upadł albo może ona sama pchnęła go mocniej, niż zamierzała - choć wątpiła, czy dałaby radę go znokautować.

Kiedy pojęła, co naprawdę się dzieje, ledwie mogła uwierzyć własnym oczom.

Jay stał nad Gradyem, który leżał teraz zwinięty na ziemi u jego stóp. Na twarzy Jaya malował się tak morderczy wyraz, jakiego Violet nie widziała wcześniej u nikogo. Zaciskał i rozluźniał pięść, patrząc z wściekłością na chłopaka.

Przeniosła wzrok niżej i zobaczyła, że Grady przyciska dłoń do ust, a spomiędzy jego palców sączy się krew. Uniósł drugą rękę w geście poddania.

- Dość! Przestań!

Wyglądało, jakby Jay nie mógł się zdecydować. Potem schylił się, znowu unosząc pięść do ciosu, złapał Grady ego i poderwał go za kołnierz koszuli.

- Nie tak mówiła Violet, dupku?! Nie prosiła, żebyś przestał?! Grady cofnął się, zwijając się w kulę i zasłaniając ramieniem twarz.

- Proszę! Nie...

Nie skończył zdania, jego głos się załamał.

Violet osłupiała. Milcząca i oszołomiona mogła tylko stać i patrzeć, podczas gdy milion pytań bez odpowiedzi wirował jej w głowie.

Skąd zjawił się Jay? Od jak dawna tu był?

I jeszcze jedno, które bała się zadać: gdzie podzie-wała się Lissie?

Nienawidziła sprzecznych uczuć miotających nią w tej chwili.

Była wdzięczna, że ktoś ją wybawił od niechcianych awansów Grady ego, i jeszcze bardziej wdzięczna, że tym kimś okazał się Jay. Równocześnie przeraziło ją, że uderzył Grady ego, i trochę żałowała tego chłopaka, chociaż pamiętała jego napastliwe ręce i usta. Zaszokowała ją jawna furia na twarzy Jaya, ale zarazem podobało jej się, że potrafiła go sprowokować do takiej reakcji. Oznaczało to, że mu na niej zależy.

Nawet jeśli nie w taki sposób, jak chciała - zależało mu na niej.

Patrzyła, jak Jay pozwala Grady emu opaść na ziemię. No dobrze, niezupełnie opaść; przypominało to raczej pchnięcie, po którym chłopak uderzył głową o samochód i poleciał do tyłu.

Jay nie skończył jednak i warknął przez zaciśnięte zęby:

- Jeśli jeszcze raz... choćby raz... ją dotkniesz, przysięgam na Boga, Grady, że cię zabiję, do cholery! Słyszysz, co powiedziałem?!

Violet przeraziła wściekłość w jego głosie i groźba.

Grady jedynie skinął głową, wycierając zakrwawione dłonie o dzinsy. Wyglądał, jakby chciał powiedzieć coś jeszcze, ale nie mógł znaleźć słów.

Jay nie czekał.

- Nie ma mowy, żebyś dzisiaj prowadził. Daj mi kluczyki -rzucił rozkazująco i niecierpliwie wyciągnął rękę.

Grady zaczął przetrząsać kieszenie, a potem coś mu zaświtało.

- A w jaki sposób dostanę się do...? - zaczął pytająco, ale Jay mu przerwał.

- Nic mnie to nie obchodzi. Ktoś cię podrzuci. Dawaj. Jego głos nie dopuszczał sprzeciwu i Grady postanowił nie kusić losu.

- Violet je ma - przyznał po chwili, po czym zataczając się, ruszył w stronę domu.

Violet poderwała się, słysząc swoje ^mie. Poczowała się, jakby podsłuchiwała ich prywatną rozmowę.

- Och... No, tak - mruknęła jakby do siebie, unosząc kluczyki, a potem opuściła je na wyciągniętą dłoń Jaya. Przez moment nie wiedziała, co powiedzieć. Na koniec zdecydowała się na oczywisty wybór. - Dziękuję.

W pewnym sensie wyrażało to wszystko.

Jay schował do kieszeni kluczyki Grady ego i podszedł do wozu swojej mamy. To jego silnik słyszała Violet, kiedy Grady ją napastował swoim obrzydliwym językiem. Jay otworzył

drzwi po stronie pasażera i nawet nie patrząc w jej stronę, rzucił tym samym rozkazującym tonem:

- Wsiadaj.

I to było wszystko... koniec krótkiej radości ze spotkania z Jayem tego wieczoru.

Surowy ton, który tak jej się podobał, gdy chłopak zwracał się do Grady ego, wydał się Violet szorstki niczym papier ścierny szarpiący stargane nerwy, kiedy Jay odezwał się tak do niej. Naraz cała wdzięczność, którą czuła jeszcze przed chwilą, rozprysła się w stos odłamków niczym rozbite szkło i Violet spojrzała na Jaya ze złością. Cały tydzień bez niego, kiedy tęskniła do jego towarzystwa, poszedł w zapomnienie... i teraz to ją ogarnęła wściekłość.

- Żartujesz?! Ignorujesz mnie cały tydzień, a potem sobie wyobrażasz, że przyjdiesz i będziesz mi rozkazywać?! - Oparła ręce na biodrach, prowokując go do kłótni. Policzki zapiekły ją od gniewu. - Mowy nie ma, Jay. To tak nie działa.

Nagle nabrała ochoty, by wrócić na imprezę... do p r a w - d z i w y c h przyjaciół, którzy nie ignorowali jej przez okrągły tydzień i nie traktowali jak powietrze. Obróciła się na pięcie i ruszyła w kierunku domu, ku odgłosom głośnej muzyki docierającym aż tutaj.

Jay nie pobiegł za nią. Nie usiłował przekonywać, żeby została. Dotknęło ją, że nie próbuje za nią iść, błagając o przebaczenie za to, że zachował się jak dupek.

„Ale przecież - przyznała w duchu - jasno powiedziałam, co myślę, Jay zaś dowiódł ponad wszelką wątpliwość, że potrafi się upierać przy swoim". I mimo zranionej dumy, mimo ulgi, że zjawił się w samą porę, z a s k a r b y ś w i a t a nie zamierzała pozwolić, by nią teraz dyrygował.

Nie obejrzała się, by sprawdzić, czy za nią patrzy. Zbyt się obawiała tego, co mogłaby zobaczyć... Ze wcale za nią nie poszedł.

SPOSOBNOŚĆ

W PIERWSZEJ CHWILI niemal przeoczył dziewczynę idącą samotnie wąską, ciemną uliczką.

„Zbyt szybko” - pomyślał. Ledwie pochował jedną i nie minęło dość czasu, by narosło w nim szaleńcze pożądanie.

Lecz ona miała coś w sobie... wyglądała na zagubioną... w potrzebie.

Zwolnił trochę... i jeszcze bardziej, obserwując, jak nieznajoma wędruje przez mrok, potykając się, jakby nie patrzyła, dokąd idzie. Nie obejrzała się ani razu. Jakby nie zdawała sobie sprawy z jego obecności mimo nienaturalnego blasku reflektorów rozjaśniających ciemności na drodze.

I naraz błysnęła mu myśl, niczym pierwszy promień świtu torujący drogę jasności dnia. Ona go potrzebuje.

Prawie tak bardzo jak on jej.

Podjechał bliżej, tuż do dziewczyny, obserwując ją czujnie, na wypadek gdyby jego bliskość ją zaniepokoiła... przeraziła. Jej sylwetka w świetle reflektorów stanowiła kwintesencję młodości. Ruchy, niezdarne z powodu nieuwagi, były pozbawione

wdzięku i elegancji, inaczej niż u dojrzałej kobiety. Ciało wciąż miała giętke; jej skóra będzie delikatna.

Zerknął z ukosa na zaparkowane wokół samochody, sprawdzając, czy nikt nie obserwuje jego działań.

Nie było nikogo.

Zrównał się z nią - wciąż go nie zauważyła - i cicho zatrzymał wóz.

Wtedy podniosła wzrok. Niewinne, zapłakane oczy spojrzały na niego tęsknie, zmieniając pożądanie w płonące szaleństwo.

Błysnęło w nich rozpoznanie i w miejsce łez pojawił się błagalny wyraz.

Płynnym ruchem wysiadł z samochodu: taniec znowu się rozpoczął.

Wymienili parę słów - głównie to on mówił - i po chwili nie dłuższej niż uderzenie serca objął ją kojąco ramieniem i poprowadził na fotel pasażera...

Cały ten czas patrzyła na niego z naiwną wdzięcznością.

ROZDZIAŁ 16

VIOLET NIENAWIDZIŁA GNIEWNYCH ŁEZ, które zapiekły ją w oczach, kiedy potknęła się o niewidoczny kamień na drodze. Żałowała, że nie może się cofnąć w czasie do tamtej chwili. Żałowała, że nie wsiadła po prostu do samochodu, kiedy jej kazał. Pomimo całej złości przemknęło jej przez głowę, że byłoby to lepsze niż samotna wędrówka przez lodowatą ciemność i zadreczanie się gdybaniem i spóźnionymi wnioskami. Lepsze niż pogarda do siebie, która sączyła się każdym porem jej ciała jak trucizna.

W tej chwili nienawidziła Jaya za to, że czuje się przez niego taka bezbronna i słaba. Nie chciała być kimś takim, nigdy wcześniej nie była taka... zależna... i żałosna.

Kiedy samochód zatrzymał się obok, nie miała czasu się zastanowić, czemu nie spostrzegła go wcześniej. Nie usłyszała szmeru opon na starym asfalcie pełnym dziur zasypanych żwirem, nie zauważyła nawet świateł rozbijających ciemność w blade cienie.

Obróciła głowę i lekko zmrużyła oczy, żeby zobaczyć, kto siedzi w środku.

Kiedy dojrzała go za kierownicą, stanęła i zamrugła, by odpędzić łzy. Nie zamierzała wyglądać na aż tak wdzięczną.

Usłyszała, jak drzwi się otwierają, i zanim zdążyła odetchnąć z ulgą, kierowca wysiadł z samochodu i znalazła się w jego ramionach.

Chciała nabrać powietrza, wdychać jego zabójczy piżmowy zapach, ale nie mogła zaczerpnąć tchu. Dusił ją jego siłą, jego ciepłem.

Czas stał się nieistotny; mogły minąć sekundy albo godziny. Nie miało to znaczenia. Nie zdawała sobie sprawy nawet z tego, że znowu płacze, póki się nie odsunął i nie schylił, by pocałować jej mokry policzek.

A potem jego usta przesunęły się delikatnie, ostrożnie, kreśląc ścieżkę ku wargom dziewczyny. Jej ciało przeszły fale elektrycznych wstrząsów, promieniujące w dół brzucha i płynące ku górze, sprawiając, że skóra mrowiła i płonęła, kiedy ją pieścił wargami.

Wyobrażała sobie tę chwilę tak wiele razy. Od tak dawna marzyła, by ją wziął w objęcia.

Westchnęła i wtuliła się w niego mocniej, zapominając o sobie, zapominając o złości i urazie, zatracając się w tym momencie.

Jay całował ją mocno, długo, przeciągle. Odwzajemniała pocałunki z równą żarliwością. Rozwiązał ostatni cień jej wątpliwości.

Violet była boleśnie świadoma bicia własnego serca, trzepotania pulsu w różnych punktach ciała, oszałamiającego rytmu

odzywającego się echem w żyłach. Płonęła i drżała zarazem. Czowała zapach odurzającego żaru bijącego falami od Jaya. Kiedy oderwał usta, poczuła się obolała i bezbronna. Wciąż czuła dotyk jego warg.

Spojrzał na nią; oczy błyszczały mu podobnie jak jej, głos miał schrypnięty od ledwie hamowanego pożądania.

- Wsiadaj do wozu, Violet.

Tym razem nie był to kategoryczny nakaz, lecz prośba spowijająca ją w ciepły jedwab. Więc zamiast się zjeżyć, skinęła tylko głową i zapatrzyła się na jego przystojną twarz. Nie umiała myśleć o niczym prócz cudownych rzeczy, jakie jego usta przed chwilą robiły z jej wargami.

Nie poruszyli się przez długą chwilę, stali jedynie, patrząc na siebie. Wzrok Jaya powędrował ku jej ustom, a potem leniwie wrócił ku oczom, jakby uczył się dziewczyny na pamięć.

Gdzieś w dali, choć zapewne bliżej, niż się zdawało, Violet usłyszała przejeżdżający samochód. Nie podniosła jednak oczu. Miała ważniejsze sprawy na głowie.

Jay po nią wrócił.

ROZDZIAŁ 17

VIOLET NIE SPAŁA WIĘKSZĄ CZĘŚĆ NOCY, rozmyślając w kółko o tym, co się wydarzyło. Chciała zapamiętać każdy najdrobniejszy szczegół, utrwalić go na zawsze w pamięci, żeby móc go przywołać w każdej chwili.

Jay ją pocałował.

Nareszcie.

I nie był to zwyczajny pocałunek. Nie był to jeden z braterskich pocałunków z czasów dzieciństwa. Nie miał w sobie nic dziecinnego. Jay nareszcie zasypał przepaść, jaka otwarła się między nimi pod koniec wakacji.

N a r e s z c i e .

Ledwie nad sobą panowała. Była przejęta... uszczęśliwiona. .. zelektryzowana, wszystko naraz.

Lecz wraz z tymi uczuciami napłynęły niepewność i wątpliwości, a także pytania, co naprawdę oznaczało jego niespodziewane pojawienie się ubiegłego wieczoru. Co naprawdę oznaczał pocałunek.

Nie rozmawiali o tym w drodze powrotnej. Nie mówili o niczym, nabrzmiące uczuciami milczenie między nimi było do-

statecznie wymowne. Jay jednak nie powtórzył pocałunku, kiedy odprowadził Violet do drzwi. Nie wziął jej za rękę ani nawet nie dotknął. I teraz dziewczyna mimo woli zastanawiała się, czy po prostu nie dał się ponieść uldze, że Violet jest bezpieczna, że ją uratował, zanim Grady posunął się za daleko. Czy nie zareagował po prostu na nagły przyływ adrenaliny? Nie pocałował jej impulsywnie, bez zastanowienia?

Miała nadzieję, że nie. Modliła się, by tak nie było.

Odsunęła czarne myśli, przypominając sobie zamiast tego dotyk jego warg. I ciepło jego ciała przytulonego do niej, serce przy sercu.

Nim nadszedł ranek, była wyczerpana - i w doskonałym nastroju. W końcu zrezygnowała z prób zaśnięcia i wygramoliła się z ciepłego, zmiętego łóżka tuż po siódmej. Poczowała smakowity aromat parzonej kawy i pozwoliła mu się skusić.

Mama była w kuchni sama. Nie skomentowała ani słowem wczesnego powrotu córki ubiegłego wieczoru.

Violet rozejrzała się, trochę zdziwiona. To ojciec należał do rannych ptaszków, mama potrafiła spać prawie do południa.

- Tato już pojechał do pracy? - spytała, wiedząc, że często szedł do biura w sobotę, by nadgonić zaległości bez panującego w tygodniu zamieszania.

Mama wyglądała na wymizerowaną i zmęczoną. Przysunęła bliżej parujący kubek i objęła go rękami, jakby czerpiąc siły z jego ciepła.

-Nie - powiedziała schrypniętym głosem, po czym od-kaszlnęła i spróbowała znowu. - Nie, stryj Stephen podjechał po niego jakieś pół godziny temu.

Violet zawahała się tylko na mgnienie oka, sięgając do kredensu po jeden z barwnych kubków tłoczących się na półce. Znalazła swój ulubiony z jaskrawym rysunkiem mostu Golden Gate.

Rodzice przywieźli go z wakacji w czasach przed jej narodzinami. Popękana ze starości farba wydawała się Violet urocza.

- Po co? - spytała, nalewając sobie kawy i sięgając do lodówki po zabielaacz o smaku wanilii. Nasypała go hojnie, aż kawa nabrała bladego, mlecznego odcienia.

Kiedy matka nie odpowiedziała od razu, Violet odwróciła się do niej zaniepokojona.

- O co chodzi?

Matka westchnęła. Nagle zaczęła wyglądać na starszą i bardziej znużoną. Nim się odezwała, przez parę sekund kręciła głową, nie mogła jednak odwlekać tego w nieskończoność.

- Kolejna dziewczyna. - Głos załamał się jej z cichej frustracji. - Z Buckley. Z White River, Violet.

Dziewczyna zamarła w pół ruchu, przysiadając obok matki przy kuchennym stole.

- Kto? - To było wszystko, na co się zdobyła, zbyt oszołomiona, by się poruszyć.

- Mackenzie Sherwin. Jest trochę młodsza od ciebie. Violet zamarła. Znała to nazwisko.

- To twoja przyjaciółka? - dociekała matka, kładąc zimną dłoń na jej ręce, kiedy dziewczyna osunęła się ciężko na krzesło. - Poszła na imprezę wczoraj wieczorem, a potem nikt już jej nie widział.

Wiesz, o kogo chodzi? - zapytała znowu.

Nie było sensu kłamać. Nawet gdyby rodzicie nigdy się nie dowiedzieli, co robiła ubiegłego wieczoru - co wydawało się mało prawdopodobne - to nie był czas na kłamstwa.

- Widziałam ją wczoraj - wyznała, podnosząc wzrok i patrząc matce w oczy. - Pojechałyśmy na tę samą imprezę.

Obserwowała uczucia przemykające po twarzy matki: od pierwszych oznak gniewu, gdy sobie uświadomiła, że Violet skłamała, dokąd się wybiera; poprzez przelotną panikę, że nie-szczęście mogło spotkać jej córkę; aż po ulgę. I wreszcie akceptację. Najwidoczniej pani Ambrose uznała - podobnie jak Violet w sprawie kłamstwa - że nie czas na reprimendy. Chociaż dziewczyna wiedziała, że i tak je usłyszy - później.

- Zorganizowano grupę ratunkową. Przeczesują lasy w poszukiwaniu tej dziewczyny. Nie można wykluczyć możliwości, że po prostu wracała nocą i zablądziła. Z relacji wynika, że sporo wypila.

Violet pomyślała o Mackenzie Sherwin. Pamiętała pierwszo-klasistkę, która zwymiotowała w krzakach i przez resztę wieczoru krążyła wśród balujących kolegów z wymiocinami schnącymi we włosach. Kiedy Violet ostatni raz ją widziała, Mackenzie ledwie trzymała się na nogach.

- A jeśli nie zablądziła? - szepnęła, nienawidząc tego pytania już w chwili, w której niczym trucizna pojawiło się w jej ustach.

- Tego też nie można wykluczyć. Na poszukiwanie śladów wysłano wszystkich policjantów z okolicy, a pół miasteczka przeczesuje lasy wokół domu Hildebrandów. - Matka uścisnęła i wypuściła dłoń Violet. - Ponieważ byłaś na imprezie, stryj Stephen zapewne chciałby z tobą porozmawiać.

- Ubiorę się i pojedę do niego - oznajmiła dziewczyna. Matka podniosła wzrok, jakby zaskoczona deklaracją.

- Nie, Vi. Myślę, że powinnaś dzisiaj zostać tutaj... - Nie dokończyła myśli, lecz Violet usłyszała niewypowiedziane

słowa wiszące w powietrzu: „w b e z p i e c z n y m
m i e j s c u .

Miałaby znowu zaszyć się w domu, patrzeć na zegar i czekać, bezproduktywnie marnując czas? Poczwała, że nie zniosłaby tego. A potem przemknęło jej przez głowę, że być może zdołałaby coś wyczuć na miejscu... Na przykład nowe echo. Odsunęła od siebie niepokojącą myśl.

-Nie, mam. Chcę porozmawiać ze stryjem Stephenem. Może coś, co widziałam, pomoże im odnaleźć Mackenzie. - Zdumiała ją własna stanowczość, dostrzegła jednak, że nie zdołała przekonać matki, nadal zmagającej się z cichymi obawami. - Nie martw się, na miejscu jest przecież tato. Nie zrobię nic bez jego pozwolenia.

Czekała na reakcję, wstrzymując oddech i w duchu błagając matkę, by się zgodziła.

Kiedy pani Ambrose w końcu się odezwała, w jej słowach brzmiała niepewność i bezradne znużenie.

- Czuję się spokojniejsza, gdyby pojechał z tobą Jay.

„Ja też - westchnęła Violet w duchu. - Ja też”.

*

Violet trudno byłoby powiedzieć, co spodziewała się zobaczyć, skręcając na podjazd domu, w którym imprezowała z przyjaciółmi poprzedniego wieczoru. Zapewne niewielkie grupki krążące po okolicy, nawołujące zaginioną dziewczynę w nadziei na jej znalezienie, wyglądające nie na miejscu wśród gęstych kęp wysokich drzew górujących nad nielicznymi domami w okolicy. Nie zastała jednak garstki członków Towarzystwa Dobrych Samarytan pomagających zagubionej sąsiadce. Zobaczyła ope-

rację poszukiwawczo-ratowniczą na wielką skalę, sprawiającą wrażenie zorganizowanego chaosu - z akcentem na „zorganizowanego”.

Musiała zaparkować samochód znacznie dalej niż wszyscy goście poprzedniego wieczoru, kiedy byli zaledwie gromadą nastolatków zbierających się w położonym na uboczu domu. Za jej plecami wciąż nadciągali nowi chętni. Przed nią wozy ratowników - zarówno policjantów, jak i strażaków - krążyły wokół drogi prowadzącej do rozciągających się dalej lasów. Mężczyźni i kobiety, młodzi i starzy, ochotnicy i zawodowcy, wszyscy w jaskrawych kamizelkach, wielu uzbrojonych w krótkofalówki, zmierzali w niewielkich grupkach w rozmaitych kierunkach, sprawnie przeczesując rozległą okolicę według przemyślanego planu. Dziewczyna nigdy wcześniej nie widziała czegoś podobnego: fala odblaskowych kamizelek, kołyszących się i sunących miarowo naprzód.

Violet szybko przebiegła spojrzeniem scenę, zmierzając ku ludzkiej gromadzie i próbując wyłowić w tłumie ratowników ojca lub stryja. Jeśli jednak tam byli, zniknęli wśród innych.

Zbliżyła się do głównego ośrodka aktywności. Grupy rosły, w miarę jak przybywało coraz więcej ludzi czekających na instrukcje, w jaki sposób mogą pomóc. Rozpoznawała niektórych z nich - rodziców swoich kolegów, sąsiadów, sprzedawców z okolicznych sklepów, a nawet jednego z nauczycieli.

Jakaś kobieta rozdawała kamizelki w neonowych barwach, inna spisywała nazwiska wolontariuszy i organizowała ich w zespoły poszukiwawcze, każdy z kierownikiem zaopatrzoną w krótkofalówkę. Jakiś mężczyzna wykrzykiwał przez megafon informacje, gdzie się zapisywać, oraz polecenia, co robić dalej. Każdy otrzymywał czarno-białą ulotkę ze zdjęciem zaginionej.

Violet z ulgą zamieniła zapamiętany obraz potykającej się, pół-przytomnej dziewczyny z ubiegłego wieczoru na uśmiechniętą osobą z fotografii.

Czekała w grupie ludzi otaczających jednego z licznych policjantów w mundurach. Liczyła, że dowie się od niego, gdzie znaleźć stryja. Inni wokół wykrzykiwali pytania.

Jak dawno zaginęła dziewczyna?

Czy to tu widziano ją ostatni raz?

Czy mógł ją porwać morderca?

Czy spodziewają się znaleźć ją żywą?

Violet próbowała się precyzyjnie naprzód i przyciągnąć spojrzenie policjanta, ale przypominało to płynięcie strumienia pod prąd; przekonała się, że dryfuje wstecz, wypychana na obrzeża gromady. Nie chciała wołać i zwracać na siebie uwagi, więc w końcu wymknęła się z grona poszukiwaczy domagających się odpowiedzi.

Pomyślała, że może przyjscie tutaj było błędem. Może nie powinna tak się upierać. Dręczyły ją jednak wyrzuty sumienia, poczucie częściowej odpowiedzialności za to, że znajdowała się wśród tych, którzy ostatni widzieli Mackenzie... i jej nie pomogli, choć było oczywiste, że dziewczyna potrzebuje wsparcia.

Poddała się prądowi, czując się niczym płatek śniegu porwany kapryśnym wiatrem, aż dotarła w pobliże gromady ochotników wpisujących się na listę.

- Przydzielono cię już do jakiejś grupy?

Podniosła wzrok, zaskoczona pytaniem kobiety rozdającej kamizelki.

- Nie - odparła, zamierzając wyjaśnić, że nie planowała się przyłączać do poszukiwań, lecz nie potrafiła znaleźć właściwych słów.

Kobieta podała jej kamizelkę, inna wpisała Violet na listę. Szybko przedstawiono jej kierownika grupy, mężczyznę około sześćdziesiątki. Siwe włosy miał ostrzyżone krótko, po wojskowemu, i wyglądał, jakby odsłużył swoje w jakiejś militarnej jednostce. Obsługiwał krótkofalówkę niczym weteran. Co zaskakujące, choć roztaczał aurę człowieka, który brał udział w niejednej akcji, Violet nie wyczuła nic szczególnego u walecznego przywódcy grupy. John Richter nie nosił ani jednego piętna śmierci, choć dziewczyna się tego spodziewała. Może wcale nie był taki twardy. A może po prostu miał szczęście. Rzeczowo objął dowództwo, odczytał współrzędne z mapy trzymanej w ręce i poprowadził ich do zakreślonego czerwonym mazakiem miejsca, które należało przeszukać. Grupę tworzyło jeszcze pięć osób, dwie kobiety i trzech mężczyzn. Violet nie знаła nikogo, ale wcale jej to nie przeszkadzało. Nie była w nastroju do uprzejmych pogawędek. Im dalej szli, mijając inne przeszukujące teren zespoły i zapuszczając się coraz głębiej w wilgotne, mroczne lasy, tym bardziej złowroźbna stawała się atmosfera. Violet nie bała się, ale zadanie budziło jej niepokój. Miała przeczucie, że podejmują wysiłek na próżno, że znaleźli się tu jedynie po to, by wykluczyć możliwość, iż Mackenzie oddaliła się i zabłądziła wśród drzew, podczas gdy Violet - a zapewne i wszystkim pozostałym - zdawało się oczywiste, co naprawdę spotkało jej koleżankę. On ją dopadł. Ze wszystkich stron słyszała głosy wykrzykujące imię Mackenzie. Minęli kilku mężczyzn niosących długie drewniane tyczki podobne do kijów od szczotek; mogła sobie tylko wyobrazić, co zamierzają nimi sondować.

Podążała za swoją grupką, aż dotarli na wyznaczoną pozycję, kiedy to John Richter rozkazał im się ustawić półkolem, tak aby mieli się nawzajem w zasięgu wzroku, lecz zarazem objęli maksymalnie duży teren.

Violet posuwała się ostrożnie, skupiona na poszukiwaniach. Napływały ku niej znane, krzepiące zapachy lasu. Otaczały ją bożonarodzeniowy aromat jodeł oraz stęchła, ziemna woń rozkładających się, opadłych jesiennych liści. Powietrze było wilgotne i gęste od przypominającej mgłę mżawki, częściej o tej porze roku. Przesiąkała przez ubranie i buty dziewczyny, aż oblepiła wilgocią jej skórę i przeniknęła chłodem do kości.

W czasie poszukiwań Violet wyczuła w pobliżu kilka słabych ech - uznała je za nieżyjące od dawna zwierzęta zakopane w gęstym podszybie. W tych okolicznościach łatwo je było zignorować. Inne zespoły mijały ich lub krążyły w pobliżu, zataczając zwiększające się kręgi, poszerzając badany obszar i obejmując coraz rozleglejszy teren. Liczba ludzi zajętych poszukiwaniem Mackenzie Sherwin wydawała się nieskończona i Violet czerpała pewną pociechę z faktu, że tak wiele osób się starało i wykazało zaangażowanie.

Wbrew przeczuciom liczyła, że ich wysiłki zostaną nagrodzone sukcesem.

Ale nie wstrzymywała oddechu w oczekiwaniu tej chwili. Usłyszała melodyjny sygnał telefonu komórkowego. Choć dobiegał z daleka, odruchowo poklepała się po kieszeni i uświadomiła sobie, że zostawiła aparat w samochodzie. Mama się wkurzy. Chociaż pewnie było to bez znaczenia, bo Violet wątpiła, by w tej okolicy komórka miała zasięg.

Przekroczyła gnijący pień zagradzający jej drogę. Robiąc to, dotknęła ręką pokrywającą go śliskiej warstewki, a gdy znalazła się po drugiej stronie, wytarła dłoń o dzinsy, chcąc się pozbyć nieprzyjemnego wrażenia. Dziewczynie przypomniawszy się Grady, próbujący wsunąć jej do gardła oślizgły język, i omal nie wymiotowała.

Pierwszy raz, odkąd wyszła rano z domu, wróciła myślami do tego, co ją spotkało niedaleko tego miejsca. Miła chwila wytchnienia - nie być dręczoną przez odtwarzane raz po raz w pamięci powtórki, które nie dawały jej zasnąć w nocy.

Pozwoliła sobie myśleć o Jayu. I o pocałunku. I nagle wilgotny chłód czepiający się skóry wyparował pod wpływem fali gorąca, która rozlała się po jej ciele niczym niepowstrzymany płomień, aż dziewczyna zarumieniła się od policzków po palce stóp.

Uświadomiła sobie, że się uśmiecha, i musiała siłą opanować mięśnie twarzy, nie chcąc, by ktoś ją widział, jak szukając zaginionej dziewczyny, szczerzy się niczym wioskowy głupek. Telefon komórkowy wciąż dzwonił w oddali.

Violet powiodła wzrokiem wokoło, próbując odgadnąć, z której strony dochodzi dźwięk, i uświadomiła sobie, jak łatwo byłoby tu zabłądzić. Samej, w środku nocy.

Mimo wszystko liczyła, że to właśnie się wydarzyło. I że dzisiaj, w świetle dnia, znajdą Mackenzie Sherwin, zmarzniętą i skacowaną, zmieszaną i wdzięczną za ratunek.

Usłyszała jeszcze jeden głos nawołujący dziewczynę i rozejrzała się dokoła.

Nie widziała już kobiety o ogniste rudy włosach, z którą miała utrzymywać kontakt wzrokowy. Straciła orientację, gdzie

się znajduje i gdzie powinna szukać, i uświadomiła sobie, że wędrowała bezmyślnie, jak lunatyczka.

Dźwięk komórki przybrał nieco na sile i Violet zorientowała się, że za nim podąża. Szuka jego źródła. Przyciągana... wbrew własnej woli.

Niedaleko zobaczyła członków innej grupy i zrozumiała, że chociaż złamała zasady, oddalając się na własną rękę, to nie zbłądziła. Nie była tutaj sama. Tego ranka w lesie krążyły dziesiątki, może setki ludzi. Nie była sama.

Znowu usłyszała sygnał, trochę głośniejszy, i zdziwiła się, że jeszcze nie umilkł.

Przeszywające wołanie przerwało jej skupienie, niemal podskoczyła. Zrobiło jej się głupio, kiedy pojęła, że to po prostu inny poszukiwacz, wędrujący wśród drzew na prawo od niej, wykrzyknął imię zaginionej dziewczyny. W duchu skarciła się za lekliwość.

I wtedy sobie uświadomiła, czemu czuje się taka niespokojna... taka nerwowa. Z powodu komórki. Bo to wcale nie była komórka.

Dźwięk, za którym podążała, dźwięk, który ją przyciągał i który sprawił, że oddaliła się od grupy poszukiwawczej i powędrowała przez las... To wcale nie był dzwonek telefonu.

Było to bicie dzwonów.

Widmowe kuranty dzwonów Brooke.

Odległe, stłumione, niewyraźne z powodu odległości... lecz coraz wyraźniejsze... głośniejsze.

Serce zabiło jej gwałtownie. Poczowała, jakby jej stopy zapadły się w ruchome piaski, wolno zasysające ją i wciągające w głąb.

Bała się szamotać, bała się poruszyć, a nawet odetchnąć z lęku, że na zawsze zostanie wchłonięta pod powierzchnię.

Przemknęła jej myśl, że być może to nie ona zmierza w stronę dźwięku, lecz że to on się do niej zbliża. Nie wiedziała, czy to dobra, czy zła wiadomość. To był mężczyzna, na którego polowała. Nieznajomy, którego postanowiła znaleźć. Morderca, którego należało powstrzymać.

Co jednak robiłby w tym miejscu? I to właśnie teraz? Czy należał do grupy poszukiwawczej i przeczesywał las, udając, że nie zna losu nieszczęsnej dziewczyny oraz wszystkich jej poprzedniczek?

Czy znajdował się tu z Violet?

Naraz poczuła się jak w pułapce i pożałowała, że nie ma w pobliżu ojca. Albo stryja Stephena. Albo Jaya.

A potem dźwięk osłabł i Violet zrozumiała, że mężczyzna się od niej oddala. Na myśl, że mogłaby go zgubić, nieoczekiwanie ogarnęła ją panika. Jeśli się jej wymknie, nie staną się bliżsi zakończenia tego koszmaru niż byli wczoraj lub przedwczoraj. Nie będą bliżsi odnalezienia Mackenzie Sherwin ani Hailey McDonald, o których losie nadal nic nie wiedzieli.

Violet, potykając się, ruszyła przed siebie. Usiłowała dotrzymać kroku dźwiękowi dzwonów, aby nie zgubić śladu mordercy. Zaczepiła o coś nogą i zanim na dobre odzyskała równowagę, rzuciła się niemal biegiem. Mijając odcinki przeszukane przez inne zespoły, miała wrażenie, jakby wkraczała na ich terytorium, lecz nie zwolniła. Na szczęście wydawało się, że nikt nie zwraca na nią uwagi.

Ledwie patrzyła, gdzie stawia stopy, skupiona jedynie na podążaniu za biciem dzwonów, rozlegającym się coraz głośniejsz

i głośniej, w miarę jak zbliżała się do naznaczonego porywacza. Nie planowała, co zrobi, kiedy go znajdzie, kiedy spojrzy mu w twarz i wyczuje piętna okrywające go jak makabryczny uniform utkany z potwornych czynów.

Bardziej się obawiała, że go nie znajdzie. Przeraziła ją myśl, że go zgubi wśród rozległych, zatłoczonych lasów.

Nie zauważyła mężczyzny, póki nie wpadła prosto na niego. Siła zderzenia wypchnęła jej z płuc całe powietrze, kiedy uderzyła o jego twardą jak skała pierś. Zanim upadła na plecy, objął ją silnym ramieniem.

W pierwszej chwili była zbyt oszołomiona, by poczuć zawstydzenie.

- Hej! Wszystko w porządku? - zapytał i nie od razu rozluźnił chwyt, być może obawiając się, że dziewczyna jest zbyt wielką niezdara, by się utrzymać na nogach. Spojrzał na nią ze szczerym zaniepokojeniem. - Potrzebujesz pomocy?

Violet nie od razu doszła do siebie i podniosła wzrok zbita z tropu, wciąż jeszcze analizując to, co się wydarzyło przed chwilą.

-Ja... Hm, ja... chyba wszystko w porządku - wyjąkała, dziwiąc się brzęczeniu rozbrzmiewającemu w jej głowie.

Czyżby naprawdę zrobiła sobie krzywdę, kiedy tak niezgrabnie na niego wpadła?

Puścił ją ostrożnie, patrząc czujnie, czy dziewczyna zdoła zachować równowagę.

- Eee, dzięki.

Poczuła, jak zalewa ją spóźniony wstyd. Cofnęła się chwiejnie o krok i zobaczyła, że pod pomarańczową kamizelką nieznajomy ma przepisowy mundur Wy-

działu Policji w Buckley. Był jednym z podwładnych stryja Stephena.

Nie pamiętała jego twarzy i liczyła w duchu, że on także jej nie rozpoznał, tym bardziej że omal go nie przewróciła.

- Przepraszam za to, co się zdarzyło - wydukała nieprzekonująco.

- Nie ma o czym mówić. Potrzebujesz czegoś? - spytał. Uniósł brew, przyglądając jej się uważnie. - Coś znalazłaś?

Violet ogarnęło nagle, niewytłumaczalne uczucie, że nie powinna mu o niczym mówić, i zdziwiła się trochę, skąd się wzięło.

- Nie - wyjąkała skrepowana, że kłamie policjantowi. - Nie, nic z tych rzeczy. Po prostu... wracałam do domu.

Spojrzał na nią; zastanowiła się, czy jej uwierzył. Nie była nawet pewna, czy szła we właściwym kierunku, gdyby n a-p r a w d ę chciała wracać.

Popatrzyła mu w oczy i przywołała na twarz coś, co - miała nadzieję - wyglądało na przekonujący uśmiech.

- A w ogóle to dziękuję - dodała, próbując obrócić w żart własną niezdarność. - No wie pan, za to, że mnie pan złapał.

Uśmiechnął się w odpowiedzi i poklepał ją po ramieniu. Znowu usłyszała niewyraźne brzęczenie i uświadomiła sobie, że dobiega od mężczyzny. Zapewne jakieś piętno... rzecz mało zaskakująca u człowieka na co dzień posługującego się bronią.

- Zawsze do usług - odparł. - Nie przejmuj się tym. A, i patrz pod nogi, tutaj może być niebezpiecznie.

Właściwie powiedział to zupełnie niepotrzebnie. Każdy, kto tego ranka znajdował się w okolicy, zdawał sobie sprawę, jak bardzo może być groźna.

Violet lepiej niż ktokolwiek znała prawdę w niebezpieczeństwie czyhające tego dnia w lasach.

Podziękowała jeszcze raz i ruszyła przed siebie jak najnaturalniej, próbując sprawiać wrażenie, że czuje się zupełnie spokojna, i cały czas nasłuchując w skupieniu dźwięku widmowych dzwonów, które wciąż znajdowały się zbyt daleko. Kiedy tylko się upewniła, że policjant jej nie widzi, przyśpieszyła znowu, nie patrząc, gdzie stawia stopy.

Słodkie, melodyjne tony przyciągały ją coraz bliżej... zdawało się, że przyzywają coś w jej wnętrzu.

Natrafiła na właściwe miejsce szybko, szybciej, niż się spodziewała. Sądziła, że leży gdzie indziej... w oddali. Nagle jednak poczuła pewność, że znalazła się tuż obok.

Zwolniła i dopiero teraz zwróciła uwagę, że buty ma zabłocone, a nogawki dżinsów przemoczone i brudne. Nie było jej zimno, nawet się nie bała, drżała jednak i dygotała na całym ciele tak silnie, że niemal szczykała zębami. Pomyślała, iż to efekt zdenerwowania, adrenaliny płynącej jej w żyłach. W końcu zbliżała się do mordercy, wciąż nie wiedząc, co robi na jego widok.

Rozejrzała się wokół. Bicie dzwonów było niemal ogłuszające, głośniejsze nawet niż przy grobie Brooke. Minął ją jakiś wolontariusz, ale kiedy na niego spojrzała, upewniła się, że to nie on jest źródłem echa.

Nie miała najmniejszych wątpliwości, że pozna zabójcę, kiedy tylko go zobaczy.

Bez pośpiechu lustrowała otoczenie, szukając tego, czego nikt inny nie umiał znaleźć. Przetrzasała kępy zimozielonych krzewów i okrążyła olbrzymie paprocie wyrastające z wilgotnej, ocienionej leśnej gleby.

Mijała innych poszukiwaczy, słysząc dolatujące ze wszystkich stron nawoływania, lecz nic nie mogło zagłuszyć melodyjnych kurantów.

Jej uwagę zwróciło lśniąca jak oliwa echo, podobne do unoszącego się nad martwą dziewczyną w jeziorze, zanim dostrzegła coś więcej. Wydawało się, że świeci, połyskuje migotliwymi falami tańczącymi po skórze mężczyzny, przesłaniając Violet jego postać.

Poczuła, jakby ktoś ścisnął jej tchawicę i nieoczekiwanie zakręciło się jej w głowie. To był on.

Dzwony Brooke... oleisty połysk znad ciała w jeziorze... oba echa przyłgnęły do niego. Wychwyciła też inne... smaki... zapachy... kolory. Zbyt wiele, by potrafiła je od siebie odróżnić, bo nie były równie nieszkodliwe jak biały szum wysyłany przez tych, których złożono na spoczynek. Obnosił je w całej okazałości, demonstrował niczym sygnał przeznaczony dla Violet.

Nie mogła uwierzyć, że nie wyczuła go nigdy wcześniej.

Nie zauważył jej, bo w chaosie poszukiwań, w aktywności kipiącej wszędzie wokół, nie rzucała się w oczy bardziej niż setki ochotników krążących tego ranka po lasach. Cofnęła się tylko trochę, by obserwować go niezauważenie zza grubego pnia drzewa.

Był zwrócony plecami i widziała, że pod śmiertelnymi piętnami nosi taką samą kamizelkę jak inni. Przyłączył się do poszukiwań Mackenzie Sherwin. Ale w jakim celu?

Obrócił się bokiem, tak że zobaczyła jego twarz. Przypatrzyła się mu. Tylko zachowanie odróżniało go od pozostałych

wolontariuszy. Był ubrany w jaskrawy strój, ale nikogo nie szukał. Właściwie nawet się nie przemieszczał. Krążył... c z e k a - jąc... w tej samej okolicy.

Wydawało się, że nikt tego nie spostrzegł, bo w oczach pozostałych poszukiwaczy - skupionych na innych sprawach - mężczyzna niczym się nie wyróżniał. Nie był ani młody, ani stary. Ani atrakcyjny, ani nieatrakcyjny. Miał twarz pozbawioną wyrazu. Violet pomyślała, że zapewne spędził całe życie anonimowo, nie przyciągając niczyjej uwagi. Z pewnością nie wyglądał na mordercę. Idealnie wtapiał się w tłum.

Zaczekała, czy nie zdarzy się nic niezwykłego, i zrozumiała, że morderca posuwa się wolno, prawie niezauważalnie, jednak nie opuszcza pewnego miejsca.

Jak gdyby stał na warcie.

I wtedy ją to uderzyło. W ułamku sekundy zobaczyła to tak wyraźnie, że nie mieściło jej się w głowie, jak mogła nie zorientować się wcześniej.

Jedna z barw - iskrząca się, promienna zieleń otaczająca mężczyznę niczym aura, prześwitująca nawet przez pokrywający go oleisty połysk - wydobywała się także spod ziemi u jego stóp. Lśnią jasno, unosiła się nad opadłymi liśćmi, na których stał.

Promieniowała z miejsca, którego strzegł.

Tam, w dole, leżały zwłoki dziewczyny.

To dlatego był tutaj, wśród poszukiwaczy, ukryty niczym kameleon, choć na oczach wszystkich: by się upewnić, że nikt nie odkopie ukrytego pod ziemią ciała.

Violet cofnęła się chwiejnie i potknęła o własne stopy. Zakryła dłonią usta, dławiąc skowyt przerażenia, kiedy w ostatniej chwili zdołała odzyskać równowagę; po czym zamarła bez ruchu, modląc się, by nie zwrócił uwagi na szmer jej niezdar-

nych stóp łamiących gałązki w leśnym runie. Nagle wszystko, co robiła, zaczęło się jej wydawać zbyt głośne - każdy starannie zaplanowany krok odbijał się hałaśliwym echem od drzew, każdy wysilony oddech przypominał wybuch. Oddaliła się na palcach, lecz nawet to wydawało się zbyt ostentacyjne, więc nakazała sobie zachowywać się normalnie, jakby nic się nie stało - i wymknąć się niezauważenie.

Mężczyzna nawet nie podniósł wzroku.

Kiedy znalazła się dostatecznie daleko, rozejrzała się w poszukiwaniu pomocy. Zobaczyć w pobliżu ojca lub stryja byłoby zbyt wielkim szczęściem, więc nawet na to nie liczyła. Żałowała, że nie ma przy sobie komórki. Żałowała, że nie ma przy sobie gazu pieprzowego... i wyrzucała sobie, że zostawiła jedno i drugie w samochodzie.

Potknęła się nieostrożnie, nie podążając już za echem zgubionej duszy, lecz uciekając przed mordercą. Teraz dopiero poczuła strach. Bała się jak nigdy wcześniej i rozglądała dokoła, szukając kogoś - k o g o k o l w i e k - kto mógłby przyjść jej na ratunek. Zza gęstej kępy bezlistnych jeżyn wynurzyła się kobieta w kamizelce i Violet dosłownie się na nią rzuciła; do tej chwili nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo jest przerażona.

- Gdzie jest szef pani grupy? - spytała ochryple, chwytając zaskoczoną kobietę za rękaw. - Potrzebuję kogoś z krótkofalówką.

Kobieta wyglądała na zaszokowaną nagłym atakiem, ale się nie zawahała.

- Jest... tam - odparła. - Po drugiej stronie drzew. Violet już pędziła we wskazanym kierunku.

Wiedziała, że wygląda jak obłąkana. Czuła się obłąkana. Ale właśnie znalazła zabójcę. Przed paroma chwilami stała prawie na wyciągnięcie ręki od człowieka, który zamordował Bóg wie ile dziewczyn.

I właśnie odkryła kolejne ciało, być może należące do Mackenzie Sherwin.

Zobaczyła przed sobą mężczyznę z mapą w dłoni i zgadła, że to przywódca grupy. Obok stał drugi mężczyzna; rozmawiali, kiedy wpadła między nich.

-Ma pan krótkofalówkę? - spytała głosem, który nawet w jej uszach wydawał się zdławiony.

Dowodzący przyjrzał się jej surowo, zauważając kamizelkę wolontariuszki, zanim odpowiedział:

- Nie należysz do mojego zespołu.

- Proszę wezwać pomoc. Proszę się skontaktować ze Stephenem Ambrose'em.

Obronnym gestem położył rękę na kieszeni. Violet była pewna, że tam właśnie schował krótkofalówkę.

- Gdzie twój zespół, młoda damo? - rzucił władczo. Violet nagle poczuła gniew. Silniejsze uczucie zepchnęło w cień strach i straciła cierpliwość.

- Musi pan powiedzieć, komu trzeba, żeby tu przysłali Stephena Ambrose'a. Niech mu przekażą, że Violet go potrzebuje! - zażądała.

Nie mieściło jej się w głowie, że mężczyzna robi jej wymówki z powodu odłączenia się od grupy. Przecież wszyscy znaleźli się tu z jednego powodu: by odszukać Mackenzie.

Po twarzy nieznanego przemknął wyraz irytacji, kiedy wolno - z wahaniem - wyjmował z kieszeni walkie-talkie. Przyglądał się Violet podejrzliwie, rozważając, czy powinien

słuchać poleceń rozhisteryzowanego dzieciaka domagającego się spotkania z szefem policji.

- N a t y c h m i a s t ! - krzyknęła, kiedy zwlekał zbyt długo. A potem opadła na kolana. Podniosła wzrok i zaczęła go błagać. - P r o s z ę ! - nalegała. - P r o s z ę . . . niech pan się skontaktuje z moim stryjem i powie, że go potrzebuję.

Coś - albo jej postępowanie, albo słowa - najwyraźniej przekonało mężczyznę, bo nagle włączył krótkofalówkę i zaczął tłumaczyć komuś po drugiej stronie, że musi się skontaktować z szefem policji i że to wyjątkowa sytuacja. Kiedy go w końcu przełączono, odebrał nie stryj dziewczyny, lecz jeden z jego podwładnych, występujący tego pracowitego dnia jako pośrednik.

Stojący przed Violet szef grupy powtórzył, o co prosiła, przerywając tylko po to, by raz jeszcze spytać ją o imię i upewnić się, że je poprawnie zapamiętał. Zapytany, gdzie się znajduje, dwukrotnie podał swoje współrzędne. Policjant kazał mu chwilę poczekać i zapadła przeciągająca się cisza.

Violet dygotała, nadal klęcząc na ziemi, bo nie miała siły podnieść się z miejsca. Sądziła, że będzie się czuć skrepowana tym, że tkwi skulona u stóp mężczyzny, kiedy czekali na odpowiedź. Była jednak zbyt zmęczona i zbyt przerażona, by się przejmować tym, co obaj nieznajomi o niej pomyślą.

Na koniec z krótkofalówki rozległ się trzeszczący dźwięk, który wypełnił ciszę, i Violet usłyszała słowa, na które czekała.

S z e f j e s t w d r o d z e .

Pochyliła się, ukryła twarz w dłoniach i rozplakała się z wielkiej ulgi.

ROZDZIAŁ 18

ZANIM STRYJ DO NIEJ DOTARŁ, częściowo odzyskała nad sobą kontrolę. Nadal była przerażona swoim sekretem, lecz powróciło zdecydowanie, umacniając wolę i pozwalając zachować pozory opanowania. Przestała płakać i krążyła w pobliżu, podczas gdy kierownik grupy beznamiętnie czekał na rozwój sytuacji.

Widząc zmierzającego ku niej stryja, Violet rzuciła się w jego stronę. Kiedy otoczył ją ramionami, nareszcie poczuła się bezpieczna.

Nie chciała tracić czasu, ale nie mogła pozwolić, by ktoś jeszcze usłyszał, czego się dowiedziała.

- On jest tutaj - szepnęła z twarzą wtuloną w pierś stryja. Nie puścił jej; zdawało się nawet, jakby przytulił ją mocniej.

- Co powiedziałaś, Violet? - zapytał, chociaż była przekonana, że słyszał dokładnie każde słowo.

Odsunęła się tylko na tyle, by oddychać swobodnie, lecz nie tak, by mógł ją podsłuchać ktoś postronny.

- Widziałam go. Niedaleko.

Skinęła głową w stronę, z której przyszła. Stryj zamarł i Violet pomyślała, że zapewne rozważa następny krok.

- Jesteś pewna? Przytaknęła.

Zastanawiał się ponad minutę.

- Ją też wyczułaś? - Zdawało się, że trudno mu zadać to pytanie. - Mackenzie Sherwin?

Violet nie była pewna, co powiedzieć, więc udzieliła jedynej możliwej odpowiedzi. Zniżyła głos do ledwie słyszalnego szeptu.

- Tam jest ktoś... zakopany. A on pilnuje ciała. - Przełknęła ślinę. Przemknęło jej przez głowę, że muszą dziwnie wyglądać, przytuleni do siebie i wymieniający uwagi półgłosem. - Chyba chce się upewnić, że nikt jej nie znajdzie.

Gdy podniosła wzrok, czekając na jego decyzję, stryj zagryzał w zamyśleniu wargę. Spojrzał na nią i naraz nie był już stryjem, lecz szefem policji w miasteczku terroryzowanym przez mordercę.

Jego determinacja była nie mniejsza niż determinacja Violet.

- Jak wygląda?

Pokręciła głową, żałując, że nie potrafi odpowiedzieć.

- Nie wiem, naprawdę. Chyba zwyczajnie. Wiem tylko, że to on...

- Szukała właściwych określeń i jak zawsze, kiedy próbowała nazwać swoje odczucia, słowa wydawały się nieodpowiednie. - ...No wiesz, z powodu tego, co wyczułam wokół niego.

- Violet! Violet!

To był ojciec, biegnący ku miejscu, gdzie stała wraz ze stryjem.

Chwycił ją i zamknął w uścisku równie krzepiącym jak uścisk stryja, lecz w zupełnie inny sposób.

- O mój Boże, tak się cieszę, że jesteś bezpieczna - szepnął w jej włosy. - Co ty tu robisz? Od dawna tu jesteś?

Violet w milczeniu zerknęła na stryja, szukając pomocy.

Wiedziała, że ojciec wpadnie w panikę, kiedy się zorientuje, co zrobiła... i co odkryła.

Stephen Ambrose mrugnął do niej, ale nie rzucił pomocnej liny.

- A propos, dałem znać twojemu tacie, że tu jesteś. - Po czym zerknął nad jej głową na brata i oznajmił bardzo trzeźwo: -

Musimy pogadać.

W normalnych okolicznościach dziewczyna zostałaby odsunięta na stronę, żeby dorośli mogli porozmawiać bez świadków. Ojciec nie chciał jej jednak wypuścić z objęć, wszystko zaś, co stryj miał mu do powiedzenia, bezpośrednio wiązało się z tym, co przed chwilą usłyszał od Violet. Odsunęli się od ciekawskich uszu obu wolontariuszy, którzy przybliżyli się na widok szefa policji oraz policjantów, których ze sobą przyprowadził po błagalnym wezwaniu bratanicy.

Stephen Ambrose powtórzył zniżonym głosem relację dziewczyny. Violet czuła, jak z każdym słowem ciężka ręka ojca obronnym gestem mocniej obejmuje jej ramiona, aż odniosła wrażenie, że lada chwila zostanie zmiażdżona w żelaznym uścisku. Tato zadawał prawie takie same pytania jak stryj, lecz zwracał się do brata, nie do Violet, jakby udawanie, że dziewczyny nie ma obok, mogło ją uchronić przed ponownym przeżywaniem koszmaru.

Kiedy skończyli szeptać w pośpiechu, stryj przedstawił swój plan. Ojcu Violet nie spodobał się ani trochę.

- Greg, chcę, żebyś zabrał Violet razem z nami z powrotem na miejsce, gdzie widziała tego gościa - oznajmił rzeczowo i oficjalnie.

- Nie ma mowy, Stephen. Mówimy o mojej córce. Nie zbliży się drugi raz do tego potwora. Wystarczająco źle się stało, że raz na niego wpadła.

Violet była zaskoczona lodowatym tonem ojca, tym bardziej że zwykle wydawał się niezwykle łagodny i spokojny.

- Posłuchaj, będzie tylko musiała potwierdzić, że zatrzymujemy właściwego człowieka. Nie musi nic mówić, wystarczy, jeśli ściśnie cię za rękę, a ty dasz mi znak. - Głos stryja był taktowny i dyplomatyczny, kiedy apelował do głęboko zakorzonego poczucia sprawiedliwości ojca Violet. - Potem wróćcie do domu, spotkam się z wami później. Nikt nawet się nie dowie, że Violet ma coś wspólnego ze sprawą. Musimy jednak złapać tego typa... Powstrzymać go, zanim uderzy ponownie. A Violet jako jedyna może go wskazać. - Zaczekał, by się przekonać, czy jego słowa odniosły zamierzony skutek, po czym dodał: - Z pewnością jako ojciec nie chcesz, by ten szaleniec nadal grasował w miasteczku. Przez chwilę obaj milczeli, upierając się przy swoim. Violet zdawało się, że ojciec zwyciężył. Czują, jak każdy mięsień w jego ciele się napiął, kiedy patrzył młodszemu bratu prosto w oczy.

A potem poczuła, jak tato ustępuje, odpreża się nieznacznie - tak nieznacznie, że gdyby nie stała tuż obok, mogłaby tego nie zauważyć.

- Ale nic więcej, Stephen. Nikt nie będzie wiedział, że to ona. I nie zaczekamy, by popatrzeć co dalej.

Stryj skinął głową, zgadzając się na warunki ojca, a potem spojrzał na Violet.

- W porządku, Vi? Dasz radę to zrobić? - zapytał.

- Jasne.

Tego właśnie chciała przez cały czas: schwytać tamtego człowieka.

Stephenowi wystarczyły niespełna trzy minuty, by poinformować o wszystkim swoich ludzi, i kolejnych dziesięć, by dyskretnie wycofać z okolicy krążących wokół wolontariuszy. Wykorzystał tylko policjantów, których ze sobą przyprowadził, gdy przyszedł po Violet, i powiedział im jedynie, że jeden z poszukiwaczy chyba zobaczył coś podejrzanego.

Jego plan był prosty i należało go wykonać szybko i po cichu. Pragnął uniknąć zamieszania. W pobliżu znajdowało się zbyt wielu cywilów, więc chciał mieć pewność, że nikomu nie stanie się krzywda.

Kiedy byli gotowi, dał znak swoim ludziom, by ruszyli za nim. Nikt nie pytał, czemu Violet i jej ojciec idą śladem szefa policji i jego podwładnych.

Wszystko rozegrało się w ciągu paru minut - przynajmniej ta część, w której uczestniczyła Violet.

Bez trudu ponownie odnalazła mężczyznę. Znajdował się dokładnie w tym samym miejscu, gdzie go widziała poprzednio - czuwał nad zwłokami anonimowej martwej dziewczyny.

Ze wszystkich sił ścisnęła dłoń ojca, a ten posłał stryjowi sygnał potwierdzający, że to w rzeczy samej morderca. Policjanci w milczeniu wymienili spojrzenia i Violet poczuła, jak ojciec ciągnie ją - wymijając wolontariuszy nieświadomych rozgrywającego się tu dramatu - w stronę epicentrum operacji

poszukiwawczej. Trzymała go równie mocno jak on ją; żadne nie chciało puścić drugiego nawet na chwilę.

Kiedy wynurzyli się na otwartą przestrzeń na skraju lasu, usłyszała, że ojciec odetchnął głęboko z ulgą, jakby właśnie przeszli bez zadrąśnięcia przez pole minowe. I w pewnym sensie tak było.

- Czy stryj Stephen przyjdzie później opowiedzieć, co się wydarzyło? - spytała, kiedy się zbliżali do zaparkowanego samochodu. Podała ojcu kluczyki.

- Zjawi się najszybciej, jak się da, ale to pewnie trochę potrwa - odparł szczerze. - To duża sprawa, Violet. Naprawdę duża, więc będzie musiał wyjaśnić, jak odnalazł tego typu.

Violet nie obchodziło, jak stryj Stephen to zrobi, nawet gdyby oznaczało to podanie jej imienia. Spełniło się jej marzenie: oto było zakończenie, na które liczyła i czekała.

Złapali mordercę.

Następnych kilka godzin zapamiętała jak przez mgłę.

Najszybciej, jak to było możliwe - to znaczy prawie natychmiast, bo tato musiał chwilę porozmawiać z mamą - wymknęła się do swojej sypialni. Ojciec potrzebował czasu, by wyjaśnić, co wydarzyło się tego ranka w lasach za domem Hildebrandów, a potem uspokoić matkę. Violet nie chciała być obecna przy tej rozmowie, wiedząc, że matka wścieknie się na wiadomość, że córka polowała na zabójcę na własną rękę.

Zaczekała, aż znalazła się z dala od ciekawych oczu rodziców, i sprawdziła wiadomości w swojej komórce. Niecierpliwiła się, by to zrobić, odkąd wsiadła z ojcem do samochodu i usłyszała wibrowanie aparatu informujące o nieodebranych połączeniach.

Otworzyła komórkę i przewinęła listę połączeń. Złapała się na tym, że wstrzymuje oddech w nadziei, że zobaczy numer Jaya. Tylko na tym jej zależało, ale choć brak wyczekiwanego numeru rzucał się w oczy, znalazła na liście dwa inne, których nie знаła. Sprawdziła pocztę głosową i mechaniczny głos poinformował ją, że ma czternaście wiadomości.

Kasowała je kolejno po odsłuchaniu, coraz bardziej zirytowana i rozczarowana. Kiedy skończyła, zrobiła w pamięci zestawienie. Chelsea nagrała jedną wiadomość. Druga pochodziła od mamy, pytającej, czy Violet znalazła tatę i o której zamierzają wracać. Dwanaście było od Grady'ego, który najwyraźniej łączył się także z dwóch nieznanych numerów, zapewne podejrzewając, że Violet sprawdza, kto dzwoni. Nie robiła tego, ale tylko dlatego, że nie miała przy sobie telefonu - inaczej z pewnością by tak postąpiła.

Żadna z wiadomości nie pochodziła od Jaya.

Nagrania Grady'ego były żalosne, pełne próśb o wybaczenie i kulawych tłumaczeń, dlaczego wypił zbyt dużo. Przyznania się do winy i wyjaśnienia stanowiły wspólny temat wszystkich dwunastu wiadomości; prosił, a potem błagał, by oddzwoniła, żeby mógł jej powiedzieć, jak bardzo mu przykro - jak gdyby nie powtórzył już tego co najmniej dwanaście razy.

Był jednak ostatnią osobą, z którą Violet miała ochotę rozmawiać tego dnia.

Usłyszała dobiegające z dołu głosy i w pierwszej chwili sądziła, że rodzice się spierają - zapewne z jej powodu - skoro mówią tak głośno. Kiedy jednak usłyszała trzeci głos, który nie

należał do matki ani ojca, przemknęło jej przez głowę, że może to stryj wpadł z wieściami o najnowszych wydarzeniach. Zerwała się i zbiegła po schodach.

I stanęła jak wryta, zbyt zaskoczona, by zrobić kolejny krok. W kuchni tato i Jay stali nachyleni do siebie, rozmawiając cicho, poważnym tonem. Zaskoczyło ją, jak bardzo Jay wydaje się u siebie w tym otoczeniu.

Żaden nie podniósł oczu, chociaż Violet była pewna, że ją zauważyli. I właśnie to, że celowo unikali jej wzroku, dobitnie uświadomiło dziewczynie, iż jest tematem ich poufnej konwersacji.

Ojciec z pewnością opowiadał Jayowi o ranku w lasach. Violet bardzo się nie spodobało, że rozmawiają o niej, ignorując jej obecność.

Jay zerknął na nią przelotnie; w wyrazie jego twarzy było coś, co sprawiło, że dziewczyna się zawahała. Jego spojrzenie mówiło - bez jednego słowa - że wcale mu nie przypadło do gustu to, co Violet zrobiła, i że sporo od niego usłyszy, kiedy się znajdą sam na sam.

Lecz było coś więcej.

Spostrzegła to w chwili, kiedy zwracał głowę z powrotem do jej ojca: przysięgłaby - i postawiła na to sporo pieniędzy - że Jay się uśmiechnął. Leciutko, niemal niezauważalnie. Być może tylko ona to dostrzegła. Z pewnością ojcu umknęło to zupełnie, bo kontynuował rozmowę bez zająknięcia.

Ten jeden, niemal niedostrzegalny uśmiech ją rozczulił.

Obserwowała ich jeszcze przez parę chwil. Zastanawiała się, ile ojciec powiedział Jayowi, a ile zataił.

Nie było tajemnicą, że Jay wie o „talencie” Violet, lecz dziewczyna nie pamiętała ani jednego razu, by rodzice roz-

mawiali o tym w jego obecności. Zawsze istniało ciche porozumienie, że należy o tej sprawie milczeć... jak o wszystkich prawdziwych rodzinnych sekretach. To był ich trup w szafie. Zaskoczyło ją, kiedy zobaczyła, jak ojciec wyciąga do Jaya rękę. Gest byłby na miejscu na spotkaniu dwóch biznesmenów; nie spodziewała się go między własnym ojcem i najlepszym przyjacielem.

Jay jednak ujął dłoń bez wahania. A potem ojciec spojrzał na dziewczynę i skinął głową. Jak gdyby mówił, że wszystko zostało ustalone - chociaż Violet nie miała pojęcia, co to znaczy. Cicho wycofał się kuchennymi drzwiami, zmierzając do atelier, gdzie - jak Violet podejrzewała - matka wyładowywała swoją frustrację za pomocą farb.

Nieoczekiwanie skrepowana faktem, że zostali sami, chcąc odwrócić uwagę od nich obojga, poprosiła Jaya o wyjaśnienie, o czym tak poważnie rozmawiał z jej ojcem. Weszła do kuchni, zdenerwowana i niepewna.

- O co w tym wszystkim cho...

Zanim zdążyła skończyć zdanie, chłopak w dwóch długich krokach pokonał dzielącą ich przestrzeń, porwał dziewczynę w ramiona i zachłannie przycisnął usta do jej ust.

Pocałunek był łapczywy i namiętny i Violet w mgnieniu oka mu uległa, pragnąc więcej... d o m a g a j ą c się więcej. Opuścił ją na ziemię, aż stanęła na czubkach palców. Przyłgnęła do Jaya całym ciałem, starając się znaleźć jak najbliżej, i objęła go w pasie, przyciągając ku sobie za koszulę. Ogarnęło ją oszołomienie w dobrym znaczeniu tego słowa - w n a j l e p s z y m z n a c z e n i u - i uległa uczuciu, rozkoszując się każdą chwilą, każdym kuszącym muśnięciem języka. Jego dłonie poruszały się niestrudzenie, krążyły po ramionach i ple-

cach, potem przesunęły się na kark, gdzie prowokująco wplótł palce w jej włosy, by przyciągnąć Violet bliżej.

Odsunął się, tylko odrobinę, i delikatnie przesunął wargami po jej wargach; słyszała jego nierówny, urywany oddech. Wiedziała, że sama oddycha równie ciężko i nieregularnie i czuła wzbierające we wnętrzu nienazwane, gorące pragnienie, jakiego nie doświadczyła nigdy wcześniej.

- Co chciałaś powiedzieć? - spytał. Poczowała, że uśmiecha się krzywo tuż przy jej rozpalonych ustach.

Nie miała pojęcia, o czym Jay mówi. Równie dobrze mógłby używać jakiegoś tajemniczego, nieznanego języka.

Nie czekał, aż dziewczyna odzyska panowanie nad sobą i odpowie. Ulitował się i przestał z nią drażnić, ukoił irytację, którą poczuła, kiedy oderwał usta od jej ust. Poddała się lawinie głębokich, żarliwych pocałunków z mglistą nadzieją, że poruszają go równie mocno jak ją. Marzyła, by trwało to wiecznie.

Uświadomiła sobie niewyraźnie, że się przemieszczają, że Jay prowadzi ją przez jej własny dom, gładząc, muskając, poznając ciało dziewczyny silnymi, delikatnymi dłońmi. Dopiero w ostatniej chwili uświadomiła sobie, że znajdują się w jej pokoju i chłopak kładzie ją na łóżku.

Poczowała, jak materac ugina się silnie pod ich ciężarem, przytuliła się do Jaya i tylko przelotnie pomyślała, że rodzice są w domu... gdzieś na dole... zanim rozkoszna pieśczość jego języka sprawiła, że Violet znowu straciła zdolność logicznego myślenia. Jego ręce były równie niestrudzone jak jej. Nie wiedziała, jak długo leżeli na łóżku, poznając się nawzajem z szaloną namiętnością. Miała wrażenie, jakby nie mogła się do niego

wystarczająco zbliżyć... jakby były to jedyne chwile im przeznaczone w całym życiu i musieli wykorzystać cenny czas.

Potem jednak pocałunki stały się nieskończenie głębsze...

przeciągłe i niespieszne. Zaczęli się uczyć siebie. Violet przesunęła czubkami palców po szorstkich włoskach na przedramionach Jaya, rozkoszując się dotykiem smukłych, mocno zarysowanych mięśni pod cienkim T-shirtem. Podobało jej się, że pasują do siebie idealnie jak dwie połówki.

Na chwilę ich wargi się rozłączyły i Jay popatrzył na dziewczynę.

Usta Violet wygięły się w półuśmiechu, kiedy go zobaczyła z dziko rozczochranymi włosami. Przyjrzała mu się uważnie.

Pragnęła dotyku jego opuchniętych warg na swoich, zapłonęło w niej gorące pożądanie. Kiedy nie mogła dłużej znieść

narastającego poczucia niezaspokojenia, przywarła do Jaya,

leniwie przesunęła wargami po jego wargach i prowokująco

tchnęła powietrze w jego otwarte usta. Znowu chwycił ją mocniej

i przyciągnął blisko, a potem, oddychając spazmatycznie,

przywarł do jej ust z gwałtowną rozkoszą.

Pragnęła czegoś więcej. Czegoś więcej od pocałunków i dotyku.

.. jej ciało boleśnie domagało się znacznie, znacznie więcej.

Przylgnęła do niego, napała biodrami i zachwyciła się elektry-

zującym drżeniem jego ciała, kiedy zareagował na jej wyzwanie.

Zamknęła mocno oczy, gdy poruszył się tuż przy niej, a fale roz-

koszy niczym błyskawice rozlały się po całym jej ciele. Napała

znowu; próbowała znaleźć się jak najbliżej Jaya, pragnąc go ni-

czym narkotyku. Narastające dreszcze w jej wnętrzu wydawały

się zarazem cudownie pobudzające... i irytująco jałowe.

A potem Jay się odsunął, uniósł, tak że ich biodra straciły

kontakt. Musiało to wymagać olbrzymiego wysiłku, bo jęknął tuż

przy jej rozchylonych ustach.

Violet była oszołomiona, zbyt zaskoczona reakcją własnego ciała, by myśleć jasno, nie wspominając o mówieniu. Jay objął ją zaborczo za szyję i przyciągnął jej głowę do swojego ramienia, jakby bez słów dawał do zrozumienia, że powinni przestać. Musiała stłumić oburzenie, że przerwał tak gwałtownie. Jednak nawet mimo braku doświadczenia rozumiała, że również dla niego nie było to łatwe.

Ujął rękę dziewczyny. Leniwie pogładził wewnątrz kciukiem, palce splótł z jej palcami; żartobliwie i czule pieścili swoje dłonie, odzyskując panowanie nad sobą.

Violet ogarnęło wyczerpanie. Była zmęczona w sposób, jakiego nie doświadczyła nigdy wcześniej. Czuła się wypalona emocjonalnie, lecz równocześnie odurzona bliskością Jaya, i wiedziała, że nawet gdyby zamknęła teraz oczy, nie zdołałaby zasnąć.

Rozkosznie rozleniwiona leżała w jego ramionach. Po chwili odzyskała mowę.

-Nie zadzwoniłeś - rzuciła, sondując sytuację między nimi. Choć nie widziała jego twarzy, odgadła, że się uśmiechnął.

-Wiem.

- Było mi przykro.

Pocałował ją w czubek głowy i znowu mocniej przyciągnął do siebie. Wtuliła się w niego.

- Przepraszam - szepnął cicho. - Nie wiedziałem, co powiedzieć.

Violet tak pochłonęły wrażenia wywołane dotykiem jego ciała, że teraz to jej zabrakło słów. Po chwili szepnęła:

- Grady dzwonił, żeby przeprosić.

Nie należało tego mówić. Zrozumiała to, gdy tylko słowa padły z jej ust i poczuła, jak mięśnie Jaya się napięły. Chętnie by je cofnęła, wiedziała jednak, że nie mogą ignorować tematu w nieskończoność. Wcześniej czy później musieli porozmawiać o wydarzeniach poprzedniego wieczoru.

- Zostawił dwanaście wiadomości; wszystkie o tym, jak mu przykro, że zachował się jak palant. Jego słowa, nie moje. Oparła się na łokciu i spojrzała z góry na Jaya. Zamrugła, starając się skupić na rozmowie, zamiast na... i n n y c h r z e c z a c h .

- Nie oddzwoniłam - dodała.

Odprężył się odrobinę, słysząc konwencjonalne zapewnienie - tak jakby kiedykolwiek istniała wątpliwość, czy Violet znajduje się dokładnie tam, gdzie chciała się znaleźć. Jak gdyby istniał cień szansy, że wolałaby być z Gradym niż z Jayem. Ścisnął ją za rękę i przyciągnął dziewczynę do siebie. Leżała mu teraz na piersi.

- Pocałuj mnie jeszcze raz - rozkazał półżartem.

Jak dziwnie było słyszeć go mówiącego te słowa - słyszeć je wypowiedziane na głos. C a ł o w a l i s i ę . Więcej niż raz. Więcej niż mnóstwo razy. Mieli daleko za sobą etap bycia „tylko przyjaciółmi”.

Nachyliła się i cmoknęła go lekko, po siostrzanemu. A potem odsunęła się i uśmiechnęła niewinnie. Żałowała, że nie może sprawić, by nad jej głową dla większego efektu pojawiła się aureola.

Jay wydał dźwięk podobny do warknięcia, a potem stanowczo przyciągnął ją do siebie. Przetoczył się, tak że dziewczyna znowu leżała na plecach, on zaś górował nad nią i - w pełni wykorzystując swą pozycję, zaczął muskać ustami jej wargi

- lekko niczym piórkiem, w sposób, który nie miał w sobie nic niewinnego. Tak długo, póki nie rozchyliła warg i nie pozwoliła się pocałować znowu jak należy... gruntownie. Usłyszała własny jęk i poczuła, jak puls gorącym rytmem przyśpiesza jej w żyłach. Jay uniósł głowę i przyjrzał się Violet, pocierając kciukiem jej dolną wargę.

- O to mi chodziło. O prawdziwy pocałunek. Pomyślała, że chłopak trochę się popisuje, czuła się jednak bardzo zadowolona z siebie, bo Jay sprawiał wrażenie równie poruszonego jak ona.

- Czy to nie dziwne? - spytała z westchnieniem satysfakcji. Pokręcił głową.

- M-m - mruknął, gładząc delikatną skórę na jej ręce. - Wcześniej czy później to musiało się zdarzyć. Cieszę się, że nareszcie wszystko się wyjaśniło... Dość już miałem czekania.

Violet poczuła zmieszanie. Wszystko się wyjaśniło? Co to miało znaczyć, do cholery? Wcześniej czy później to musiało się zdarzyć? Skąd mógł wiedzieć, co będzie w przyszłości?

Wysunęła się spod niego.

- Co to znaczy, że dość już miałeś czekania? Czekania na co niby?

Wypytyując go, znowu wsparła się na łokciu.

Jay pozwolił, żeby pytania zawisły między nimi dłużej niż trzeba, celowo drażniąc się ze zniecierpliwioną dziewczyną. Kiedy wreszcie udzielił odpowiedzi, okazała się warta krótkiej chwili irytacji.

- Po prostu czekałem, aż zaczniesz mnie pragnąć równie mocno jak ja ciebie - mówił cicho, lecz jego słowa niosły wybu-

chowy ładunek. - Wiedziałem, że będziemy razem, to była tylko kwestia czasu. Wciąż liczyłem, że sama to wykombinujesz. Ale jak na taką bystrą dziewczynę jesteś trochę tępa, Vi. Ciągłe wspominałem o Lissie Adams i pokazywałem ci liściki, jakie mi zostawiała, bo miałem nadzieję, że się wkurzysz i wreszcie przyznasz, co do mnie czujesz.

Lissie Adams. Już samo nazwisko dziewczyny sprawiło, że Violet zjeżyła się z zazdrości i zadrżała. Obronnym gestem objęła się za ramiona, łudząc się, że Jay nic nie zauważył.

- Dlaczego sądzisz, że coś czułam? - zapytała podejrzliwie, jak gdyby jakimś sposobem odczytał jej myśli.

Gdyby należała do dziewczyn prowadzących pamiętniki, przysięgłaby, że Jay wyłamał zameczek i przeczytał go od deski do deski.

Wyszczерzył do niej zęby.

- Bo czułaś - stwierdził rzeczowo. - Wiem, ponieważ ja czułem coś do ciebie, więc nie ma mowy, żeby z tobą było inaczej.

Nie próbowała zaprzeczyć i spytała zamiast tego:

- Więc wykorzystałaś Lissie, żeby obudzić we mnie zazdrość?

Chciała udać oburzoną, ale było to trudne, gdy naprawdę miała ochotę zatańczyć tryumfalnie wokół pokoju. Zastanawiała się, co by pomyślała Lissie, gdyby ich mogła teraz zobaczyć leżących na łóżku.

- Nie, próbowałem ją wykorzystać. Ale najwyraźniej jesteś głupsza, niż sądziłem. Więc wpadłem we własne sidła, a ty zgodziłaś się iść na bal z... k i m s i n n y m. - Zapewne nawet o tym nie wiedząc, zacisnął zęby, wypowiadając te słowa przez ściśnięte gardło. Nie potrafił nawet wymówić imienia

Grady'ego. - A kiedy się zorientowałem, że idziesz z nim, wykombinowałem, że jedyny sposób, by cię zobaczyć tego wieczoru, to zaprosić Lissie. Liczyłem, że uda mi się chociaż raz z tobą zatańczyć.

Violet nic nie mogła na to poradzić: zachichotała. Bardzo cichutko. Cała ta historia to było po prostu za wiele. Jay starający się ją podejść, by przyznała, że jej na nim zależy. Grady próbujący ją pocałować ubiegłego wieczoru. I jeszcze teraz oni oboje tulący się na łóżku... Całujący się. Istne szaleństwo.

- Bawi cię to, tak? - Wydawał się trochę wkurzony, że Violet się z niego śmieje.

- To trochę dowcip moim kosztem - odparła poważnie. - Ja zostanę w domu, a ty tymczasem pójdiesz na bal absolwentów z Lissie Adams.

Starła się mówić tak, jakby nie była to wielka sprawa, ale w rzeczywistości mocno ją to zabolowało.

Jay objął ją ramieniem za szyję. Patrząc dziewczynie w oczy, przyciągnął ją wolno do siebie. Violet poczuła dreszcz podniecenia wywołany jego bliskością.

- Wczoraj wieczorem, kiedy cię odwiozłem, zadzwoniłem do Lissie i odwołałem wyjście. - Jego głos brzmiał ochryple i szorstko, aż ją mrowiła skóra. - Powiedziałem, że idę na bal z tobą.

Violet wydawało się, że serce wyskoczy jej z piersi. To właśnie chciała usłyszeć od tygodni, może nawet od miesięcy. Nie zamierzała jednak łatwo darować Jayowi jego chytrych gier.

- Przykro mi - odparła z fałszywą szczerością - ale mam już partnera. Poza tym nie pamiętam, żebyś mnie poprosił.

Spojrzał na nią zwięzonymi oczami, jakby prowokując, by mu się sprzeciwiła.

- Ja jestem twoim partnerem. Jeśli o mnie chodzi, Grady może iść do diabła. Może Lissie się z nim wybierze i będzie mógł ją obmacywać cały wieczór.

Ich twarze znajdowały się nos w nos i usta w usta.

Violet poczuła się zaintrygowana tą stroną charakteru Jaya: pewnego siebie, rzeczowego, nieprzyjmującego „nie” za odpowiedź. Westchnęła, lekko dotykając wargami jego ust.

-No, dobrze - szepnęła, udając, że się poddaje. - Pójdę z tobą... pod jednym warunkiem.

Usta Jaya wygięły się w uśmiechu.

- Co tylko zechcesz.

Spojrzała mu w oczy i oblizwała wargi, celowo muskając językiem jego usta. Kontakt zbudził w jej brzuchu milion nerwowych motylków.

- Powiesz mi, o czym rozmawialiście z tatą.

Jay odsunął się raptownie, jakby go spoliczkowała. I Violet uświadomiła sobie, że w pewnym sensie tak właśnie było. Usiadł szybko, jakby otrząsnął się nagle ze zmysłowej mgiełki, a prowokujący uśmiech zniknął jak starty z jego twarzy.

- Nieważne - zapewniła szybko, próbując się wycofać. - Zapomnij, co powiedziałam.

Chciała wrócić do miejsca, w którym znajdowali się jeszcze przed chwilą. Było jednak za późno. Zdradziły jej to zaciśnięte szczęki Jaya.

- Nie - odparł szorstko. - Myślę, że powinniśmy o tym porozmawiać, Violet.

Nawet sposób, w jaki wypowiedział jej imię, wydał się nagle twardy i gniewny.

- Twój tato opowiedział mi, co się dzisiaj stało... tam, w lasach. Powiedział, że wytropiłaś faceta, który zamordował te

wszystkie dziewczyny z okolicy... że wystawiłaś się na niebezpieczeństwo.

Nie potrafiła określić, czy jest rozgniewany, czy zirytowany. .. czy jedno i drugie. Przeczesał rozczochrane włosy nerwowym gestem, zdradzającym, że jego irytacja rośnie.

-1 zrobiłaś to nie pierwszy raz. Wydaje się, że gdziekolwiek idziesz, ciągną za tobą kłopoty. I jesteś jedyną znaną mi osobą, której to nie obchodzi. Nie chcę nawet myśleć, co mogłoby się stać wczoraj, gdybym się nie zjawił, kiedy Grady cię... n a p a - s t o w a ł. - Przerwał, jakby było to zbyt trudne do zniesienia, po czym strofował ją dalej: - Nie potrafisz się nie narażać nawet w centrum handlowym. Obiecałem twoim rodzicom, a ty po prostu ruszyłaś przed siebie, nie mówiąc mi dokąd.

Jego głos zabrzmiał nagle oskarżycielsko. Violet odniosła wrażenie, jakby ktoś przeciągnął paznokciami po tablicy.

Zjeżyła się; już nie tylko Jay był zirytowany.

- A ty nie odzywałeś się do mnie przez tydzień! - odparowała ostro. - O co w tym chodziło? Cały tydzień czekałam, żebyś przestał mnie ignorować. I wszystko tylko dlatego, że cię nie p o i n f o r m o w a ł a m , gdzie idę? Nie będziesz mi mówił, co mam robić! Nie jesteś moim ojcem, wiesz?

- Dzięki, że mi to wyjaśniłaś - odparł z ironią. - Strach pomyśleć, że mogłabyś pomylić swojego chłopaka z ojcem.

Violet dosłownie podskoczyła na dźwięk słowa c h ł o p a k . Z całą pewnością zdawała sobie sprawę, że wyszli poza zwyczajną przyjaźń, ale nie była do końca pewna, co to oznacza dla nich obojga. Jay najwyraźniej już to wykoncypował.

To jednak nie znaczy, że Violet pozwoli mu sobą dyrygować.

- Nie rozumiesz? Beze mnie mogliby nigdy nie znaleźć tego świra. A teraz jest skończony... *finite*. Stryj Stephen pewnie już go aresztował, jak tylko sobie poszliśmy. - Siedziała teraz daleko od Jaya, gniewna, a nawet trochę urażona, że wszyscy zachowują się, jakby zrobiła coś złego. - Nie będę za to przepraszać. Nie mogę. Cieszę się, że go wreszcie złapali, i mam nadzieję, że zgnije w pudle!

Nie zdawała sobie sprawy, że krzyczy, póki nie usłyszała pukania do drzwi. Rozległ się zza nich cichy, zatroskany głos ojca:

- Wszystko u was w porządku?

Zagryzła wargę z bezsilnej złości i spróbowała się uspokoić.

Nagle poczuła skrępowanie na myśl, że siedzą z Jayem na łóżku - choć robili tak setki, może nawet tysiące razy wcześniej. Kiedy byli jeszcze tylko przyjaciółmi, nigdy ich to nie krępowało, lecz z jakiegoś powodu, mając ojca w odległości zaledwie paru metrów - i szczególnie po niedawnych pocałunkach - poczuła, jakby było w tym coś niestosownego.

- W porządku, tato! - zawołała, starając się mówić swobodnie i spokojnie.

A potem spojrzała na Jaya z wściekłością, że sprowokował ją do krzyków.

Słuchali oddalających się kroków jej ojca. Violet zauważyła, że nawet one były ciche i dyskretne.

Kiedy znowu zostali sami, zapadło długie milczenie. Słowa, które należało powiedzieć - i niektóre, których mówić nie należało - wybuchały w pustej przestrzeni między nimi niczym niewidzialne fajerwerki.

Jay poddał się pierwszy.

Mocno ujął dłoń dziewczyny w swoje dłonie.

- Słuchaj, Vi, nie wiem za dobrze, jak to powiedzieć, ale nie chcę, żeby cię spotkało coś złego. Chyba nie dałbym sobie rady, gdyby ktoś zrobił ci krzywdę. - Ton jego głosu nadal był surowy i uparty, choć przebijało z niego uczucie. Mimo to stanowczo ścisnął jej rękę, jakby dla podkreślenia swoich słów.

- Wiem, że to samolubne, ale nic mnie to nie obchodzi. Nie będę stał i patrzył, jak się pakujesz w niebezpieczeństwo, nawet jeśli chodzi o złapanie mordercy. - Zwolnił uścisk na jej pulsujących palcach i jego głos znowu stał się schrypnięty i szorstki.

- Nie mogę cię stracić - wyjaśnił, wzruszając ramionami, jakby nie były to najwspanialsze słowa, jakie słyszała w życiu. - Nie teraz, kiedy nareszcie cię zdobyłem.

Poczuła w oczach piekące łzy i zamrugowała szybko, by je powstrzymać. Przytłoczyło ją coś, co właśnie sobie uświadomiła... co zrozumiała, zanim jeszcze Jay skończył mówić. Wiedziała, czego n i e powiedział, kiedy ją pouczał w kwestii bezpieczeństwa.

Kochał ją.

Jay Heaton, jej najlepszy przyjaciel od dzieciństwa, był z a-k o c h a n y . Nie wyznał tego, lecz wiedziała, że to prawda.

A to, co rzeczywiście ją przeraziło, co spadło na nią zupełnie nieoczekiwanie, to fakt, że nie tylko on. Bo choć temu zaprzeczała przez długi, b a r d z o długi czas, uczucie zawsze gdzieś się kryło... czekało pod powierzchnią ich przyjaźni. I teraz, kiedy wyrwało się na swobodę, nie miała odwrotu.

Wydawało się zbyt dziwne, by choćby o tym pomyśleć, ale...
...ona też go kochała.

ROZDZIAŁ 19

VIOLET SPĘDZIŁA KOLEJNĄ NIESPOKOJNĄ NOC, lecz tym razem nie przez Jaya. No, może nie była to do końca prawda - Jay miał w tym pewien udział, lecz jej sen przerwało coś jeszcze. Coś, co wzbudziło niepokój... przyniosło udrękę... zaalarmowało szósty zmysł, podpowiadając, że coś jest nie w porządku w świecie Violet. I choć nie miała pojęcia co, nauczyła się ufać swoim przeczuciom.

Mimo to stoczyła bohaterską walkę - rzucała się i przewracała na łóżku, zmieniała pozycję, zapadając w urywane, nie-przynoszące odpoczynku drzemki. Była pewna, że kilka razy zasnęła na krótko, bo pamiętała sny: poszarpane i niekompletne, w najwyższym stopniu niezadowolające, urywające się, nim się na dobre zaczęły - niemniej jednak sny.

Dopiero po tym, gdy jej cyfrowy budzik wskazał wreszcie godzinę siódmą - drakońsko wczesną porę jak na Violet - niechętnie porzuciła wysiłki, pogodziła się z faktem, że czuje się rozbudzona - całkowicie rozbudzona - i wstała w końcu z łóżka.

Powinna tego dnia skakać z radości. Zdarzyło się bajkowe zakończenie, o którym przed kilkoma krótkimi miesiącami mogła jedynie pomarzyć. Nie tylko powstrzymała mordercę, używając zdolności, jakich nikt inny nie posiadał, lecz także nareszcie miała Jaya dla siebie. Żadnego więcej dzielenia się nim z wszystkimi dziewczynami w szkole.

A jednak zamiast szczęśliwa, czuła się przybita. Nawet absolutnie zapierająca dech perspektywa kolejnego spotkania z Jayem w niewielkim stopniu dodała dziewczynie energii. Violet była przekonana, że chłopak przynajmniej w połowie jest winien jej wyczerpania.

Zanim wyszedł poprzedniego wieczoru - po całych godzinach spędzonych na ponownym poznawaniu się na sposoby, jakich nigdy nie próbowali - zrobiła się prawie północ. Violet była kompletnie wypompowana. Miała wrażenie, jakby została przepuszczona przez wyżymaczkę - przynajmniej w sensie emocjonalnym.

Nie znaczyło to, że planowała zrezygnować ze spotkania z Jayem - szczerze mówiąc, był to jedyny punkt dnia, którego n i e zamierzała opuścić. Po prostu czuła się zmęczona.

Przed zejściem na dół wzięła prysznic w nadziei, że ją to otrzeźwi, i miała rację... do pewnego stopnia. W istocie idąc chwiejnie po schodach, czuła się prawie jak człowiek.

Mama i tato siedzieli przy stole. I stryj Stephen także.

I jeśli Violet zdawało się, że jest znużona, było to niczym w porównaniu ze stanem, w jakim znajdował się stryj. Oczy miał otoczone czerwonymi obwódkami i przekrwione, a szerokie kręgi pod nimi były rozległe i ciemne. Już na sam jego widok łzy napłynęły dziewczynie do oczu - tak bardzo wydawał się posiwiały i wyczerpany.

Trzymał w dłoni turystyczny kubek. Mogła tylko podejrzewać, że został napełniony najczarniejszą, najsilniejszą kawą nadającą się jeszcze do picia i jaką można uznać za płyn. Taką lubił: czarną a la posterunek policji.

-Hej, stryjku - przywitała go zaciekawiona, odsuwając krzesło od stołu.

Chciała mu zadać milion pytań o to, co się wydarzyło wczoraj po jej odejściu, lecz widząc jego stan, postanowiła poczekać i dowiedzieć się, czemu ich odwiedził. Wątpiła, by zrobił to z grzeczności lub w celach towarzyskich, bo jedynym miejscem, gdzie powinien się znajdować o tej porze, było własne łóżko. Skinął głową, ale nie odpowiedział od razu; wyraz jego twarzy skierowanej w stronę ojca Violet mówił jasno, że prosi brata o wyjaśnienie przyczyn swojej porannej wizyty.

Dręczące przeczucie, które nie pozwalało Violet zasnąć całą noc, naraz zacisnęło na niej ostre jak żyłki zęby. Coś się stało.

Przeniosła wzrok ze stryja na ojca, a potem na mamę, bez wątpienia nadal mającą jej za złe kłamstwo. Pani Ambrose najbardziej ze wszystkiego nienawidziła oszustwa, szczególnie ze strony własnej córki. Pokręciła głową, patrząc na Violet; jej zmęczone spojrzenie dawało do zrozumienia, by córka nie szukała u niej pomocy. Nie tym razem. Violet przeniosła więc wzrok z powrotem na ojca. Napięcie było niemal namacalne. Kiedy pan Ambrose odezwał się w końcu, w jego zachowaniu zamiast zwykłego spokoju dały się wyczytać surowość i napięcie.

- Stryj spędził na posterunku całą noc. Od wczorajszego popołudnia policjanci gromadzą wszelkie informacje i próbują

wyjaśnić jak najwięcej wątpliwości. Nie chcą tym razem popełnić błędu, więc są bardzo skrupulatni.

- Mhm... - mruknęła dziewczyna, dając znać ojcu, że zbyt długo zwleka z przejściem do sedna. - A co z nim? - zwróciła się do stryja. - Potwierdził, że to zrobił?

Stryj skinął głową. Miał załzawione oczy.

- Tak. Przyznał się do robienia najróżniejszych przerażających rzeczy tym biednym dziewczynom. Przyznał się do spraw, o które go nawet nie pytaliśmy. Najwyraźniej zajmował się tym od wielu lat, krążył po całym stanie. - Spojrzał na ojca Violet, jakby prosząc o pozwolenie, by kontynuować, a kiedy ten skinął na znak zgody, stryj rzucił bombę. - Przyznał się nawet do zamordowania znalezionej przez ciebie dziewczyny.

Violet poczuła się zbита z tropu. Oczywiście, że zabił dziewczynę, którą znalazła, wiedziała o tym od chwili, kiedy poprzedniego dnia w lasach zobaczyła na nim oleiste zielone piętno.

Wyraz twarzy widocznie ją zdradził, bo stryj wyjaśnił: -Nie, nie tej w jeziorze. Tej drugiej. Tej, którą odkryłaś w lasach nad rzeką, gdy miałaś osiem lat. Była jego pierwszą ofiarą. Powiedział, że się wystraszył, kiedy ją znaleziono tak szybko po tym, jak ją zakopał. Sądził, że dokładnie ją ukrył.

i pewnie tak było. Nie mógł wiedzieć, że na grób natrafi ośmiolatka obdarzona szczególnym talentem do odnajdowania pogrzebanych zwłok. Potem postanowił szukać ofiar z dala od domu i przez lata polował na dziewczyny we wszystkich okęgach prócz naszego.

Violet nie była pewna, które pytanie zadać najpierw, więc wybrała najbardziej oczywiste, najbardziej ją dręczące. - W i ę c gdzie on mieszka?

Zobaczyła, jak siedząca naprzeciw matka wzdrygnęła się i ciaśniej owinęła szlafrokiem, chroniąc się przed urojonym chłodem. Violet znowu popatrzyła na stryja.

-Tutaj, w Buckley. To znaczy tuż za miastem. Ma około dwudziestu akrów ziemi między naszym miasteczkiem a Enumclaw. Spędził tu większą część życia - wyjaśnił. Po czym dodał, jakby zły na siebie, że nie znalazł mordercy wcześniej: - Tuż pod naszym nosem.

Violet zrozumiała, czemu mama wydaje się taka wstrząśnięta. Blisko. Zbyt blisko.

Po wczorajszym spotkaniu z zabójcą dziewczyna wiedziała już jednak, czemu morderca nie musiał się przenosić z miejsca na miejsce, czemu nie martwił się, że ktoś zacznie go podejrzewać. Mógł mieszkać wszędzie. Był niewidzialny. A w każdym razie prawie niewidzialny. Zwyczajny. Pospolity. Normalny... a przynajmniej sprawiający wrażenie normalnego. Nic w jego nijakim wyglądzie nie rzucało się w oczy. Nic w jego nieszkodliwej powierzchowności nie budziło podejrzeń ani zaniepokojenia.

- Więc skoro się przyznał, co tu robisz? - zapytała.

Było to następne w kolejności oczywiste pytanie, jakie jej przyszło do głowy.

Wymieniono spojrzenia. Marzyła, żeby wreszcie się dowiedzieć, o co chodzi.

Póki się nie dowiedziała. Bo wtedy pożałowała, że nie może cofnąć czasu.

Tym razem odezwał się tato.

- Znowu cię potrzebują, Violet. Stryj Stephen przyszedł cię prosić o pomoc.

- Dlaczego? Przecież go macie. Przyznał się. Chyba wszystko jasne? - Powiodła wzrokiem wokół stołu. - O co jeszcze chodzi? Zanim stryj odpowiedział, pociągnął kolejny łyk gęstej czarnej zawiesiny, którą nazywał kawą. Odchylił głowę i chwilę patrzył w sufit.

- Chodzi o tę dziewczynę - wyjaśnił w końcu, prostując się i trąc oczy, które wyglądały nie tyle na przekrwione, ile krwawiące. - Ekshumowaliśmy ciało ukryte we wskazanym przez ciebie miejscu i już zdołaliśmy je zidentyfikować.

- Dziewczynę z piątkowej imprezy? Mackenzie Sherwin, tak? - spytała Violet, zadowolona, że zaczyna panować nad rozmową.

- Nie, Vi - poprawiła mama, odzywając się do córki pierwszy raz od jej powrotu do domu poprzedniego dnia. Sięgnęła nad stołem i ścisnęła rękę Violet. Oczy kobiety napęły się łzami. - To była Hailey McDonald. - Głos jej się załamał.

Violet poczuła, jakby ktoś uderzył ją w brzuch. Nie dlatego, że sądziła, iż Hailey żyje. Z jakiegoś niezrozumiałego powodu usłyszenie tych słów i świadomość, że znajdowała się tak blisko zwłok, wydały jej się z b y t przerażające. Hailey była kimś, kogo znała.

- Okej... - Postarała się myśleć logicznie. - Nadal nie rozumiem. Czemu mnie potrzebujecie, skoro się przyznał?

- Bo przyznał się do zamordowania wszystkich, o których wiemy, i wielu innych, ale nie Mackenzie Sherwin - wyjaśnił ze znużeniem stryj. - Nie chce wziąć odpowiedzialności za jej zniknięcie.

- Może nie był odpowiedzialny - podsunęła Violet, jakby pierwsza na to wpadła. - Może ona naprawdę zgubiła drogę w lasach. Może nadal żyje.

Stryj pokręcił głową.

- On kłamie - stwierdził nieugięcie. - Nie wiem czemu, ale kłamie w jej sprawie. Myślę, że wie dokładnie, gdzie się znajduje dziewczyna, i nie chce, byśmy ją namierzyli. Mam wrażenie, jakbyśmy coś przeoczyli... coś ważnego... ale nie potrafię tego określić. Wydaliśmy już nakaz przeszukania jego posiadłości i zaproponowaliśmy mu ugodę w zamian za informację o miejscu jej ukrycia. Twierdzi, że tego nie wie, ale to cholerne bzdury.

Przykro mi, Vi.

W normalnych okolicznościach rozśmieszyłoby ją, że stryj przeklina, tak dziwnie i nienaturalnie brzmiało to w jego ustach. Był jedynym znanym dziewczynie człowiekiem, który sprawiał przy tym bardziej idiotyczne wrażenie od jej ojca. Mama, przeciwnie, klęła jak szewc i właściwie nie ukrywała swojej fascynacji dosadnym językiem. Teraz jednak nie była pora na żarty i nie wydawało się to śmieszne.

- Może nie miał jeszcze okazji przenieść jej w nowe miejsce.

Chcielibyśmy cię zabrać do jego domu i sprawdzić, czy uda ci się tam, no wiesz... coś w y c z u ć . Czy pomożesz nam w znalezieniu Mackenzie?

Violet spojrzała na niego szeroko otwartymi oczami i bez mrugnięcia powiedziała na głos to, o czym wszyscy wiedzieli:

-Zdajecie sobie sprawę, że odszukam ją, tylko jeśli jest martwa?

Nie planowali, co zrobią, kiedy dotrą do domu mordercy, ale Violet rozumiała, czego od niej oczekują. Miała poszukać ech.

Od dzieciństwa akceptowała swój talent. Pogodziła się nawet z dwukrotnym przypadkowym natrafieniem na ludzkie zwłoki. Trzykrotnym, jeśli liczyć Hailey McDonald. I zdecydowanie nie wzdragała się przed szukaniem mordercy, przekonana, że może w tym pomóc.

Tym razem jednak...

To było coś innego. Makabrycznego.

Świadomie szukała martwej dziewczyny. Tym razem to nie zbieg okoliczności... nie przypadkowe odkrycie.

Na miejscu znajdowało się tylko kilku policjantów, wszyscy zajęci własnymi sprawami - szukaniem śladów i zbieraniem dowodów - i nawet nie zauważyli jej obecności. Violet wędrowała w ślad za stryjem, pozwalając najpierw oprowadzić się po domu - ciasnym, ciemnym i brudnym - a potem przejęła prowadzenie i obeszła rozległą posiadłość podzieloną na kilka pastwisk niskimi drewnianymi płotami. Ojciec następował im na pięty.

Niesamowicie było się tu znaleźć... Wiedzieć, że stoi w miejscu, gdzie bywał wcześniej morderca. Widzieć, gdzie jadał, odpoczywał, żył.

Zatrzymała się kilka razy, wyczuwając stare echa, blade i słabe z powodu upływu czasu. Była pewna, że są nieistotne... a przynajmniej nie zainteresowałyby policji. Domyślała się, że pozostawiły je koty polujące na szczury, kojoty łowiące kurczaki i ludzie zabijający inwentarz. A w każdym razie wyobrażała sobie, że stąd mogły się wziąć na farmie.

Stryj jednak mimo wszystko oznaczał każde miejsce niewielką pomarańczową flagą, którą wbijał w ziemię. Zamierzali zacząć kopać dopiero po jej odejściu. Był to jeden z licznych warunków, jakie postawił ojciec Violet. Miała obejrzeć farmę

jak najszybciej, tak aby jak najmniejsza liczba ludzi - nawet policjantów - wiedziała o wizycie dziewczyny.
Zanim jeszcze skończyli poszukiwania, Violet wiedziała, że Mackenzie Sherwin tam nie ma. Zobaczyłaby jej ślad równie wyraźnie jak dzwony Brooke i tęczowe lśnienie oleistej plamy. Byłby świeży i silny.
Jeśli Mackenzie nie żyła, pochowano ją gdzieś indziej.

ŚCIGANY

Z MIEJSCA, W KTÓRYM STAŁ, widział zniszczoną fasadę starego budynku. Setki razy oglądał ten dom wcześniej. Tym razem jednak - tego dnia - patrzył na niego innymi oczami.

Ukryty obserwował, jak policjanci przychodzą i odchodzą, robią zdjęcia, oznaczają dowody, wynoszą tekturowe pudła do samochodów. Dom, który odwiedzał tyle razy, stał się sceną zbrodni. A przynajmniej elementem kryminalnego dochodzenia.

Nadal nie rozumiał, gdzie popełnili błąd ani w jaki sposób ich namierzono. On co prawda nie został złapany, ale skutki były dla niego równie katastrofalne.

Przeszkadzono im... jemu i jego partnerowi.

Doskonale zaplanowany karnawał morderstw dobiegł końca.

Patrzył więc i czekał, by się upewnić, że w żaden sposób nie zostanie powiązany ze sprawą.

Nie zdziwił się szczególnie na widok szefa policji podjeżdżającego nieoznakowanym, ufundowanym przez władze miejskie wozem. Samochód równie dobrze mógłby mieć na boku napis GLINY, tak bardzo rzucał się w oczy. Jednak to nie zjawienie się

policjanta zwróciło jego uwagę, lecz przyjazd zwyczajnego sedana. A ściślej to pasażerka sedana wzbudziła niepokój mężczyzny. Widział ją wcześniej... śliczną dziewczynę, wolontariuszkę z wczorajszej grupy poszukiwawczej.

Zwrócił na nią uwagę w lesie, już wtedy podziwiał jej... młodość... niewinność... podczas gdy okoliczni mieszkańcy zajmowali się poszukiwaniem zaginionej, która nigdy nie miała zostać znaleziona. W każdym razie nie żywa.

Gdyby byli sami, tylko on i piękna dziewczyna, bez wszystkich strażaków, policjantów i wolontariuszy, spotkanie mogłoby się skończyć zupełnie inaczej.

Obserwował ją, zamarty w bezruchu - nauczył się tego w czasie szkolenia wojskowego - oglądając i analizując scenę przed sobą. Nieco później, po przypadkowym spotkaniu w lasach, dowiedział się, że to bratanica szefa policji Ambrose'a. Aż do tej chwili nie poświęcił ani jednej myśli temu, że kręciła się po okolicy, gdy zatrzymano jego partnera - stróżującego w miejscu, w którym przykazano mu stać, i pilnującego, by nikt nie przeszukał go zbyt dokładnie.

Lecz oto znowu się pojawiła. Dziwny zbieg okoliczności. Patrzył, jak oprowadza po farmie szefa policji i mężczyznę, którego uznał za jej ojca; cała trójka rozmawiała ze sobą cicho. Widział, jak Ambrose oznacza wskazane przez dziewczynę miejsca.

Coś tu się nie zgadzało, coś było nie tak. I czy to jedynie przypadek, że spotkał ją także wczoraj? Coś wiedziała, ale jakim sposobem? Skąd mogła wiedzieć... i pozostać przy życiu, by o tym opowiedzieć?

Nie potrafił odgadnąć, ale nie zamierzał ryzykować. Jego partner został schwytany. Nie mógł pozwolić, by znaleźli także jego.

Wiedział, co musi zrobić.

Będzie musiał ją powstrzymać. Uciszyć. Raz na zawsze.

Tylko w ten sposób pozostanie bezpieczny. Tylko dzięki temu będzie mógł znowu polować swobodnie.

Bratanica policjanta musi zginąć.

ROZDZIAŁ 20

NASTĘPNY RANEK BYŁ DZIWNY Violet denerwowała się przed pójściem do szkoły. Zajrzała nawet na stronę internetową liceum w nadziei, że zajęcia odwołano z powodu odkrycia ciała Hailey McDonald oraz nadal niewyjaśnionego zaginięcia Mackenzie Sherwin w ostatni weekend.

Niestety, miała pecha. Wiedziała, że w szkole znowu zaroi się od psychologów próbujących koić zszarpane nerwy uczniów oplakujących nie jedną, lecz dwie koleżanki.

Nie to jednak było powodem jej zdenerwowania.

Niepokoїła się, że znowu spotka Jaya. W szkole. Na oczach przyjaciół. Oraz nieprzyjaciół, do których z całą pewnością zaliczali się obecnie Lissie i Grady.

Tak się złożyło, że nie widziała się z Jayem od sobotniego wieczoru. Zadzwoił w niedzielę, by powiadomić, że wybiera się z mamą do dziadków mieszkających o dwie godziny jazdy od Buckley. Nie wiedziała więc, czego się spodziewać tego ranka. Do pewnego stopnia liczyła, że uda jej się zachować nowy związek w tajemnicy przynajmniej przez jakiś czas... aż

wszystko sobie ułoży. Nie miała jednak pojęcia, co postanowił Jay-

Dziwnie się czuła, kiedy parkowała na jego podjeździe tego ranka - tak samo jak tysiące razy wcześniej. Zobaczyła, że drzwi się otwierają, lecz zamiast chłopaka wyrzała jego mama i energicznie jej pomachała. Jay przecisnął się obok matki, uśmiechającej się konspiracyjnie do Violet i prawie ignorującej własnego syna.

Zawstydzona dziewczyna pomachała w odpowiedzi. „Ona wie - pomyślała. - Mama Jaya wie”.

Jay nie zamierzał pozwolić, by Violet zachowała sprawę w sekrecie.

Cichy furkot motylków w brzuchu towarzyszący jej cały ranek zmienił się w głośny trzepot.

Jay wsiadł do samochodu, swobodny jak zawsze, i kopnął zawadzający mu pod nogami plecak. Wyciągnął się na fotelu i wyszczerzył zęby do Violet.

- Gotowa? - spytał, jakby wyczuł jej wahanie i drażnił się z nią z tego powodu.

Przygarbiła się nieco, pokonana, i wrzuciła wsteczny bieg.

- A mam wybór?

Próbowała nie zrobić obrażonej miny, ale niezupełnie jej się udało.

Jay zachichotał, czule ujął ją pod brodę i pogładził kciukiem po szczęce. A potem posłał jej swój olśniewający uśmiech.

- Nie, jak długo ja mam coś do powiedzenia - odparł ze śmiechem.

W szkole było zupełnie tak, jak dziewczyna się spodziewała: dziwnie. Nie był to najlepszy, ale i nie najgorszy dzień w jej karierze. Po prostu nietypowy.

Jay rzeczywiście niczego nie ukrywał. Od momentu gdy wysiedli z samochodu, kiedy to wziął ją za rękę i nie chciał puścić, chociaż Violet zaczęła się szarpać i wrywać, próbując się wyswobodzić. Zignorował jej milczące protesty, po czym trzymając mocno dłoń dziewczyny i uśmiechając się bardziej do siebie niż do niej, poprowadził ją prosto do szkolnego budynku.

Nie żeby nigdy wcześniej nie trzymali się za ręce, bo się to zdarzało. Tym razem znaczyło to jednak coś zupełnie innego i Jay bardzo stanowczo postanowił dać to wszystkim do zrozumienia. A na wypadek gdyby ktoś się zastanawiał, co oznacza owo trzymanie się za ręce, wyjaśnił, o co chodzi, fundując Violet długi - aczkolwiek bardzo przyjemny - pocałunek w usta na samym środku korytarza. Tym razem dziewczyna nie próbowała się wrywać, prawdę mówiąc, odkryła z przerażeniem, że tuli się do niego, pragnąc więcej i nie przejmując się - przynajmniej w tamtej chwili - kto może ich zobaczyć razem.

Niestety, osobą tą okazała się Chelsea. Ni mniej, ni więcej tylko Chelsea - i to w towarzystwie Claire - nadeszła przypadkiem właśnie w tym bardzo niefortunnym momencie.

-No, no, no — skomentowała niewinnie. — Spójrz, kogo my tu mamy, Klarusiu-dzidziusiu. Stary Jay i Violet. - W jej głosie słychać było nieskrywane rozbawienie. - Popraw mnie, jeśli się mylę, ale to wygląda na trochę więcej niż przyjacielski pocałunek, nie sądzisz?

- Ja nigdy się nie całuję z przyjaciółmi w taki sposób - odparła Claire poważnie, z kamiennym wyrazem twarzy, nieświadoma sarkazmu.

W odpowiedzi Jay przyciągnął Violet mocniej i objął ją w talii. Violet się skuliła.

Chelsea przechyliła głowę i spojrzała na Claire.

- Próbowałam coś zasugerować. Przyjaciółka wydawała się zbita z tropu. -Co?

- Serio, Claire... Że Violet i Jay zaczęli ze sobą chodzić!

-Oderwała wzrok od biednej, zmieszanej Claire i z satysfakcją przyjrzała się parze przed sobą. - Swoją drogą, najwyższa pora. Myślę, że wszyscy będą wam wdzięczni za wybawienie z kłopotu. Ja przynajmniej miałam powyżej uszu patrzenia, jak usychacie z tęsknoty niczym para zakochanych szczeniąt. Serio, to było okropne.

Chwyła Claire za rękaw obcisłego, podkreślającego sylwetkę swetra z kapturem i pociągnęła ją do klasy, gdzie miały pierwszą lekcję. Violet - w osłupiałym milczeniu, przyswajając sobie wszystko, co usłyszała od Chelsea - patrzyła na Claire sunącą w podskokach za władczo wytyczającą szlak koleżanką.

Jay uznał, że przyszła jego kolej na spojrzenie pełne satysfakcji.

- U s y c h a ł a ś z tęsknoty za mną? - spytał z głupim uśmiechem. Violet walnęła go w ramię.

- Zamknij się! - Pokręciła głową. - Zresztą jestem pewna, że chodziło jej o c i e b i e.

Podobnie jak Chelsea, ich kolegów nie zaskoczyła rozprzestrzeniająca się pogłoska, że Violet i Jay chodzą ze sobą - tyle że większość miała tyle przyzwoitości, by zachować przemądrzałe komentarze dla siebie. Najwyraźniej tylko Violet nie

zorientowała się, na co się zanosi - w przeciwieństwie do Jaya twierdzącego, że zostanie parą było nieuniknione.

Jedyne, co w pewnym stopniu odciągało uwagę znajomych z klasy od Jaya i Violet, to rozmowy o śmierci Hailey McDonald i zniknięciu Mackenzie Sherwin. A największą nowiną dnia, sensacją przesłaniającą niemal wszystko inne, było ujęcie mężczyzny winnego zamordowania wielu dziewczyn.

Nie znaczy to, że nikt nie zwracał uwagi na Violet i Jaya. Bez wątpienia otrzymali swoją porcję spojrzeń. Jednak dopiero w porze lunchu dziewczyna uświadomiła sobie boleśnie i nieprzyjemnie, jak wielkie wzbudzają zainteresowanie.

Grady ułatwiał jej sytuację, omijając szerokim łukiem potencjalne miejsca spotkania. Violet nie wiedziała, czy unika jej, czy - co bardziej prawdopodobne - Jaya. Tak czy inaczej, zamiast wyczekiwać pod klasą i wdzięczyć się do niej, był ostentacyjnie nieobecny. I całe szczęście.

Lissie Adams nie miała takich skrupułów i nie próbowała pozostać w tle niezauważona. Inaczej niż Grady, Lissie jasno demonstrowała swoją złość spowodowaną faktem, że Jay odsunął ją na boczny tor. I nietrudno było odgadnąć, kogo za to wini.

Violet usiadła przy stoliku z Claire i Jules; Chelsea oraz Jay jeszcze się nie pokazali. Claire zasypała Violet lawiną pytań o to, jak się zaczęło między nią i Jayem. Chciała szczegółów, wszelkich pikantnych szczegółów. Violet ze wszystkich sił starała się zmienić temat - co nie było szczególnie trudne, gdy miało się do czynienia z Claire, nieskończenie bardziej zainteresowaną gadaniem o sobie niż o innych. Niestety, Jules nie zamierzała odpuścić, więc zamiast pozwolić Claire odbiec od tematu, wciąż sprowadzała rozmowę na właściwe tory.

- I co, Violet, Jay umie się całować? - spytała Jules.

- Noo - westchnęła Claire w rozmarzeniu. - Założę się, że tak.

Mam rację?

Violet spojrzęła wściekła na Jules, która bohatercko próbowała równocześnie śmiać się i żuć kanapkę.

- Co straciłam? - spytała Chelsea, sadowiac się przy Jules i prawie odpychając na bok Claire. Ta ledwie to zauważyła.

Jules odpowiedziała w imieniu wszystkich.

- Violet właśnie miała nam wyznać, czy Jay umie się całować.

Wyszczrzyła do Violet zęby oblepione chlebem.

- Ja też chętnie bym usłyszała odpowiedź na to pytanie. - Głos dobiegający z za pleców Violet był niczym tępa brzytwa drapiąca ją po plecach.

Zamknęła oczy, próbując zdecydować, jak postąpić w tej sytuacji. W końcu przylepiła na twarzy swój najładniejszy fałszywy uśmiech i wstała, by stawić czoło Lissie Adams oraz jej „najlepszej przyjaciółce”, towarzyszącej dziewczynie krok w krok niczym piesek salonowy. Lissie wpatrywała się w Violet z nienawiścią.

- Cześć, Lissie - westchnęła Violet z braku czegoś inteligentniejszego. Czekala, by się przekonać, czego tamta od niej chce.

Nie musiała czekać długo. Maskę pewności siebie opadła i Lissie dosłownie pluła jadem.

- Wydaje ci się, że jesteś ode mnie lepsza? Wcale nie. Tylko dlatego, że robiąc nie wiadomo co, namówiłaś Jaya, by cię zabrał na bal absolwentów, nie stałaś się kimś lepszym, niż byłaś przed tygodniem.

Chelsea wstała z miejsca.

- Spadaj, Lissie. Kiedy mówisz coś do mojej kumpeli, to tak, jakbyś powiedziała to do mnie. Możesz albo zabrać stąd swój odessany z tuszczu tyłek, albo wychodzimy na solówkę.

Violet wyciągnęła rękę, aby powstrzymać przyjaciółkę, nim sprawy zajdą zbyt daleko.

- W porządku, Chels, niech sobie gada. - A potem spojrzała na Lissie, wciąż patrzącą, jakby ją chciała udusić. - Nie zamierzałam ci podprowadzić partnera, Lissie. Tylko... - Urwała, szukając właściwych słów. - Sprawy między mną i Jayem są dość skomplikowane. - Nie zabrzmiało to tak swobodnie, jak chciała. - Tak czy inaczej, przykro mi, że masz zepsuty bal absolwentów, ale chyba nie sądzisz, że to moja wina?

Lissie już otwierała usta, nagle jednak zamarła w miejscu i jej drwiący grymas został zastąpiony przez idealnie nijaki uśmiezek. Violet nie potrzebowała swoich „szczególnych talentów”, by zgadnąć, że Jay przyłączył się do nich i zatrzymał za jej plecami.

Jego ton brzmiał zwodniczo swobodnie.

- Cześć, Lissie.

Stał tak blisko Violet, że prawie dotykał pleców dziewczyny.

Lissie nagle poczuła się nieswojo - co nie zdarzało jej się często - przechyliła głowę i odpowiedziała głosem pełnym fałszywej zalotności:

- Hej, Jay. Właśnie rozmawialiśmy z Violet o balu.

Jay miał tyle przyzwoitości, że odparł ze szczerym żalem: -Aha, jeśli o to chodzi, to czuję się naprawdę nie w porządku.

Machnęła ręką, zbywając przeprosiny.

- Nie bądź głupi. Powiedziałam ci, że to nic wielkiego. - Nachyliła się, jakby zapominając, że Violet stoi tuż przed nią. Jej

głos stał się gardłowy i sugestywny. - Jak już mówiłam, może innym razem.

Posłała mu uwodzicielski uśmiech nad ramieniem Violet i odeszła, prowokacyjnie kołysząc biodrami.

Violet zeszywniała. A potem się skuliła. Nie mogła znieść bolesnej zazdrości, jaka ją przeniknęła.

Jay, jakby czytając jej w myślach, szepnął dziewczynie do ucha:

- Nie przejmuj się nią. Gdyby nie była taką suką, byłoby mi jej żal. Ale jest, więc w sumie poszło mi dość łatwo.

Violet uśmiechnęła się i odprężyła, rozkoszując się bijącym od Jaya ciepłem.

- Boże, jak ja nienawidzę takich jak ona - mruknęła Chelsea, kiedy Violet odkleiła się od Jaya i znowu usiadła.

Choć reszta lunchu upłynęła przyjemnie, Violet jeszcze wyraźniej uświadomiła sobie, że ciekawość nie jest jedynym uczuciem, jakie ona i Jay wzbudzają tego dnia. A Lissie nie była jedyną osobą wkurzoną faktem, że zostali parą. Zaczęła zauważać ukradkowe spojrzenia, niekiedy mało subtelne, otaczających ją dziewczyn. Wyrażały rozmaite emocje: od zawiści, poprzez wszelkie stadia pośrednie po mściwy gniew. Zapewne Violet powinna się czuć nieswojo z powodu skierowanych ku sobie negatywnych wibracji, lecz tak nie było. Jakże by mogła, skoro za każdym razem, gdy spoglądała na Jaya, a on uśmiechał się do niej z pożądaniem w oczach, przenikał ją leciutki dreszcz niczym elektryczny impuls?

Kiedy nie myślała o Jayu, zżerała ją frustracja, że nadal nie nadeszły wieści w sprawie zniknięcia Mackenzie Sherwin. I chociaż nie dręczyły jej fizyczne objawy jak po znalezieniu

Carys Kneer - dziewczyny z jeziora - nie dawała jej spokoju świadomość, że Mackenzie nadal gdzieś tam jest. I nikt nie wie, żywa czy martwa.

Tymczasem z każdym dniem jej skóra stawała się grubsza. Violet uodparniała się na plotkarskie szeptki oraz subtelne - a niekiedy wręcz przeciwnie - szpile, jakie wbijały jej koleżanki zawistne o nową pozycję dziewczyny Jaya.

Ze wszystkich sił starała się unikać Lissie oraz jej „tancerki wspierających”, jak Chelsea lubiła nazywać blond cyborgi towarzyszące czwartoklasistce przez cały dzień. W środę jednak rozeszły się plotki, że Lissie ma nowego partnera na bal - oraz że to ona rzuciła J a y a , nie zaś na odwrót.

Jay nie przejmował się pogłoskami i niedwuznacznie dawał do zrozumienia, czyje towarzystwo bardziej mu odpowiada.

Z Grady tymczasem sprawa wciąż nie była wyjaśniona.

Wydawało się, że unika Violet jak zarazy. Wysłał jej jeszcze parę eśemesów z przeprosinami. Odpowiedziała, że chociaż jej zdaniem postąpił jak palant, nie ma mu tego za złe. Ani słowem nie wspomniała natomiast, że Jay nadal jest na niego wściekły. Grady jednak zapewne sam to wiedział i dlatego trzymał się od niej najdalej, jak to możliwe.

Zycie Violet i Jaya toczyło się przyjemnym trybem: szkoła w ciągu dnia, potem wspólne odrabianie lekcji u niej w domu. I oczywiście „odrabianie lekcji” oznaczało całowanie się, aż oboje dygotali z poczucia niespełnienia i musieli się od siebie oderwać choćby po to, by zachować zdrowe zmysły. Wtedy zabierali się do p r a w d z i w y c h lekcji.

Nadal czekała, aż rodzice zwrócą uwagę, jak wiele czasu spędza z Jayem w swojej sypialni, i jakoś zareagują, lecz bezskutecznie.

Nie żeby się skarżyła: ich nieświadomość oznaczała,

że wraz z Jayem mogli się bez przeszkód poświęcić zajęciom pozaszkolnym.

W czwartek po południu, zaledwie po godzinie „nauki”, mama Violet zapukała do drzwi.

Dziewczyna poderwała się, nie chcąc, by mama weszła i przyłapała ich splecionych razem na łóżku. Jay zeskoczył na ziemię najciszej, jak potrafił, a Violet podbiegła do drzwi, uchyliła je i zobaczyła matkę wyciągającą do niej telefon.

- Mama Jaya chce z nim porozmawiać.

- Eee, dzięki - wymamrotała Violet, biorąc słuchawkę i starając się, by w jej głosie nie było słyhać wyrzutów sumienia. Miała nadzieję, że rozczochrane włosy nie zdradzają zbyt dobitnie, czym się zajmowała.

Pani Ambrose posłała córce zaciekawione spojrzenie. Violet była pewna, że mama wreszcie zamierza coś powiedzieć, lecz najwyraźniej zmieniła zdanie i znowu zostawiła ich samych.

Violet podała telefon Jayowi, który wydawał się zdumiewająco opanowany, biorąc pod uwagę, że omal nie stracili przywileju zamkniętych drzwi.

Raz już się to stało - kiedy mieli po osiem lat i mama Violet nakryła ich na zabawie w „pokaż mi swoje, to ja pokażę ci swoje”. Violet właśnie demonstrowała chłopcu płaską jak deska pierś. Mama weszła w chwili, kiedy dziewczynka stała z koszulą podciągniętą na twarz. Nie doszli do etapu, kiedy Jay miał zrobić to samo.

Violet przysłuchiwała się odpowiedziom Jaya, więc jeszcze zanim się rozłączył, wiedziała, że musi wracać do domu. Mama potrzebowała jego pomocy.

Nie bawił się w wyjaśnienia - wiedział, że to niepotrzebne - po prostu wstał i w drodze do wyjścia przyciągnął ją do siebie

i pocałował z gwałtowną czułością... co rozbudziło ledwie hamowaną namiętność. Koniec końców Violet musiała się złapać jego koszuli, żeby nie upaść. Co się z nią działo?

Obiecał, że wróci, jeśli będzie mógł, i wyszedł. Jego nieobecność była prawie namacalna. Violet zaczęła za nim tęsknić niemal od pierwszej chwili i skarciła się za bycie „jedną z tych dziewczyn”. Tych, które nie potrafią funkcjonować, jeśli w pobliżu nie ma ich chłopaka, a pod jego nieobecność nie umieją rozmawiać o niczym innym. To było okropne, naprawdę, i zdecydowanie nie chciała się zmienić w kogoś takiego.

Właściwie nie miała dużo lekcji - to znaczy, prawdziwych lekcji - więc uznała, że z braku czegoś lepszego do roboty mogłaby pobiegać. Przecież jeszcze nie skorzystała z odzyskanej po schwytaniu mordercy wolności. Wyjrzała przez okno, czy nie pada - na Północnym Zachodzie zawsze istniała taka możliwość - i podjąwszy decyzję, zmieniła dżinsy na dresowe spodnie i bluzę. Poprawiła koński ogon - który po zapasach z Jayem na łóżku przez ostatnią godzinę zmienił się we wronie gniazdo - i wsunęła stopy w adidasy.

Zajrzała do atelier matki, by powiedzieć, gdzie się wybiera, pełna energii na myśl o zaczerpnięciu świeżego powietrza i wysiłku fizycznym, szczególnie po zamknięciu w czterech ścianach przez ostatnie tygodnie.

A potem ruszyła przez podjazd w stronę znajomej ścieżki, ciesząc się - przynajmniej chwilowo - że mama Jaya wezwała go do domu.

DRAPIEŻCA

NIE MÓGŁ UWIERZYĆ WE WŁASNE SZCZĘŚCIE.

Bratanica szefa policji wyszła z domu. Zupełnie sama.

Obserwował ją od kilku dni, czekając na taką sposobność, lecz nigdy nie trafiła się okazja. Dzień po dniu ktoś zawsze towarzyszył dziewczynie. Chłopak ani na chwilę jej nie odstępował, a jeśli nawet, w domu byli jej rodzice.

Zaczynało mu to już działać na nerwy, gdy naraz pojawiła się szansa.

Ruszył za ofiarą, trzymając się blisko drzew, gdzie najlepiej wtapiał się w otoczenie, ukryty przed jej wzrokiem. Zachowywał spory dystans, aby nie przestraszyć ściganej. Przynajmniej na razie, póki znajdowała się blisko domu... Blisko pomocy. Musiał ją odizolować, odciągając z bezpiecznego otoczenia. Wtedy uderzy i ją wyeliminuje.

Jego wyćwiczone stopy poruszały się cicho, bezgłośnie, i mimo jej miarowego tempa bez trudu dotrzymywał dziewczynie kroku.

Ogarnęło go uniesienie, że znowu jest na tropie.

ROZDZIAŁ 21

VIOLET WSUNĘŁA SŁUCHAWKI DO USZU i naciskała guzik na iPodzie, aż trafiła na ulubiony utwór. Bez trudu złapała tempo, choć minęły tygodnie od ostatniej przebieżki.

Utrzymywała się ładna pogoda, ale duchota i ponura zasłona chmur nie wróżyły dobrze. Na razie jednak nie padało, a Violet nie zamierzała marnować całkiem przyzwoitego popołudnia.

Patrzyła na swoje stopy poruszające się miarowo po żwirowej ścieżce, aż wpadła w równy rytm. Przyłapała się na tym, że biegnąc, daje się pochłonąć muzyce, oddychając w takt kroków.

Nie zaskoczyło jej, że nie widzi tego dnia góry; niskie chmury przesłoniły ją całkowicie, zacierając sylwetkę na horyzoncie.

Zanurkowała pod sklepienie drzew, podążając szlakiem, który przemierzała wcześniej nieskończoną liczbę razy, i ciesząc się wilgocią wiszącą w powietrzu.

Naraz coś zmąciło jej spokój. Wcisnęła pauzę na iPodzie i zaczęła nasłuchiwać.

Zawsze kiedy docierało do niej echo, szczególnie nie do końca słuchowe, jak teraz - czuła się dziwnie. Nie znaczy to, że go nie słyszała: słyszała w pewnym sensie. Ale w znacznie większym stopniu niż dźwiękiem było wrażeniem. Przenikliwy pisk na granicy słyszalności... przypominający raczej rezonans, posępną wibrację niż prawdziwy odgłos.

Tak czy inaczej, był tam. Wyraźny i mocny. I bez dwóch zdań dolatywał z niedaleka.

W pierwszej chwili uznała, że gdzieś w okolicy leżą zwłoki. Intensywność wrażenia nie świadczyła o tym, co je wywołało, raczej kiedy. Violet wyjęła słuchawki z uszu i znacznie zwolniła, a potem się zatrzymała, rozważając, jak najlepiej postąpić. Z jednej strony kusilo ją, żeby spróbować zlokalizować echo, tu i teraz, lecz myśl, że mogłaby znaleźć kolejne ciało, kolejną dziewczynę, być może nawet Mackenzie - sama, bez niczyjego wsparcia - trochę ją zaniepokoiła. Wcześniejsze doświadczenia nauczyły ją, że mogłaby nie zareagować na to dobrze.

Z drugiej strony znała trasę na pamięć i bez trudu ponownie odnalazłaby to miejsce, gdyby teraz pobiegła po pomoc.

Rozejrzała się wokół, upewniając się, że je pozna, i postanowiła wracać.

Znowu ruszyła biegiem, tym razem wolniej, wyteżając zmysły, by nie stracić kontaktu z przenikliwym, niemal niesłyszalnym piskiem.

Okazało się to łatwiejsze, niż sądziła.

Dźwięk podążał za nią.

Rozejrzała się wokół. Poczowała ucisk w piersi i serce zaczęło jej bić dwa razy szybciej. Przyśpieszyła trochę, koncentrując się na echu bardziej niż dotąd.

Bez wątpienia się przemieszczało, przybliżało, choć powinna się od niego oddalać.

I naraz zrozumiała: to wcale nie było echo. To było piętno. Co znaczyło, że nie wyczuwała zwłok. Wyczuwała myśliwego.

Najpierw przyszło jej do głowy - prócz tego, by jak najszybciej dotrzeć do domu - że to jakieś zwierzę. Kojot albo wilk, może nawet niedźwiedź, który poczuł jej zapach, kiedy biegła przez las. Cokolwiek to jednak było, znajdowało się coraz bliżej. Z przerażeniem uświadomiła sobie, że nie zdoła żywa wydostać się z lasu. Dom znajdował się zbyt daleko.

Musiała skrócić drogę do niego, nawet jeśli oznaczałoby to zejście ze ścieżki. Stała się zwierzyną - wiedziała to z pewnością, choć nie umiałaby wyjaśnić dlaczego - i nie miała wielkiego wyboru. Odległość między nią a drapieżnikiem szybko się kurczyła.

Skręciła lekko w prawo, zbiegając z przetartej ścieżki w morze bujnych, zielonych paproci i krzewów, porastających dosłownie każdy centymetr ziemi. Parzące pokrzywy czepiały się jej spodni i musiała wysoko podnosić stopy, żeby wyminąć przeszkody na swojej drodze. Poczowała falę adrenaliny, gdy ocknął się w niej odruch „walczyć lub uciekać”. Wydawało jej się, że jej tchawica się rozszerzyła i łatwiej, nie zaś trudniej było stawiać kroki.

Grasujący po lesie drapieżnik ruszył śladem dziewczyny.

Skupiona na szukaniu drogi Violet słyszała własny zdyszany oddech, urywający się przy każdym ciężkim kroku. Obejrzała się szybko, lecz nie dostrzegła ścigającego. Wiedziała jednak, że nie powinna ufać wzrokowi. W jej umyśle nie było cienia wątpliwości, że coś na nią poluje.

Nagle się potknęła - nie bardzo poważnie, nie upadła, a tylko zatoczyła się silnie. W chwili, kiedy kolaniem musnęła ziemię, w ułamku sekundy, gdy wyciągała rękę, by zamortyzować ewentualny upadek, lekko zwróciła głowę na prawo... i wtedy to zobaczyła. Czy raczej je go .

Odzyskała równowagę szybciej, niż uznałaby to za możliwe, i nim zdążyła rozważyć swoją decyzję, instynktownie skręciła w lewo i pomknęła najszybciej, jak umiała. Problem w tym, że teraz oddalała się od domu. W tym momencie jednak nie miało to znaczenia. Liczyło się tylko, że oddalała się też od mężczyzny, który ją śledził. ..p o l o w a ł n a n i ą .

Próbowała nie poświęcać zbyt wiele uwagi detalom i skoncentrować się na tym, w jakim kierunku biec i jak się wymknąć. Mimo to prześladował ją obraz mężczyzny sunącego teraz równolegle do niej. Nosił strój maskujący, przywodzący na myśl raczej wojskowego niż myśliwych, których spotykała wcześniej. Nawet twarz miał pomalowaną szarozieloną farbą, z czarnymi smugami wokół oczu. Jednak najbardziej niepokojącą, najbardziej przerażającą rzeczą z nim związaną było piętno, jakie na sobie nosił.

Był zabójcą. I ją ścigał.

Usłyszała odgłos szybko przybliżających się kroków, przywodzący na myśl grzmoty - darował sobie ostrożność i ukradkowość. Biegła najszybciej, jak potrafiła, przez splątany podszyt pod wysokimi drzewami.

Usłyszała rzekę i wiedziała, że się do niej zbliża. Lecz to była zła wiadomość... Naprawdę bardzo zła. Oznaczała, że Violet zmierza w niewłaściwym kierunku, a w dodatku rzeka stanowiła najgorszą możliwą przeszkodę: dziewczyna znalazła się w pułapce, wydana na pastwę ścigającego.

Mimo przerażenia wyłowiła w oddali inny dźwięk. Próbowwała nasłuchiwać, lecz ucichł zbyt szybko, by zdążyła go zidentyfikować.

Przeciskała się między gałęziami smagającymi ją po twarzy i rękach. Była wdzięczna, że stopy wciąż znajdują oparcie, i przerażona, że w każdej chwili może potknąć się znowu i stracić przewagę, którą zyskała nad ścigającym ją mężczyzną. Violet ogarniało coraz większe zmęczenie, brakowało jej tchu, panika zaś sprawiała, że dziewczynie coraz trudniej było jasno myśleć. Dźwięk rozległ się znowu, tym razem donośniejszy. Wyraźnie się różnił od przenikliwego rezonansu dobiegającego od napastnika, lecz nadal nie potrafiła go rozpoznać.

Zanurkowała w lewo, by wyminąć wielki cedr na swojej drodze, i usłyszała ciężkie, niemal ogłuszające kroki goniącego ją mężczyzny. Skręciła w prawo, licząc, że dzielący ich pień zagrozi mu drogę.

Tym razem, kiedy znowu usłyszała dźwięk, wiedziała, co to jest. Wśród leśnej gęstwiny rozlegał się głos. Poczowała przypływ nadziei, choć nadal znajdowała się zbyt daleko, by usłyszeć słowa lub poznać, kto podąża za nimi.

Nie namyślając się, krzyknęła najgłośniej, jak potrafiła ze ściśniętą pierśią, dosłownie z trudem dobywając głos z gardła zdławionego paniką. „P o m o c y ! P o m o c y ! ! !” - wołała ile sił, ochryple i chaotycznie. Nie mogła zaczekać, by się przekonać, czy została usłyszana.

Czubkiem buta zaczepiła o coś wystającego z ziemi i zatoczyła się, lecz nie zwolniła. Nie wiedziała, jak długo jeszcze zdoła biec ani nawet czy takie tempo wystarczy, by zachować

przewagę nad ścigającym ją mężczyzną. Płuca płonęły jej z wysiłku, kolka kłuła boleśnie w boku.

Głos odezwał się znowu. Donośniejszy, znacznie donośniejszy. Usłyszała słowa... i poznała wołającego.

- V i - o - l e t! - krzyknął Jay. - V i!

Miała ochotę rozplakać się z ulgi, choć nie wiedziała, czy w ogóle powinna czuć ulgę. Być może jego obecność oznaczała tylko, że ścigający ją morderca opuści tego dnia lasy naznaczony dwoma piętnami. Mimo to przez moment poddała się czystej radości, że słyszy głos przyjaciela.

- T u t a j! - zawołała. - T u j e s t e m!

Drogę zagroziła jej grupa drzew. Przemknęła wśród nich - lub raczej tak jej się zdawało, bo naraz poczuła, jak mocno uderza ramieniem w jeden z niewzruszonych pni. Prawie całe powietrze uszło jej z płuc. Tym razem się potknęła, zwalniając stanowczo za bardzo. Nie patrząc, gdzie biegnie, próbowała odzyskać poprzednią prędkość. Wypadła z kępy drzew i krzewów i kiedy zdała sobie sprawę, że dotarła na skraj urwiska opadającego ku rzece, było już za późno.

Upadek był długi, lądowanie twarde, a wszystko wydarzyło się tak szybko, że Violet zobaczyła tylko rozmazane zielone, brązowe i szare smugi z jednej strony i nieostrą, rwącą lodowatą wodę z drugiej. Lądując, poczuła, jak kostka ustępuje pod jej ciężarem. Uderzyła o ziemię z zaskakująco głośnym hukiem i aż zaparło jej dech. Bolała ją głowa, choć nie potrafiła powiedzieć, czy nią w coś uderzyła. Całe ciało miała obolałe i niezdolne do wysiłku.

Otworzyła oczy tylko na chwilę, spodziewając się, że mężczyzna w stroju maskującym zaraz ją dopadnie i zabije. Spoj-

rzała na miejsce na szczycie zbocza, skąd zleciała, lecz nie zobaczyła nikogo. Piętno zniknęło.

Kiedy powieki zaciążyły jej za bardzo, by utrzymać oczy otwarte, pozwoliła im opaść. I zapadła w sen. O Jayu.

ROZDZIAŁ 22

VIOLET OCKNEŁA SIĘ ZDEZORIENTOWANA, oszołomiona. Z dziwnym uczuciem kogoś, kto budzi się w nie swoim łóżku i próbuje sobie przypomnieć, gdzie położył się spać.

Tyle że była prawie pewna, że nie kładła się spać w karetkce.

Z trudem przywołała szczegóły dotyczące tego, jak tam trafiła, lecz przypominały urywki snu lub halucynacji: niekompletne i poskładane na chybił trafił.

Pamiętała, jak biegła...

I że ktoś ją ścigał.

Nawoływanie.

Spróbowała usiąść i natychmiast przekonała się, że jest przywiązana do noszy na kółkach, a szyję ma unieruchomioną szerokim kołnierzem ortopedycznym.

Przypomniła sobie, że spadła - wspomnienie stało się wyraźniejsze, gdy poczuła ból przeszywający kostkę. Zapewniła towarzyszącego jej sanitariusza, że szyję ma zdrową, lecz uparł się, że nie powinna się ruszać, i nie dał się przekonać żadnym błaganiom.

-Jak mnie znaleźliście? — zapytała w końcu, porzucając nadzieję, że mężczyzna zgodzi się ją uwolnić.

- Jakiś dzieciak zadzwonił. Twierdził, że jest twoim chłopakiem. Jedzie za nami. - Machnął metalową podkładką w stronę tylnych drzwi karetki, jakby Violet mogła przez nie wyrzeć. Oczywiście nie mogła. - Najwyraźniej uważa, że syrena jest także dla niego. Violet zamknęła oczy. Jay był w lesie, wcale jej się to nie przyśniło. Przyszedł jej szukać. Nie pozwoliła sobie na rozważania, co by się stało, gdyby się nie zjawił.

Ogarnęło ją uczucie ulgi, a z nim świadomość, że jest już bezpieczna. Z zamkniętymi oczami skupiła się na dźwięku zawodzącej syreny, próbując zapomnieć o pulsującym bólu w kostce.

Dziewczynę zawstydziło zainteresowanie jej osobą, kiedy karetka wjechała na podjazd oddziału ratunkowego w szpitalu. Jay czekał w środku i nie odstąpił Violet ani na chwilę, w milczeniu - krzepiąco - trzymając za rękę przez całe badanie, na czas którego uwolniono ją z pasów. A kiedy w końcu zawieziono ją do sali z łózkami oddzielonymi od siebie zasłonami sięgającymi ziemi, przysunął krzesło i usiadł tuż obok.

Wziął rękę Violet w obie dłonie i czubkami jej palców dotknął swoich ust.

- Jak się czujesz? - spytał po chwili. Odniosła wrażenie, że odetchnął pierwszy raz, odkąd się zobaczyli.

Czuła wyrzuty sumienia, że tak się o nią martwił.

- W porządku, naprawdę. Chyba lekko skręciłam kostkę.

Drobiazg. Jak tylko przyjadą rodzice, możemy wracać do domu.

Nienawidziła szpitali. Już zdążyła wyczuć wokół siebie kilka piętn. Wątpiła, by ci, którzy je nosili, naprawdę byli mordercami. Z pewnością echa przywierały także do ludzi podających innym śmiertelne dawki leków... nawet jeśli chcieli jedynie złagodzić cierpienia umierających.

Matka Jaya była pielęgniarzką i również nosiła stare, słabe piętno. Violet nigdy nie zapytała o nie Jaya, lecz kiedy wspomniała o tym swojej mamie, ta wyjaśniła, że czasem patrzenie, jak ktoś cierpi przed śmiercią, okazuje się nie do zniesienia.

- Co robiłaś tak daleko od szlaku, Vi? - Jay nadal czule trzymał ją za rękę.

Nie odpowiedziała. Nie chciała na razie rozmawiać na ten temat, szczególnie z Jayem. Sama zadała więc pytanie.

- Podobno byłeś potrzebny swojej mamie. Więc jak to się stało, że wróciłeś?

Nie wyznała, jak bardzo jest mu za to wdzięczna. Ani dlaczego. Wystarczyło to jednak, by na chwilę odwrócić uwagę chłopaka.

- Chciała tylko, żebym jej otworzył samochód. Zatrzasnęła w środku kluczyki, a ja miałem przy sobie zapasowe. Ale kiedy wróciłem do ciebie, twoja mama powiedziała, że poszłaś pobiegać. Chciałem ci wyjść na spotkanie, jak będziesz wracać, i może zaciągnąć cię na parę minut za jakiś krzak. - Uśmiechnął się, po czym znowu spowaźniał. - I wtedy usłyszałem, jak wołasz o pomoc... cholera, Violet, okropnie mnie wystraszyłaś. A w ogóle jak to się stało, że spadłaś? Co robiłaś nad rzeką?

Usłyszała rodziców, zanim jeszcze ich zobaczyła, a zamieszanie wywołane ich nadejściem wybawiło ją od odpowiedzi.

Przy stanowisku pielęgniarek przed drzwiami sali wypytywali o stan Violet, a potem maglowali jedną z nich, kiedy ich prowadziła w stronę łóżka.

Violet zapewniła ich - jak wcześniej Jaya - że czuje się doskonale. Zwykły upadek, parę siniaków i zadrapań, nie ma powodu do obaw. Lecz najwyraźniej nikt jej nie uwierzył.

Po dokładnym zbadaniu oraz bolesnej i upokarzająco nieudanej próbie stanięcia o własnych siłach została odesłana na oddział radiologii na prześwietlenie prawej kostki. Zanim zjawili się stryj Stephen i ciocia Kat, Violet była gotowa uciekać. Wątpiła tylko, czy dotarłaby daleko.

A przecież stryj był właśnie tym człowiekiem, którego chciała teraz zobaczyć. Nie mogła się doczekać, by mu opowiedzieć, co ją naprawdę spotkało. Teraz jednak, kiedy stał przed nią, nie wiedziała, jak zacząć. Czekwała więc na właściwą chwilę.

Zaraz po wejściu zmierzwił jej włosy - stuprocentowy stryjek, ani śladu policjanta. Znacznie bardziej wolała stryja od szefa policji. To on odziedziczył rodzinne poczucie humoru, gdy tymczasem jej ojcu dostały się niesamowite zdolności matematyczne i wysokie czoło.

- Rany, Vi, nie musiałaś sobie aż łamać nogi, żeby nie iść na bal z Gradym Spencerem. Z pewnością wystarczyłoby zwykłe „nie”. Najwyraźniej nikt nie zwrócił uwagi na to, że Jay ani na chwilę nie wypuszcza ręki dziewczyny. Leniwie kreślił kciukiem kręgi na jej dłoni. Odpowiedział na tę drwiącą uwagę, nie odrywając wzroku od Violet.

-Ona nie idzie z Gradym — oznajmił z szelmowskim uśmiechem i Violet na mgnienie oka zapomniała oddychać.

Miała nadzieję, że nigdy nie spowszednieje jej fakt, iż wystarczy spojrzenie Jaya, by ją zmienić w kompletną idiotkę.

- Naprawdę? - zdziwiła się ciocia Kat i przeniosła uważne spojrzenie z Violet na Jaya, a potem na ich splecione dłonie. Najwyraźniej nie zamierzała pozwolić, by sprawa przeszła niezauważona. - A to dlaczego? - spytała znacząco.

Stephen Ambrose popatrzył na żonę zaciekawiony, nie nadążając za konwersacją. Brak refleksu wydawał się bardzo przykry u kogoś, kogo praca polegała na szukaniu wskazówek i rozwiązywaniu zagadek.

Jay odpowiedział Kat bez chwili wahania.

- Bo idzie ze mną.

Mrugnął do Violet, której policzki przybrały kolor jaskrawej czerwieni. Nie była pewna, czy jest na to gotowa.

Zobaczyła, jak mama i ciocia Kat wymieniają znaczące spojrzenia.

„One wiedzą - pomyślała. - A teraz stryj także się zorientował”.

Posłał Jayowi spojrzenie mówiące: „mam cię na oku”, lecz głośno mruknął jedynie: -Hm!

Jak wielkie zawstydzenie może przeżyć jedna osoba?

Na chwilę zapadło niezręczne milczenie, które wydawało się Violet tym trudniejsze do zniesienia, że Jay ani na chwilę nie odrywał od niej oczu. Pogładził ją palcem po policzku. Omal nie zapomniała się martwić tym, że wszyscy w pokoju się na nich gapią.

Stryj Stephen odchrząknął. Dziewczyna drgnęła nieznacznie.

- Więc co dokładnie się stało, Vi? - Nagle znowu znaleźli się w towarzystwie szefa policji.

Violet zacisnęła usta. Nie była pewna, od czego zacząć, wiedziała jednak, że musi to zrobić.

-No więc — powiedziała — poszłam pobiegać. — Urwała i zagryzła wargę, próbując uporządkować myśli. - A potem wydało mi się, że... no wiecie, coś usłyszałam... Jakieś echo.

- Naprawdę? - zdziwił się stryj. - Sądysz, że natrafiłaś na zwłoki? Zatrzymałaś się?

Pokreśliła głową.

- Nie, bo właściwie to nie było echo. - Przeklinała samą siebie za tchórzostwo, ale obawiała się, jak zebrani zareagują na wiadomość, że omal nie została schwytana przez mężczyznę, który najwyraźniej na nią polował. - Ja... to nie były zwłoki.

- Wyduś to wreszcie! - Tylko pewien człowiek.

Słowa nie wywarły wrażenia, jakiego się spodziewała. Zdezorientowany wyraz ich twarzy powiedział jej, że będzie musiała to wyjaśnić.

- Ktoś mnie śledził - oznajmiła i nareszcie zyskała ich niepodzielną uwagę. Nim zdążyli ją zarzucić pytaniami, dokończyła gwałtownie: - To był mężczyzna i miał na sobie piętno. Dlatego w ogóle go zauważyłam. Ukrywał się, nosił strój maskujący, więc trudno go było zauważyć i... biegł za mną.

Urwała, by zaczerpnąć oddechu, trochę oszołomiona.

- Kiedy się zorientował, że go widzę, zaczął mnie ścigać.

Wiedziała, że muszę skrócić ze szlaku, żeby dotrzeć do domu na skróty, ale pomyliłam się i ruszyłam w stronę rzeki.

Spojrzała na Jaya z wdzięcznością i w oczach znowu zapiekły ją łzy.

- To wtedy usłyszałam, jak mnie wołasz.

Podniosła wzrok. Wszyscy patrzyli na stryja, który przechadzał się po sali. Wydawał się pogrążony w myślach. Niezupełnie takiej reakcji się po nim spodziewała.

- O co chodzi? - spytał ojciec Violet. Stephen Ambrose się nie wahał.

- Wiedziałem, że coś nam umknęło - brzmiały jego pierwsze słowa.

- Co wam umknęło? - Mama Violet natarła na szwagra niczym opiekuńcza niedźwiedzica. - Skoro coś wiesz, powiedz nam... natychmiast! - zażądała.

Wydawało się, że stryj walczy z myślami, lecz poczucie lojalności wobec rodziny wzięło górę.

- Widzisz, Maggie, nie powinienem nawet o tym wspominać. Jesteśmy w samym środku dochodzenia w sprawie morderstwa i nasze ustalenia są tajne. Możliwe, że narażam śledztwo, choćby tylko rozmawiając o nim z wami. - Westchnął i wyrzuciwszy to z siebie, mówił dalej: - Idziemy za tropem mającym związek z dowodami znalezionymi w domu podejrzanego.

Violet pomyślała, że określenie „podejrzany” brzmi dziwnie, skoro stryj wie dokładnie, co mężczyzna zrobił tamtym dziewczynom - i do czego się przyznał. Jeśli chodziło o nią, był mordercą, nie podejrzanym.

Stryj kontynuował:

- Miałem nadzieję, że się mylimy, ale wygląda na to, że to mimo wszystko prawda. - Pokręcił głową, jakby trudno mu było w to uwierzyć. - Zaczynamy podejrzewać, że nie działał sam. - Uniósł rękę, bo ojciec Violet zamierzał mu przerwać. - Wiem, co chcesz powiedzieć, ale aż do teraz tylko spekulowaliśmy na ten temat. Nawet jeśli istniał jakiś pomocnik,

nie mamy o nim zielonego pojęcia. Moi detektywi analizują billingi telefoniczne i sprawdzają wszystkie tropy, ale większość z nich to ślepe uliczki. Wystąpiliśmy nawet o pomoc do dochodzeniowców FBI, by przeszukali jego komputer. Na razie nic nie mamy.

- Nie mieliście do teraz - rzucił wyzywająco Jay.

- Do teraz - zgodził się stryj dziewczyny, ignorując oskarżycielki ton w głosie chłopaka. - Przykro mi, Violet. Gdyby istniało podejrzenie, choćby cień podejrzenia, że ktoś może cię śledzić, nigdy nie zachowałbym tej informacji dla siebie. W tej chwili jedynie garstka ludzi pracuje nad tym wątkiem sprawy.

- Ale dlaczego Violet? W jaki sposób ten... człowiek... mógł się dowiedzieć, że była w to zaangażowana? - Teraz to Kathryn Ambrose krytykowała męża.

Wzruszył ramionami.

- W tym właśnie kłopot... nie mam pojęcia. Może to zbieg okoliczności, ale wątpię. A jeśli nie, jeśli ktoś dowiedział się o Violet, musimy go odszukać. I to szybko.

W jego głosie brzmiało zdecydowanie.

Zjawił się lekarz z zaleceniami dla Violet i wyjaśnił, że tak poważne skręcenie może się goić całe tygodnie, nawet miesiące, więc powinna jak najbardziej oszczędzać nogę. Jedna z pielęgniarek tak fachowo obandażowała kostkę, że dziewczyna zaczęła się obawiać, czy nie zatamuje jej to krążenia w palcach. Rodzice otrzymali receptę na środki przeciwbólowe oraz silny ibuprofen przeciw opuchliznie, Violet zaś wyposażono w kule - dzieciom zawsze wydaje się, że używanie ich to świetna zabawa, lecz tak naprawdę ocierają pod pachami i powodują, że mięśnie rąk bolą z wysiłku.

Stryj rozmawiał przez komórkę, zlecając całodobową ochronę policyjną przed domem Violet. Dziewczyna odniosła wrażenie, że otacza ją coraz wyższy mur. Nie mogła przemieszczać się o własnych siłach i miała przytłaczającą świadomość, że przez okrągłą dobę będzie pod nadzorem... „I to nie tylko policjantów” - pomyślała, zerkając na zmartwione twarze już teraz nadmiernie opiekuńczych rodziców. Wszystko to sprawiło, że czuła, jakby jej świat się kurczył. Ledwie skończył się jeden okres izolacji, a już znowu zanosilo się na samotne uwięzienie pod maksymalnym nadzorem.

Jay uśmiechnął się pocieszająco, widząc jej nagłą bladość i wyraz przerażenia na twarzy. Mogła niemal odczytać jego myśli, gdy wyobrażał ich sobie zamkniętych razem, póki polujący na nią szaleniec nie zostanie ujęty.

Pomyślała, że skoro już ma tkwić w pod kluczem, areszt domowy w towarzystwie Jaya może się okazać całkiem niezły.

ROZDZIAŁ 23

MIMO USPOKAJAJĄCYCH ZAPEWNIENÍ RODZICÓW, stryja i nawet Jaya, Violet wciąż nie wierzyła, że jest bezpieczna. Wszyscy przekonywali, że mężczyzna z lasu żadnym sposobem nie mógł się dowiedzieć o jej roli w szukaniu ofiar - ani w schwytaniu jego partnera. Natknął się na nią w taki sam sposób jak na wszystkie pozostałe dziewczyny - dziwnym trafem, przez przypadek. Po prostu znalazła się w złym miejscu w niewłaściwym czasie.

Nadzwyczajne środki bezpieczeństwa miały ją ochronić, na wypadek gdyby chciał po nią wrócić.

Przekonywała samą siebie, że mają rację - głównie dlatego, że ułatwiało jej to przetrwanie każdego kolejnego dnia. Towarzystwo Jaya także pomagało.

Weekend minął spokojnie, a po wszystkim, co się wydarzyło, Violet z ulgą powitała chwilę wytchnienia.

Następnym dniem po incydencie w lesie był piątek. Dziewczyna została w domu z kostką uniesioną na poduszce i obłożoną lodem. Jay z ociąganiem poszedł do szkoły - tylko dlatego,

że matka mu kazała - więc Violet była sama. To znaczy sama z mamą i uzbrojonym policjantem stróżującym na dworze. Zamierzała wykorzystać czas na nadrobienie zaległości w lekturze, ale zamiast tego wyciągnęła się na sofie zarzuconej poduszkami i całe godziny przeskakiwała po kanałach, oglądając kolejno dokumentalne seriale sądowe *Judge Judy* i *The People's Court*, talk-show Maury'ego i Jerry'ego Springera, po czym zakończyła popołudnie w towarzystwie Doktora Phila i Oprah. W sumie zmarnowała cały dzień, przynajmniej do pory zakończenia lekcji.

Jay zjawił się po południu z bukietem kwiatów i naręczem płyt DVD, choć Violet kompletnie nie dbała o jedno i drugie... tęskniła tylko do niego. Nie mogła opanować elektryzującego dreszczu podniecenia, widząc, jak chłopak wchodzi do pokoju, szczerząc się głupio, jakby nie widział jej całe tygodnie, a nie zaledwie kilkanaście godzin. Podniósł Violet z sofy i posadził sobie na kolanach, zajmując miejsce, które okupowała przed chwilą. Starannie ulokował jej nogę na leżącym obok równym stosie poduszek.

Uparcie nie zamierzał ukrywać swoich uczuć i gdyby Violet go nie знаła, przysięgłaby, że celowo stara się ją zawstydzić w jej własnym domu. Na szczęście chwilowo rodzice dali im trochę swobody i przez większość czasu Violet i Jay nie mieli towarzystwa.

- Tęskniłaś za mną? - spytał arogancko i delikatnie musnął jej usta wargami, nie zadając sobie trudu, by zaczekać na odpowiedź.

Uśmiechnęła się, odwzajemniając pocałunek. Uwielbiała, gdy jej żołądek fikał koziołki za każdym razem, kiedy Jay znalazł się obok. Objęła chłopaka za szyję, zapominając, że sie-

dzą na środku rodzinnego salonu, nie zaś ukryci w zaciszu sypialni.

Odsunął ją, nagle poważniejąc.

- Wiesz, nie mieliśmy wczoraj dla siebie zbyt wiele czasu. I nie mogłem ci powiedzieć...

Zahipnotyzował ją aksamitny tembr jego głosu. Puszczając mimo uszu znaczenie zdań, skupiona na sugestywnym, męskim brzmieniu.

- Mam wrażenie, jakbym czekał zbyt długo, by cię zdobyć i wczoraj... kiedy... - Urwał, bo najwyraźniej zabrakło mu słów, i spróbował ponownie. Gładził ją dłonią po policzku, wywołując reakcję płynącą z głębi ciała. - Nie potrafię sobie wyobrazić życia bez ciebie - wyznał, czule całując dziewczynę w czoło; jego ciepły oddech musnął jej brwi. Zamyślił się na chwilę i podjął znowu: - Kocham cię, Violet. Bardziej, niż potrafię sobie wyobrazić. I nie chcę cię stracić... Nie mogę cię stracić.

Teraz ona z kolei spojrzała z wyższością.

- Wiem - rzuciła gładko, wzruszając ramieniem. Szturchnęła ją żartobliwie, trzymając na tyle mocno, by nie spadła.

- Co znaczy: „wiem”? To ma być odpowiedź?

Ton świętego oburzenia w jego głosie zabrzmiał niemal komicznie. Jay przyciągnął Violet do siebie, tak że jego twarz znalazła się tuż nad jej twarzą.

- Powiedz to! - rozkazał.

Pokręciła głową, udając, że nie rozumie.

- Co? Co mam powiedzieć?

Potem jednak zachichotała, niszcząc cały efekt.

Jay zaczął się z nią drażnić: nachylał się, by ją pocałować, i cofał usta w ostatniej chwili, gdy już miały się zetknąć z wargami dziewczyny. Kuszaco pieścił jej kark, jedynie po to, by przerwać, kiedy reagowała. Chwyciła go rękami za szyję, próbując przyciągnąć bliżej, sfrustrowana irytującą zabawą ze zmysłami.

- Powiedz - powtórzył, chuchając ciepłym oddechem w jej szyję. Jęknęła, marząc tylko o tym, by przerwał jej męki.

- Ja też cię kocham - szepnęła schrypniętym głosem, tuląc się do Jaya. - Tak bardzo cię kocham...

Nakrył wargami jej usta w przeciągłym pocałunku, który pozostawił ich oboje bez tchu, pragnących więcej, niż mogli sobie dać. Violet osunęła się w objęcia chłopaka, biorąc się w garść i licząc, że przez parę najbliższych chwil nikt ich nie zakoczy.

Weekend upłynął podobnie. Wpadła Chelsea sprawdzić, jak się miewa Violet, co było bardzo miłe. Jej towarzystwo okazywało się niekiedy przyjemniejsze poza szkołą, kiedy nie miała widzów. Przyniosła parę kolorowych gazet, chipsy z suszonej wołowiny i dwie paczki gumy do żucia, wszystko zapakowane w brązową papierową torbę ze sklepu spożywczego, do którego wstąpiła po drodze. To stanowiło odpowiednik bukietu kwiatów.

Rodzice Violet często znajdowali się obok, choć nigdy naprawdę blisko, zostawiając dziewczynę i Jaya sam na sam przez większą część dnia. Kiedy robiło się późno, chłopak odprowadzał ją na górę, by mogła położyć się spać, i szedł do domu jedynie po to, by wrócić z samego rana. Rodzice Violet

pożyczyli mu jej samochód, żeby mógł przyjeżdżać i odjeżdżać, nie zabierając na cały dzień auta swojej mamy.

Jedyną wiadomością od stryja Stephena był brak wszelkich wiadomości. Policja nie zrobiła żadnych postępów w ustalaniu tożsamości tajemniczego mężczyzny śledzącego dziewczynę w lesie. Violet żałowała, że nie potrafi pomóc w identyfikacji, lecz napastnik miał pomalowaną twarz i potrafiła tylko powiedzieć, że był wysoki.

W poniedziałek nie mogła dłużej ukrywać się przed światem; nadeszła pora, by stawić czoło szkole. Prawie wszyscy koledzy słyszeli pogłoski o tym, co ją spotkało, a choć większość szczegółów się nie zgadzała, dziewczyna nie zadała sobie trudu, by je sprostować.

W tym tygodniu miała się odbyć impreza dla absolwentów, co oznaczało także, że był to Tydzień Szkoły - najważniejszy w całym jesiennym semestrze. Ryzykowna ucieczka Violet przed tajemniczym napastnikiem poszła w niepamięć w ferworze poprzedzających bal narad i zabaw integracyjnych, zbliżających się wyborów królowej i króla balu absolwentów oraz emocji związanych z meczem.

Violet nie czuła szczególnego podniecenia, wiedząc, że nie weźmie udziału w żadnych uroczystościach poza szkołą. Nie pozwolono jej iść na mecz, a nawet gdyby przekonała rodziców, by ją puścili na bal w sobotni wieczór, nie widziała w tym sensu. Przykuta do kul mogłaby jedynie siedzieć z boku i przyglądać się tańczącym.

Szkoda, bo suknię miała fantastyczną... i chętnie by zobaczyła Jaya w garniturze.

Próbowała przezwyciężyć rozczarowanie; okazało się to nieco łatwiejsze, gdy ogłoszono skład królewskiego dworu i Lissie

Adams została królową balu absolwentów, jako ta, która zebrała największą liczbę głosów. Kilka jej rezolutnych koleżaneczek wybrano na „dworki Lissie”. Wystarczyło to, by Violet zrobiło się niedobrze. Humor znacznie poprawiła jej świadomość, że nie będzie na meczu - w przerwie zaplanowano koronację - ani na balu, gdzie Lissie miała się znaleźć w centrum uwagi.

Jay na wszelkie sposoby pomagał Violet w szkole i nosił jej plecak, kiedy kuśtykała z samochodu na pierwszą lekcję. Gdyby mu pozwoliła, pewnie zaniósłby także ją samą. Tymczasem zdobył w dyżurce pozwolenie, by wychodzić wcześniej z zajęć i pomagać Violet w przemieszczaniu się z klasy do klasy.

Pod koniec pierwszego dnia ręce okropnie ją bolały i Jay uparł się, żeby zaczekała przed szkołą, aż on podjedzie samochodem. Królowa Lissie zaskoczyła dziewczynę, pojawiając się nagle, gdy tylko Jay się oddalił.

- Hej, Violet - przywitała się, mierząc jej obandażowaną kostkę i kule spojrzeniem pełnym mściwej wyższości. - Dużo spacerujesz?

Dwie tlenione blondyny - jej koleżanki - zachichotały z marnego żartu królowej, natrzęsając się z cudzego nieszczęścia.

Violet chętnie by starła złośliwy uśmiezek z twarzy Lissie. Nie potrafiła jednak wymyślić żadnej inteligentnej riposty, więc wymamrotała tylko:

- Nie powinnaś polerować korony?

Lissie uśmiechnęła się słodko, patrząc nad jej ramieniem i pomachała czubkami palców do Jaya, który właśnie zaparkował tuż obok. Jej twarz stanowiła obraz spokoju, jakby ledwie przed chwilą nie drwiła z Violet - lecz półgłosem wystrzeliła ostatni pocisk:

- Zazdrościsz?

Violet nie poczuła się ani trochę dotknięta, gdyż zarzut był bardzo daleki od prawdy.

Nie zadała sobie trudu, by odpowiedzieć, a Jay właśnie wyskoczył z samochodu, by jej pomóc przy wsiadaniu.

Zerknął przelotnie na Lissie, ledwie ją zauważając, i łagodnie umieścił Violet na fotelu. Po czym - była pewna, że zrobił to celowo - zafundował dziewczynie przeciągły, słodki pocałunek i zatrzęsął drzwiami.

Violet zaskoczyło, jak błyskawicznie zareagowała na jego dotyk, choć wiedziała, że chciał przede wszystkim przytrzeć nosa Lissie. Musiała jednak opanować uśmiezek tryumfu, kiedy zerknęła ukradkiem i zobaczyła zde gustowany wyraz twarzy przyszłej królowej. Jay ruszył, zostawiając Lissie gapiącą się w ślad za autem.

- Przepraszam - rzucił skruszony, manewrując przez zatłoczony parking. - Tak się zaniepokoiłem z powodu obcych mężczyzn snujących się za tobą po lesie, że zapomniałem, jaka niebezpieczna potrafi być królowa balu absolwentów.

Violet uśmiechnęła się do niego.

- Nic się nie stało. Swoją drogą ten pocałunek to był świetny pomysł. Wręcz genialny.

- Tak jakoś na niego wpadłem - zachichotał.

- Może pokazałbyś mi jeszcze raz... później - zażartowała. Nie spuszczaając wzroku z ulicy, sięgnął ręką i ścisnął jej udo.

- Podoba mi się twój sposób myślenia, droga przyjaciółko. -Więc tak to teraz wygląda? Znowu jesteśmy tylko przyjaciółmi? - spytała, unosząc wyzywająco brwi. - Będę o tym pamiętać, kiedy następnym razem weźmiemy się do „odrabiania lekcji”.

Spowaźniał nagle i odparł stanowczo:

- Nigdy już nie będziemy tylko przyjaciółmi, jak długo mam tu coś do powiedzenia. - I dodał z przekonaniem: - Za bardzo cię kocham, żeby się teraz wycofać, Vi.

Dziwnie się czuła, słysząc go mówiącego w ten sposób. Słowa zabrzmiały obco w jej uszach, lecz serce zareagowało, jakby czekało na nie całe życie, i zabiło gwałtownie.

Spędzili wieczór na oglądaniu jednego z wypożyczonych przez Jaya filmów, przytuleni do siebie na sofie, a tymczasem mama Violet odgrzewała w piekarniku mrożoną lazanię na kolację.

Jakżeby inaczej.

Tego wieczoru zjedli razem przy stole - Jay, Violet i jej rodzice. Rozmowa była ostrożna; starannie unikali tematu, który wisiał złowróźnie nad ich głowami: zupełnego braku przełomu w poszukiwaniach prześladowcy Violet. Dziewczynie nawet odpowiadało, że nie wspominali o tamtych wydarzeniach, jakby w jakiś sposób mogli wymazać z pamięci to, co jej się przydarzyło... przynajmniej do pewnego stopnia. Wiedziała, że jest niemądra, lecz starała się ignorować ponure przypomnienie, gdy kuśtykała z miejsca na miejsce.

Bała się złożyć niepowiązane lęki w konkretną, sprecyzowaną obawę, lecz ignorowanie ich nie sprawiło, że znikły, i nie potrafiła się uwolnić od rozważań, czy o n nadal ją śledzi. Pytanie to zaczęło nawiedzać jej myśli coraz częściej, gdy się okazało, że policjanci, a nawet zespół dochodzeniowy FBI, wciąż nie są w stanie odgadnąć, kogo widziała w lesie tamtego dnia.

Kiedy Jay wyszedł wieczorem, Violet padła na łóżko w stanie wyczerpania podszytego lękiem, przekonując samą siebie, że niepokój jest bezpodstawny, że zapewne po prostu znalazła

się w niewłaściwym miejscu o niewłaściwej porze. Tak samo jak pozostałe dziewczyny.

Czemu więc nie mogła Się uwolnić od dręczących myśli, majaczących na obrzeżach świadomości, które sugerowały, że mężczyzna nie przez przypadek był w lesie tego dnia? Czemu nie mogła się otrząsnąć z wrażenia, że to z jej powodu czaił się w mroku pod drzewami? Ze czekał na nią?

Wstała i raz jeszcze sprawdziła okno, upewniając się, że jest zamknięte, a potem zerknęła w dół na policjanta, rozpartego na fotelu w samochodzie, przygotowującego się do długiej zmiany. W dwóch podskokach wróciła do łóżka - wcześniej usiłowała stanąć na kontuzjowanej stopie i stwierdziła rozczarowana, że nie może tego zrobić, bez czucia bólu przenikającego całą nogę. Omal nie upadła przy tej próbie.

Położyła się, z wysiłkiem odsuwając od siebie niepokojące myśli, ale i tak wirowały jej w głowie, aż zasnęła - a wtedy nawiedziły ją senne marzenia. Ścigał ją prześladowca tak niebezpieczny i tajemniczy, że nawet podświadomość dziewczyny nie potrafiła odmalować jego twarzy. Jego mroczna postać tropiła Violet z niewyczerpaną energią, odnajdując ją w każdej kryjówce, podczas gdy bez powodzenia próbowała mu się wymknąć. Jego determinacja nie miała granic.

Obudziła się w nocy, czując, jak jej pierś ściska się w napadzie paniki. Raz jeszcze sprawdziła okno, upewniła się, że policjant nie śpi, po czym wytłumaczyła samej sobie, że to tylko sen. Ze pozbawiony twarzy napastnik nie pozostanie na zawsze tajemnicą i w końcu zostanie ujęty.

Wiedziała jednak, że do tego czasu będzie się bała na dłużej zamknąć oczy.

Następnych kilka dni było trudnych. W szkole czuła się jak lunatyczka, noce zaś spędzała na niespokojnej walce ze snem. Jej napięcie nie umknęło uwagi Jaya, który z coraz większą łatwością odgadywał, co ją trapi, zanim to wyznała.

- Wiesz, że go znajdą, prawda? - spytał pewnego popołudnia.

- Wiem - przytaknęła, lecz sama zdawała sobie sprawę, że powiedziała to zbyt optymistycznym tonem i zbyt szybko, by zabrzmiało szczerze.

- Na pewno, Vi? Mam wrażenie, że dręczy cię to bardziej, niż chcesz przyznać. Myślę, że się boisz - rzekł poważnie.

Zirytowało ją, że została przejrzana z taką łatwością. Sądziła, że całkiem nieźle zachowuje pozory, jedynie by się przekonać, że jej uczucia są doskonale czytelne. Zastanowiła się, czy rodzice z równą spostrzegawczością jak Jay odgadują jej lęki.

- Wiem - powtórzyła. Tym razem w jej głosie słychać było nutę rezygnacji. - Tylko nie potrafię przestać myśleć o tamtym. .. O n i m . Tak bardzo się bałam, Jay. Gdybyś nie przyszedł mnie szukać...

Urwała, nie umiejąc sobie nawet wyobrazić, co mogłoby ją spotkać... samotną naprzeciw napastnika ukrytego w cieniu drzew.

Jay mocno zacisnął szczęki, jakby ten obraz także dla niego był czymś nie do zniesienia, lecz w jego głosie brzmiała rozwaga.

- Wiem, że się boisz. Ale oni go złapią, a do tego czasu nie spuszczę cię z oka. Nie pozwolimy, żeby stała ci się krzywda. Nie powiedział tego głośno, lecz Violet wyczuła wiszące w powietrzu słowo „znowu”.

Mimo to poczuła się lepiej, słysząc jego zapewnienia: nie była sama.

- Wszystko w porządku. Chyba izolacja i wszystkie dodatkowe środki bezpieczeństwa zaczynają dawać mi w kość. Siedzę jak w kojcu i już wariuję z braku ruchu - próbowała wytłumaczyć swój smętny nastrój. - Szczególnie że w ten weekend jest impreza dla absolwentów. To okropne tkwić w domu, kiedy wszyscy będą się bawić.

Nie zareagował tak, jak się spodziewała. Oczekiwała kolejnych wyrazów współczucia, może nawet niedwuznacznego komentarza o tym, że zostaną razem sami. Nie spodziewała się, że się do niej uśmiechnie. A właśnie to zrobił. Tym swoim krzywym uśmieszkiem, zdradzającym, że wie coś, o czym Violet nie ma pojęcia.

- Co? - spytała surowo.

Wyszczrzył zęby. Niewątpliwie coś przed nią ukrywał.

- Powiedz! - upierała się, patrząc na niego z gniewem.

- Bo ja wiem... - drażnił się. - Nie jestem pewien, czy na to zasługujesz.

Szturchnęła go w rękę, zła, że zmusza ją do błagania.

- No prooszę, powiedz. Zaśmiał się z niej.

- No dobra. Ulegam przed przemocą. - Udał, że rozmasowuje rękę w miejscu, gdzie go uderzyła. - A gdybym powiedział, że... - zaczął przeciągle, aż nachyliła się bliżej, nie mogąc się doczekać ciągu dalszego, i krzywy uśmiech rozjaśnił mu twarz - ..mimo wszystko pójdziemy na bal?

Violet zaniemówiła. Zupełnie nie to spodziewała się usłyszeć.

- Aha, pewnie - odparła ironicznie. - Rodzice ledwie puszczają mnie do szkoły, na pewno się zgodzą na tańce!

- Masz rację, nie chcieli się zgodzić, ale przedyskutowaliśmy to i nawet stryj Stephen się za tobą wstawił. Mecz z całą pewnością nie wchodzi w grę, kręci się tam zbyt dużo ludzi i każdy może wejść. Ale bal jest w szkole, w sali gimnastycznej. Wstęp tylko dla uczniów i ich gości, a stryj powiedział, że już zaplanował dodatkowe środki bezpieczeństwa. Twoi rodzice stwierdzili, że jeśli obiecami na chwilę nie spuścić cię z oka... co zrobiłem - jego ton sugerował, że to ostatnie nie miało nic wspólnego z jej bezpieczeństwem i Violet poczuła, jak się rumieni - to cię puszczają.

Spojrzała na swoją kostkę, owiniętą podwójną warstwą bandaża elastycznego i całkowicie bezużyteczną.

- Ale nie mogę tańczyć. Podniecenie się ulotniło.

Ujął ją palcem pod brodę i unióś jej głowę, tak że spojrzała mu w oczy.

- Nie obchodzi mnie, czy będziemy tańczyć. Chcę po prostu zabrać swoją dziewczynę - nacisk na to słowo sprawił, że Violet dostała gęsiej skórki i uśmiechnęła się - na bal absolwentów.

Stali tak, patrząc sobie w oczy i rozmawiając bez słów przez kilka długich, elektryzujących chwil. Violet pierwsza przerwała milczenie.

- Lissie tam będzie - oznajmiła, ale w jej głosie nie było prawdziwej zazdrości.

Jay pokręcił głową, wciąż patrząc na dziewczynę w skupieniu.

- Nawet jej nie zauważę. Nie będę mógł oderwać oczu od ciebie. Violet cieszyła się, że siedzi, bo usłyszawszy te słowa, poczuła się słaba i drżąca. Uniosła kącik ust z satysfakcją.
- Jak długo mam tu coś do powiedzenia, nie będziesz - potwierdziła.

ROZDZIAŁ 24

VIOLET BARDZO SZYBKO PRZYWYKŁA do myśli, że pójdzie na bal. Prawdę mówiąc, nie mogła się doczekać soboty. Piątek przemknął w wirze aktywności. W szkole odbyła się wielka impreza integracyjna, która pochłonęła pół popołudnia. Przy wtórze wiwatów i okrzyków uczniów siedzących na widowni zaprezentowano drużynę futbolową. Violet bardziej niż dotąd żałowała teraz, że nie obejrzy meczu, lecz rozumiała aż za dobrze, czemu to niemożliwe. Mimo to bez trudu poddała się atmosferze.

Kiedy ogłoszono, kto został królem i królową balu absolwentów, przeżyła chwilę niepewności. Lissie wdzięcznie płynęła po parkiecie sali gimnastycznej, jakby się urodziła do tej roli. Violet zerknęła ukradkiem na Jaya, łamiąc sobie głowę, co nim kierowało, że wybrał ją zamiast oszałamiającej koleżanki. On jednak nie patrzył na Lissie. Całą uwagę skupił na Violet i pochwycił jej przelotne spojrzenie.

-Nie jest nawet w połowie tak ładna jak ty - zapewnił w odpowiedzi na niewypowiedziane pytanie.

Szturchnęła go lekko ramieniem.

- Zamknij się. - Ale mówiąc to, nie potrafiła powstrzymać uśmiechu.

- Prześpijcie się wreszcie ze sobą! Znajdźcie sobie jakiś spokojny kąt, na miłość boską! - jęknęła Chelsea, przekrzykując wiwaty. Kiedy zebranie się skończyło, Jay stał się żywą barierą między kuśtykającą o kulach Violet a gromadą uczniów masowo opuszczających budynek. Na parkingu głośno trąbiły klaksony, opuszczano szyby mimo chłodnej jesiennej pogody, a w powietrzu rozbrzmiewały piski i wojenne okrzyki. Zapowiadał się burzliwy mecz.

Jay odwiózł Violet do domu. Sądziła, że zostanie do wieczora, więc z zaskoczeniem zobaczyła na podjeździe samochód jego matki.

- Dokąd się wybierasz? - zapytała, starając się, by w jej głosie nie było słycać zbyt wielkiego rozżalenia.

Wzruszył wymijająco ramionami. Odniosła wrażenie, że celowo unika odpowiedzi.

-Mam parę rzeczy do załatwienia. Do zobaczenia jutro, okej?

Próbowała ukryć rozczarowanie, kiedy ją odprowadzał do środka, niosąc plecak na jednym ramieniu, a drugim obejmując Violet za szyję, na wypadek gdyby straciła równowagę.

Pocałował dziewczynę na pożegnanie, a potem znowu, i jeszcze raz. Szybko minęło pięć minut i jego mama zatrąbiła.

- Pa, Violet - szepnął z ustami przy jej policzku, głosem ochrypłym z pożądania. - Kocham cię.

Kiedy patrzyła, jak odjeżdża, wciąż jeszcze kręciło jej się w głowie od pocałunków.

Wieczór bez Jaya nie okazał się kompletną klapą... mimo rozdzierającej samotności... i przytłaczającego pragnienia, by być na meczu ze wszystkimi znajomymi... i obezwładniającej nudy. Zabrała się do lektury książki, którą dawno zamierzała przeczytać. Przerwała. Sięgnęła po inną i ją także wkrótce rzuciła w ką. Na koniec z trudem pokuśtykała po schodach, żeby posiedzieć z rodzicami. Kiedy poszli się położyć - z wybiciem zaledwie dziesiątej - znowu została sama.

Kosztowało ją to trochę wysiłku, ale zdołała przyrządzić w kuchence mikrofalowej miskę popcornu, a nawet przetransportować ją do salonu. Odłożyła kule i na jednej nodze, w podskokach ostrożnie przedostała się z jednego pomieszczenia do drugiego. Była wyczerpana, gdy dotarła z powrotem do sofy. Kiedy więc usłyszała stukanie - tak ciche, że z początku nie miała pewności, czy naprawdę je słyszy - spróbowała przekonać sama siebie, że to nic takiego.

Nie ucichło jednak, a prawdę mówiąc, stało się głośniejsze. Wkrótce zdała sobie sprawę, że nie może go po prostu zignorować. Dobiegało od drzwi frontowych.

Bała się trochę, choć powiedziała sobie, że nie ma powodów do obaw. Na zewnątrz, tuż przed drzwiami, stróżował policjant. Rodzice spali na piętrze, na wyciągnięcie ręki; wystarczyłoby, żeby krzyknęła, a przybiegliby w mgnieniu oka.

W końcu wstała, co było niemałym wyczynem, i postanowiła wyjrzeć przez judasza, nim zdecyduje, czy otworzyć drzwi. Nie poruszała się szybko z oczywistych powodów, a stukanie rozlegało się nadal, falami, nie przybierając na sile, lecz i nie słabnąc.

Mimo prób dodania sobie otuchy serce Violet biło szybko i nagle zaschło jej w ustach. Próbowwała się skoncentrować, sprawdzić, czy nie wyczuje zza drzwi czegoś niezwykłego.

Kiedy w końcu do nich dotarła, schyliła się i wyjrzała przez otwór.

Na progu stał Jay i uśmiechał się szeroko. Serce nagle podskoczyło jej w piersi z zupełnie innego powodu.

Odstawiła kule, pośpiesznie odryglowała drzwi i je otwarła.

- Co tak długo?

Violet, z nogą zgiętą w kolanie i kostką uniesioną w powietrzu, balansowała oparta o framugę.

- A jak myślisz, bałwanie? - odgryzła się błyskawicznie zniżonym głosem, by nie niepokoić mamy i taty. - Swoją drogą wystraszyłeś mnie na śmierć. Rodzice już się położyli i siedzę tu sama.

- Świetnie! - wykrzyknął, chwytając ją w pasie, przyciągając do siebie i obejmując.

Zachichotała, kiedy ją przytulił, i z rozkoszą poddała się jego dotykowi.

- Co tu robisz? Myślałam, że cię nie zobaczę do jutra.

- Chciałem ci coś pokazać!

Rozpromienił się. Violet udzielił się jego entuzjazm. Mimo woli uśmiechnęła się zaintrygowana.

- Co takiego? - dociekała stłumionym głosem.

Nie puścił jej, tylko się obrócił, w dalszym ciągu delikatnie trzymając dziewczynę w ramionach, tak aby mogła wyrzeć na podjazd. Najpierw zauważyła policjanta w wozie, czujnym okiem obserwującego ich oboje. Uświadomiła sobie, że jest

późno, po jedenastej, a z wyrazu twarzy stróża porządku odgadła, że liczył na spokojny, pozbawiony wydarzeń wieczór.

I wtedy dostrzegła samochód. Piękny i elegancki, polakie-rowany na lśniący czarny kolor, nawet w mroku połyskiwał niczym lustro. Violet poznała znaczek acury - luksusowej wersji hondy - na masce i choć zauważyła, że auto nie jest nowe, wyglądało na dobrze utrzymane.

- Do kogo należy? - spytała z podziwem. Prezentowało się sto razy lepiej niż jej nędzny grat. Jay znowu wyszczerzył zęby, zarumieniony z radości.

- Do mnie. Kupiłem go dzisiaj wieczorem. To po niego musiałem pojechać. Mama miała wolny wieczór, a zależało mi, żeby to załatwić, zanim... - Uśmiechnął się do niej. - Nie chciałem pożyczać od ciebie wozu, żeby cię zabrać na bal.

- Naprawdę? - westchnęła. - Jak...? Nawet nie wiedziałam, że... Nie mogła znaleźć właściwych słów, zazdrosna i przejęta równocześnie.

- Wiem - odparł, jakby go zasypała rzeczowymi pytaniami. - Odkładałem pieniądze od... całe wieki, serio. Jak ci się podoba?

Violet się uśmiechnęła. Pomyślała, że Jay jest zbyt idealny, aby być jej facetem.

- Piękny - powiedziała, zdając sobie sprawę, że chłopak nie zrozumie, o kogo chodzi. Zerknęła znowu na samochód. - Nie miałam pojęcia, że zamierzasz kupić wóz. Jest świetny - dodała z przekonaniem i objęła Jaya za szyję, kiedy ją podniósł jak małe dziecko.

- Zabrałbym cię na jazdę próbną, ale boję się, że nasz superglina poraziłby mnie swoim taserem. Będiesz więc musiała

zaczekać do jutra - powiedział i nie czekając na zaproszenie, wniósł Violet do domu i zatrzasnął drzwi.

Nie wypuszczając dziewczyny, ułożył się na sofie w miejscu, gdzie siedziała parę chwil wcześniej. W telewizji leciał jakiś film, lecz żadne z nich nie zwróciło na niego najmniejszej uwagi. Jay rozsiadł się wygodnie i przyciągnął do siebie Violet. Tak przytuleni spędzili resztę nocy; ich ciała wydawały się idealnie dopasowane, kiedy całowali się, szeptali i śmiali się cicho w ciemności.

W jakimś momencie dziewczyna poczuła, że odpływa w sen. Jej myśli gładko rozplynęły się w marzenia - niepowiązane, mgliste i ulotne. Nie walczyła z tym, rozkoszowała się uczuciem leniwego dryfowania, otoczona ciepłem ciała Jaya, który tulił ją opiekuńczo.

Od wielu dni, może nawet tygodni, nie czuła się tak bezpiecznie... I pierwszy raz od pościgu w lesie nie śniła o potworach.

ROZDZIAŁ 25

DZIEŃ BALU PRZYPOMINAŁ SEN.

Violet zbudziła się sama. Domyśliła się, że Jay musiał wyjść w nocy, zostawiając ją zwiniętą rozkosznie na sofie, jeszcze napawającą się jego ciepłem.

Kiedy się przeciągnęła i otrząsnęła z mglistych marzeń, przypomniała sobie o nowym samochodzie Jaya. Na myśl o chłopaku znowu przeszedł ją dreszcz. Bez trudu przywołała w wyobraźni jego obraz, dziecięcy entuzjazm na twarzy, kiedy jej pokazywał nową zabawkę. Uśmiechnęła się na to wspomnienie. Nie mogła się doczekać przejażdżki - z Jayem za kierownicą. Nie mogła się doczekać balu.

Sporą część dnia spędziła na odpowiadaniu na esemesy od znajomych... i walce ze sobą, by n i e zadzwonić do Jaya.

Pozwoliła, by oczekiwanie rosło, odurzyło ją niczym narkotykiem. Kiedy przyszła pora włożyć suknię, prawie kręciło jej się w głowie.

Mama wpadała co chwila z aparatem w ręce, by utrwalić przygotowania. Wydawało się, że właśnie tego było im trzeba jako rodzinie: czegoś, co oderwie myśli od tragicznych i przerażających wydarzeń ostatnich tygodni. Nawet ojciec, wciąż zgłaszający zastrzeżenia do wyjścia Violet, nie mógł powstrzymać słów uznania, kiedy matka go przyprowadziła i pokazała mu córkę w pełnej krasie.

Suknia była raczej prosta: z lejącej się czarnej dzianiny, odcięta tuż pod biustem i z wiązaniem na szyi tworzącym głęboki dekolt w szpic. Na plecach krzyżujące się paski przytrzymywały materiał udrapowany u dołu w miękką fałdę, odsłaniający spory fragment nagiej skóry począwszy od ramion aż do talii. Suknia podkreślała figurę Violet we wszystkich właściwych miejscach i spływała ku ziemi, prawie zakrywając sandały, za co dziewczyna była wdzięczna, bo dzięki temu kreacja zasłaniała także brzydki, nieunikniony stabilizator kostki.

Wyglądała nie tyle elegancko, ile wręcz oszałamiająco.

Czuła się jak księżniczka.

Nie jak jedna z bandy mdląco fałszywych towarzyszek Lis-sie, lecz prawdziwa księżniczka. Z bajki.

Z bardzo, b a r d z o seksownej bajki.

Mama pomogła jej upiąć włosy, pozostawiając w strategicznych miejscach parę swobodnych pasm, tworzących idealną oprawę dla delikatnej twarzy o porcelanowej cerze. Chyba pierwszy raz w życiu Violet cieszyła się, że nie ma włosów prostych jak druty. Jej oczy o szmaragdowych, cętkowanych tęczęwkach wyglądały uderzająco pięknie, podkreślone czarną jak węgiel kredką i przedłużającym rzęsy tuszem. Kolory na jej policzkach miały niewiele wspólnego z makijażem: zarumieniła się z przejęcia.

Ojciec wsunął głowę do pokoju właśnie w chwili, kiedy mama przyklekła, by zapiąć maleńką sprzączkę u pantofelka Violet - ostatni akcent.

Gwizdnął z podziwem.

-Lada chwila znowu zmienię zdanie. Wyglądasz tak pięknie, że nie jestem pewien, czy powinienem cię wypuścić z domu.

Uśmiechnął się, lecz oczy mu błyszczały i Violet wiedziała, że w myślach porównuje ją do małej dziewczynki, którą kiedyś była.

Ją także zapiekły powieki. Zamachała rękami.

- Przestań, tato! Zaraz ja też się rozpłaczę.

Greg Ambrose odetchnął głęboko, by opanować emocje, po czym oznajmił:

- Jay czeka na dole.

Wsparta z jednej strony na ojcu, z drugiej na poręczy Violet sfrunęła po schodach. Jay stał, patrząc, znieruchomiały jak posąg.

Jego czarny garnitur wyglądał jak szyty na miarę. Marynarka układała się idealnie na silnych ramionach i podkreślała wąską talię.

Wykrochmalona biała koszula kontrastowała z ciemną, cienko tkaną wełną. Na widok dziewczyny uśmiechnął się z uznaniem i Violet poczuła, jak oddech więźnie jej w gardle

- tak nienagannie się prezentował.

- Jesteś... taka piękna - szepnął z uczuciem, podchodząc i zajmując miejsce ojca u jej boku.

Uśmiechnęła się onieśmielona.

- Ty też.

Mama uparła się, by zrobić co najmniej setkę zdjęć obojgu

- razem i osobno - aż Violet miała wrażenie, że od nieustan-

nych oślepiających błysków flesza doznała trwałego uszkodzenia wzroku. W końcu ojciec zawołał mamę i zaciągnął ją do kuchni, dzięki czemu Violet i Jay mogli spędzić chwilę sami.

- Nie żartowałem - powtórzył chłopak. - Wyglądasz niesamowicie.

Pokręciła głową, nie wiedząc, co odpowiedzieć, trochę zawstydzona komplementem.

- Coś ci przyniosłem - powiedział, sięgając do kieszeni marynarki. - Chyba się nie obrazisz, że to nie bukietek.

Violet nie mogłaby mniej dbać o to, czy będzie miała kwiaty przypięte do sukni, lecz była zaintrygowana. Obserwowała, jak Jay celowo przeciąga moment pokazania niespodzianki.

- Zamiast niego dostaniesz to.

Wyjął pudełeczko z czarnego aksamitu, w jakim przechowuje się drogą biżuterię. Było długie i wąskie.

Wstrzymała oddech, kiedy podnosił pokrywkę.

W środku znajdował się delikatny srebrny łańcuszek z zawieszonym na nim lśniącym, srebrnym konturem serca.

Violet dotknęła go czubkiem palca.

- Jest piękny. - Dziewczyna westchnęła.

Jay wyjął naszyjnik z pudełka i wyciągnął w jej stronę.

- Mogę? - spytał.

Skinęła głową z oczami błyszczącymi z przejęcia, kiedy zapinał biżuterię na jej odsłoniętej szyi.

- Dziękuję - szepnęła, splatając dłoń z jego ręką i ściskając znacząco.

Z ociąganiem sięgnęła po kule i ruszyła do samochodu -nie było poręczy, której mogłaby się złapać. Czuła, jakby kule zniszczyły cały efekt, na którym tak jej zależało.

Samochód Jaya okazał się równie imponujący w środku jak na zewnątrz. Kiedy chłopak pomógł jej wsiąść, Violet przekonała się, że tapicerka jest z wytwornej, ciemnoszarej skóry, gładkiej i miękkiej. Pomijając parę drobnych szczegółów, wóz mógłby uchodzić za fabrycznie nowy. Silnik zamruczał i obudził się do życia, gdy tylko kluczyk obrócił się w stacyjce - w niczym nie przypominało to auta Violet. Do ryków przywykła, pomruku nie słyszała nigdy.

Cieszyła się, że stryj nie zafundował im eskorty policyjnej na bal. Niemal spodziewała się zobaczyć procesję radiowozów z błyskającymi kogutami i na sygnale, podążających za smukłą czarną acurą Jaya.

Mimo że siedział za kierownicą lśniącej nowej maszyny, chłopak nie mógł oderwać wzroku do Violet. Wciąż rzucał na nią pełne podziwu spojrzenia i z trudem koncentrował się na drodze. Na szczęście nie musieli jechać daleko.

Nawet szkolny parking wydawał się odmieniony: noc zapadła nad nim niczym nieprzenikniona czarna kurtyna, pozwalając odległym, migocącym gwiazdom zabłysnąć na mrocznym niebie. Violet słyszała muzykę dolatującą przez otwarte drzwi sali gimnastycznej, kiedy kolejne pary przybywały na bal.

Jay cierpliwie podprowadził ją do wejścia, pokazał dwóm nauczycielom sprawdzającym dokumenty swoją legitymację i pomógł dziewczynie odszukać dowód tożsamości. Kiedy Violet znalazła się w środku, była zaskoczona własną reakcją. Spodziewała się, że jej krytyczne spojrzenie wyłowi każdy szczegół i bezlitośnie wydrwi wystrój, począwszy od kiczowatych dekoracji po głupkowatego DJ-a starającego się skumać, jaka muzyka jest na topie. Nie wspominając o okropnej i niemiłej królowej Lissie.

Stało się jednak inaczej. Właściwie nawet jej się to podobało: cały ten tandetny splendor.

Pozwoliła Jayowi poprowadzić się w stronę fotografa, mężczyzny w tanim garniturze i z przetłuszczonymi włosami zaczesanymi tak, by ukryć łysinę. Zrobili sobie zdjęcie na tle tiulowej draperii w odcieniach różu i czerwieni oraz dwóch białych - zapewne styropianowych - kolumn, mających się prezentować antycznie, tragicznie i romantycznie. Zamiast tego wyglądały na tragicznie zużyte, jakby miały się lada chwila rozsypać po latach wiernej służby. Violet jednak zupełnie to nie przeszkadzało; zapierało jej dech za każdym razem, kiedy zerknęła w stronę swego niesamowicie przystojnego partnera.

Kiedy skończyli pozować, zauważyli Chelsea i Claire. Czy też, prawdę mówiąc, obie przejęte dziewczyny rzuciły się na Violet, piszcząc z podniecenia na jej widok. Jakby nie oglądały koleżanki codziennie.

- O... mój... Boże, Violet! Wyglądasz fantastycznie! - emocjonowała się Claire.

Violet starała się nie czuć obrażona sugestią, że to tak niezwykle. Potem jednak zjawiała się Jules ze swoim partnerem, czwartoklasistą z sąsiedniego liceum, i Violet ledwie poznała wysoką, długonogą i wystrzałową dziewczynę. Jules włożyła niemal nieprzyzwoitą czarną suknię z obcisłym stanikiem, pozostawiającym bardzo niewiele wyobraźni - i ani odrobiny miejsca na biustonosz. Aż do tej chwili Violet nie zdawała sobie sprawy, że Jules w ogóle ma biust, nie mówiąc o imponującym dekolcie.

- Łał! - sapnęła Claire, niezdolna wydobyć z siebie nic więcej. I nagle uraza Violet zniknęła, bo metamorfoza Jules

zdołała zamknąć usta nawet Claire, dziewczynie, która zawsze miała coś do powiedzenia.

Muzyka była ogłuszająca, niskie tony o wiele za mocno podbite, więc wszystko od podłogi po sufit wibrowało. Musiały prawie krzyżeć, żeby się w ogóle usłyszeć.

- Słuchaj, Jules! - burknęła Chelsea głosem ochrypłym z zawiści.

- Idź sobie, przy tobie wszystkie wyglądamy okropnie. -

Mrugnęła złośliwie do partnera koleżanki. - Założę się, że chętnie byś ją zjadł, co?

Chłopak z przerażeniem wytrzeszczył oczy, po czym spojrzał błagalnie na Jules.

- Po prostu ją zignoruj! - poradziła, przekrzykując głośniki. -

Rzadko wychodzi z domu.

Chelsea próbowała wyglądać na dotkniętą, ale niezupełnie jej się udało.

- Niech lepiej uważa dziś wieczorem, bo jestem gotowa mu cię odbić.

Chelsea uwielbiała udawać, że gra w obu drużynach, choć wszyscy wiedzieli, że lubi chłopaków o wiele za bardzo, by się interesować własną płcią.

- Błę! - wykrzyknęła Claire całkiem szczerze. Nienawidziła, kiedy rozmowa skręcała w rejony seksualnej dwuznaczności.

- Nie martw się, Klarusiu-dzidziusiu - uspokoiła ją z wyższością Chelsea. - Nie planuję podrywać Jules. - Objęła Claire w pasie i szepnęła jej do ucha: - Znacznie bardziej prawdopodobne, że zacznę się dowalać do ciebie.

- Fuj! - pisnęła Claire, odpychając przyjaciółkę. - Zostaw mnie!

- Daj jej spokój, Chels - wtrąciła się Jules. - Inaczej zaraz wygłosi kazanie o tym, że Adam i Ewa byli różnej płci. Przykro mi, Claire, ale nikt z nas nie ma ochoty tego słuchać.

Jay przyciągnął Violet do siebie, gdy dziewczyny żartobliwie się przekomarzały. Objął ją w pasie i kiedy nikt nie patrzył, delikatnie zaczął pieścić wargami płatek jej ucha. Violet miała ochotę obrócić się ku niemu, utonąć w jego ramionach i zapomnieć o całym tym balu.

- Hej! - przerwał im głos Chelsea i Violet drgnęła lekko, uświadamiając sobie, że wszyscy na nich patrzą. - Słyszałaś, co mówiłam?

Dziewczyna pochyliła się, odsuwając od Jaya, wciąż lekko oszołomiona po bliskim i intymnym kontakcie.

- Co? - spytała, próbując sobie przypomnieć, czego dotyczyła rozmowa.

- Powiedziałam: „Muszę siusiu. Chodźmy do łazienki”

-powtórzyła Chelsea, jakby Violet była imbecylem niepotrafiącym zrozumieć normalnego języka.

- Tylko tak dalej, Chels, a nikt nie zechce cię poderwać dzisiaj wieczorem - ostrzegła żartobliwie Violet.

Chelsea wyszczerzyła do niej zęby.

- Podoba mi się twój sposób myślenia, panno Ambrose. Może to ty zostaniesz szczęściarą, którą wybiorę. - Po czym zwróciła się do Jaya: - Spokojnie, od tej pory jest pod moją opieką.

Jules i Claire ruszyły w ślad za nimi. Violet roześmiała się i obejrzała.

- Zaraz wracam.

Jay, mierząc wzrokiem jej trzyosobową eskortę, posłał dziewczynie sceptyczne spojrzenie, którego nikt inny nawet by nie zauważył. W końcu skinął głową.

- Okej, pokażę kumplom wóz. - Znowu się rozpromienił. - Będę przed salą, to nie potrwa długo.

Violet starała się ze wszystkich sił dotrzymać kroku koleżankom, ale było to trudne o parze kul i jednym wysokim obcasie. W końcu krzyknęła zdesperowana:

- Jeśli nie zaczekacie, nie idę z wami! Wszystkie trzy zatrzymały się i obejrzały.

Chelsea niecierpliwie tupnęła stopą w srebrnym pantofelku.

- Pośpiesz się, Violet, albo przysięgam, że skreślę cię ze swojej listy.

NA OCZACH WSZYSTKICH

ŁATWO JĄ BYŁO ZAUWAŻYĆ - *bratanicę szefa policji*

Ambrosea. Jako jedyna przyszła na bal o kulach.

„jest śliczna. Wręcz piękna” - pomyślał tęsknie, przyglądając się jej. Otaczała ją aura kogoś niezdającego sobie sprawy, jak uwodzicielsko i pociągająco wygląda w oczach mężczyzn tego świata. Podobała mu się niewinność tej dziewczyny.

Odkąd się zjawiała, obserwował ją, trzymając się z dala, na wypadek gdyby jakimś sposobem rozpoznała w nim prześladowcę z lasu. Nadal nie rozumiał, jak zauważyła jego obecność. Był taki ostrożny, skradał się, i naraz odkryła to, i rzuciła się do ucieczki. Lecz mimo to prawie ją miał.

Przynajmniej do chwili, gdy zjawił się jej chłopak.

Wiedział, oczywiście, że nie widziała wtedy jego twarzy. Zdawał sobie sprawę, że w żaden sposób nie może go zidentyfikować.

Gdyby potrafiła, już by to zrobiła. Nie było jednak sensu ryzykować, kiedy znajdował się tak blisko.

Oczekiwanie było trudne... frustrujące. Musiał wypatrywać właściwego momentu, gdy pilnujący popełnią błąd, osłabiać czujność na tyle, by mógł wkroczyć ukradkiem.

Lecz oto tu był. Nareszcie.

Bal okazał się znacznie przyjemniejszy, niż mężczyzna się spodziewał. Czuł się niczym dzieciak w sklepie ze słodyczami, gdy mijaly go piękne dziewczyny w barwnych kreacjach z szyfonu i tafty. Wyglądały jak apetyczne ciasteczka. Nie mógł ich jednak mieć.

*Mógł dostać tylko jedną. Lecz musiał uzbroić się w cierpliwość. ..
Począć, aż dopadnie ją samą.*

Wydawało się, że żadna z dziewczyn nawet go nie dostrzeża - tutaj, na swoim balu. Ledwie muskały go spojrzeniami, nie zatrzymując na nim wzroku. Wtapiał się w tło: element niezastęgujący na uwagę.

To było doskonale przebranie. Przebrany za samego siebie.

Nie spuszczał z niej oczu - z Violet, swojej Violet, starając się nie pozwalać, by jego uwagę odciągnęły inne rozkwitające dziewczyny przebrane w ciała kobiet. Czuł ich młodzieńczy zapach, co go rozpraszało.

Obserwował, jak jego dziewczyna gawędzi z koleżankami, wesola i swobodna. Przyglądał się, jak chłopak tuli ją i całuje w kark. A potem zobaczył, że Violet rusza do wyjścia z sali. Niezupelnie sama, lecz także nie ze swoim czujnym partnerem.

Poczuł przyptyw energii i odepchnął się od ściany.

Ruszył za nimi, starannie pilnując, by utrzymywać spory dystans. Przygotowywał się w duchu do tego, co zaplanował.

ROZDZIAŁ 26

W TOALECIE DAMSKIEJ blisko drzwi sali gimnastycznej panował wielki ruch i ledwie się w niej znalazły, Chelsea zmieniła zdanie.

- Zbieramy się. Wiem, że to dalej, ale chodźmy do łazienki przy drugim końcu szafek. Nikogo tam nie będzie. - Spojrzała znacząco na parę starszych dziewczyn w diademach ozdobionych fałszywymi klejnotami i zniżyła głos. - Tam, gdzie się kręcą robotnice, królowa musi być niedaleko.

Violet mimo woli roześmiała się z głupiego porównania do pszczoł i wyobraziła sobie Lissie Adams przelatującą z bzydze-niem, z żądłem sterczącym z tyłka.

Zgodziły się, choć wiedziały, że dotarcie tam zajmie im mnóstwo czasu, bo będą musiały czekać na Violet. Tym razem jednak żadna się nie skarżyła.

Chelsea miała rację. Łazienka okazała się pusta. Nawet tu jednak podłoga wibrowała od niskich tonów dobiegających z sali gimnastycznej. Miło było porozmawiać tylko we cztery,

tym bardziej że najbardziej interesowały je pozostałe uczestniczki balu. Tutaj nie musiały się przejmować, czyje stopy widać w szparze pod drzwiami toalety ani kto może podsłuchiwać.

Chelsea oczywiście pierwsza zabrała głos.

- Okej, czy tylko ja zauważyłam, jak gigantycznie wygląda tyłek Mimi Nichols w tej sukience? Co prawda trochę trudno to spostrzec, bo jej monstrualne cycki prawie wylewają się górami. -

Zerknęła na Jules i uśmiechnęła się szeroko. - Bez urazy, oczywiście - dodała, ruchem brwi wskazując piersi koleżanki.

Claire zachichotała, a Jules skrzywiła się zniesmaczona jałdowitym komentarzem.

- Zwyczajnie zazdrościsz - odparowała, gapiąc się z kolei na piers Chelsea.

- Trafiony, Jules! Trafiony! - przyznała koleżanka.

Claire ogromnie chciała wziąć udział w złośliwych plotkach, ale zupełnie nie miała talentu do wyszukiwania wad u innych...

przynajmniej rozmyślnie. Mimo to spróbowała pokazać, na co ją stać.

- A Jennifer Cummings? - rzuciła oskarżycielsko, naśladowując kąśliwy ton Chelsea.

Koleżanki spojrzały na siebie, zastanawiając się, co im umknęło.

Chelsea jedyna miała dość odwagi, by zapytać:

- Co z nią, Claire?

- Nawet nie wygląda ładnie! - oświadczyła Claire z twarzą wykrzywioną w udawanym przerażeniu.

Wytrzeszczyły na nią oczy, nie wiedząc, jak zareagować. I znowu oczywiście to Chelsea przerwała milczenie. -Przysięgam,

Klarusiu-dzidziusiu, zadzwonię do twojej mamy, żeby ci załatwiła korepetycje w szkole specjalnej. Na-

prawdę musisz popracować nad wrednymi komentarzami. Co zrobisz, kiedy nas nie będzie, żeby bronić twojego tyłka?

Claire wywróciła oczami, zbyt nieświadoma, by się obrazić - co czyniło z niej doskonałą przyjaciółkę dla Chelsea, zachowującej się zbyt obraźliwie, by nie zdawać sobie z tego sprawy.

- Rany, Chels, przecież nie ma szkół, gdzie specjalnie tego uczą. Jules nie mogła nic poradzić. Mimo wysiłków, by zachować wyniosłą obojętność, także wybuchnęła śmiechem. Wkrótce chichotały wszystkie, nawet Claire, która nadal nie rozumiała, co je tak bawi.

- Jesteście podłe! - oburzyła się Violet. - Nie możecie po prostu się bawić i przestać się wszystkich czepiać?

Chelsea spojrzała z niesmakiem.

- Zrobił się z ciebie mięczak, wiesz? Wszystko przez Jaya! Violet wywróciła oczami, uśmiechając się mimo woli.

- Nieważne. W porównaniu z tobą każdy jest mięczakiem.

- Auć! - Chelsea udała, że ją to dotknęło. Choć znowu jej to nie wyszło.

Spędziły trochę czasu, wdzieczając się do lustra, upinając niesforne pasma włosów i poprawiając błyszczący na ustach. Violet spojrzała na swoją zabandażowaną stopę i poruszyła palcami; miała wrażenie, jakby ściśnięto je w imadle. Mama najwyraźniej za bardzo się postarała.

Usiadła na drewnianej ławce przykręconej do podłogi -pewnie na wypadek gdyby jakiś szkolny chuligan, na przykład ona, postanowił z nią uciec. Odstawiła kule, opierając je o ścianę, i oceniła szkody wyrządzone swojej pulsującej stopie. Przelotnie zastanowiła się, czy elastyczny bandaż naprawdę mógłby

zatomować krążenie. Półzartem pomyślała, że może nie odpadną jej palce.

- Gotowe? - rzuciła Chelsea, wychodząc z toalety, jakby fakt, że ona jest gotowa, oznaczał, że dotyczy to wszystkich.

- M-m... jeszcze nie - odparła Violet, schylając się, by poluzować opatrunek na kostce.

Podniosła wzrok na trzy swoje najlepsze przyjaciółki, wyglądające fantastycznie w olśniewających sukniach, i poczuła wyrzuty sumienia, że je tu zatrzymuje.

- Idźcie przodem. Tylko poprawię bandaż i zaraz przyjdę.

Chelsea sceptycznie przyjęła pomysł, by zostawić Violet samą - pierwszy ludzki odruch, jaki pokazała tego wieczoru.

- Bo ja wiem...

- Idźcie, to tylko parę minut - zapewniła Violet.

- Na pewno? - spytała Jules.

- Jasne. Z moment do was dołączę.

Patrzyła za nimi, gdy wychodziły, a potem skupiła uwagę na stopie. Starannie odwinęła bandaż i odetchnęła lżej, czując, jak krew zaczyna płynąć swobodnie. Westchnęła głośno, kiedy ostatni fragment elastycznego opatrunku odskoczył od spuchniętej kostki. Widziała jego odcisk na skórze. Oparła się o ścianę, dając sobie krótką chwilę, by nacieszyć się wygodą i dać odpocząć stopie.

Wiedziała, że musi się pośpieszyć, inaczej Jay zacznie się niecierpliwic i przyjdzie jej szukać.

Pochyliła się i poczuła satysfakcję, że nie tkwi zasznurowana w tak sztywnej, podobnej do gorsetu sukni jak Jules. Naprawdę nie sądziła, że umiałaby w czymś takim oddychać, nie mówiąc o schylaniu się. Zaczęła owijać stopę elastycznym materiałem, trochę luźniej niż zrobiła to mama. Ławka pod nią zawibrowa-

ła silniej, kiedy zabrzmiał nowy utwór z jeszcze bardziej nieznośnymi basami; wyprowadzały ją z równowagi, gdy starała się skoncentrować na swoim zadaniu.

Usłyszała trzask drzwi, lecz właśnie kończyła, ostatni fragment bandaża znajdował się niemal we właściwym miejscu. W roztargnieniu sięgnęła po srebrną zapinkę z ząbkami, zabezpieczającą opatrunek przed odwinieciem. Kiedy drzwi się otwały, muzyka i niski grzmot dobiegający z głośników przybrały na sile. Violet uznała, że któraś dziewczyna wpadła na ten sam pomysł co Chelsea, by ominąć zatłoczoną łazienkę w pobliżu sali gimnastycznej. Nie podniosła wzroku, by to sprawdzić.

Manipulowała przy pierwszej zapince i w końcu umieściła ją jak należy, a potem sięgnęła po drugą, którą położyła na ławce obok siebie. Palce nie natrafiły jednak na szukany przedmiot.

Nie poruszając głową, zerknęła na ławkę, lecz coś odwróciło jej uwagę: przed jej twarzą pojawiła się czyjaś dłoń, podająca zapinkę.

- Dziękuję. - Siegając, Violet lekko musnęła palcami ciepłą skórę. Zamarła. Przelotny kontakt sparzył jej dłoń. Spojrzała w górę - nadal nie podnosząc głowy - i wstrzymując oddech, odruchowo cofnęła rękę i przycisnęła ją do piersi.

-Już jej nie potrzebujesz? - spytał swobodnie mężczyzna, jakby było zupełnie naturalne, że znajduje się w damskiej łazience.

Violet wyprostowała się i ignorując pytanie, zmierzyła go wzrokiem od stóp do głów, rejestrując każdy szczegół jego stroju... j e g o m u n d u r u . Powinna poczuć się lepiej, pokrzepiona obecnością tego człowieka, lecz nie mogła... wiedząc to,

co wiedziała. Nie po tym, gdy dotknęła jego ręki i wyczuła to, co wyczuła.

Przenikliwe wibracje, które nie miały nic wspólnego z pulsującym rytmem dolatującym z sali tanecznej. Ten sam wysoki, przeszywający rezonans, jaki dobiegł ją wcześniej... w lesie, kiedy upadła. Tamtego dnia, gdy ktoś ją ścigał.

Poznała go nie tylko dzięki znajomemu piętnu, lecz także twarzy. Nie widziała jej tamtego dnia, kiedy tropił ją wśród drzew niczym ranne zwierzę. Widziała ją kiedy indziej - gdy wraz z wszystkimi mieszkańcami miasteczka szukała w lasach Mackenzie Sherwin. To na niego wpadła tuż przed odnalezieniem zabójcy, kiedy podążała za dźwiękiem dzwonów Brooke. To on był policjantem, z którym się zderzyła.

Uniósł brwi, odczytując to wszystko z jej rysów. Przyglądali się sobie uważnie. Ona próbowała odgadnąć, jakim sposobem ten człowiek, jeden z podwładnych stryja, może być zabójcą... On - chciał się zorientować, jak na to wpadła.

Odezwał się pierwszy, nie umiejąc opanować ciekawości.

- Jak to zrobiłaś? Skoro nikomu innemu się nie udało, jak ty to wykombinowałaś?

Violet zaschło w ustach, gdy jej umysł analizował dziesiątki możliwości, niektóre odrzucając natychmiast. Ucieczka była wykluczona. Krzyk nie miał sensu - tak daleko od sali, tym bardziej że DJ robił wszystko, co w jego mocy, by uszkodzić zebrany bębenki w uszach. Telefon komórkowy zostawiła w torebce, którą zabrał Jay, bo trudno było ją nosić. Łzy... błagania. .. prośby: oto wszystkie realne opcje.

I wtedy się zdecydowała. K ł a m s t w o .

Spojrzała niewinnie, modląc się, by mężczyzna wiedział mniej, niż jej się zdawało.

- O czym pan mówi? - Jej głos zadrżał. - Czy coś się stało, panie policjancie?

Milczał. Wydawało się, jakby rozważał jej pytania. Był wysoki, masywnie zbudowany, o szerokich jak głazy ramionach.

Łazienka zdawała się dla niego za ciasna. Mundur opinał się na szerokiej piersi. Zabójca uśmiechnął się, ukazując na mgnienie oka białe zęby, lecz nic nie odpowiedział.

Serce Violet zabiło gwałtownie. Postanowiła zmienić taktykę, na wypadek gdyby mężczyzna jej nie kojarzył.

- Czy to stryj pana tu przysłał? - dodała nerwowo. - Szef policji Ambrose?

Zbliżył się o krok, choć przedtem sądziła, że to niemożliwe.

- Skończ te gierki. - Odczekał moment i dodał: - Violet.

Wypowiedział jej imię w sposób sugerujący, że nie ma żadnych wątpliwości, że do s k o n a l e wie, z kim rozmawia. A potem jego głos się zmienił; nie pozostawiając miejsca na sprzeciw, mężczyzna rozkazał ostro:

- Przestań się ze mną bawić. Ja tu zadaję pytania. Zrozumiano?

Violet drgnęła. Poczowała mdłości i zaczęła dygotać, nie umiejąc ukryć strachu, jaki ją ogarnął. Skinęła lekliwie głową, z szeroko otwartymi oczami.

- Trochę się rozejrzałem - wyjaśnił w końcu, znowu dziwnie spokojnie. - Byłaś w to wmieszana od samego początku. Nie jestem pewien, czy wiesz, od jak dawna się znamy. - Cofnął się swobodnie i jego ciało się odprężyło, kiedy zagłębił się

w wyjaśnienia. - Nie od razu zdałem sobie z tego sprawę. Prawdę mówiąc, mógłbym się nigdy nie zorientować, gdybym cię osobiście nie zobaczył w akcji.

Objął ją spojrzeniem, kiedy siedziała jak skamieniała, zamarła z przerażenia, nasłuchując groźnych tonów w jego niskim głosie. Skoncentrowała się z trudem, oddzielając słowa i głos od wysokich, donośnych wibracji, które nieświadomie roztaczał. Nie potrafiła uwierzyć, że nie zauważyła ich wcześniej, że nie rozpoznała dźwięku, kiedy znalazła się tak blisko mężczyzny. Jak mogła to przeoczyć? Nawet gdyby była głucha, powinna zarejestrować to wrażenie!

Teraz dźwięku nie dało się zignorować. Zabójca oczywiście nie miał o tym pojęcia.

- Nigdy bym cię nie zaczął podejrzewać, gdybyś się tam nie zjawiała, w domu mojego partnera, kiedy stryj przywiózł cię na poszukiwanie... czego? Śladów? Zwłok? Oczywiście teraz już wiesz, że miałem partnera. Wątpię, byś uważała za przypadek to, że towarzyszyłem ci w lesie, kiedy przytrafił ci się... - urwał - ..wypadek.

Violet pomyślała, jakie to niedorzeczne, że policjant nie nazywa rzeczy po imieniu. Próbował ją zaatakować i zrobiłby to, gdyby nie nadbiegł Jay.

- To nie był wypadek - usłyszała własny głos. Brzmiało w nim głębokie przekonanie.

Zaśmiał się ironicznie.

- Ależ był. Nie tak planowałem to zakończyć. Po prostu miałaś szczęście, że zjawił się twój chłopak. - I dodał z nutą przechwałki: - Zabiłbym was oboje, ale nie planowałem używać broni... - Uśmiechnął się. - I naprawdę nie lubię mieć

świadków tego, co zamierzam robić, nawet takich, którzy by nie przeżyli, by o tym opowiedzieć. Postanowiłem więc zaczekać. Wolałem cię mieć wyłącznie dla siebie.

- Czemu? - spytała Violet, choć znała już odpowiedź.

Bo wiedziała zbyt wiele, a mężczyzna nie mógł ryzykować, że zostanie zdemaskowany.

Nie zadał sobie trudu, by odpowiedzieć.

- Kiedy zobaczyłem, jak wskazujesz miejsca, w których twój stryj nakazał potem przeprowadzić ekshumację, zrozumiałem, że w jakiś sposób potrafisz powiedzieć, gdzie zostały pochowane szczątki. Nawet te zwierzęce. - Uniósł brwi. - Słyszałaś o tym? Ze znaleźliśmy tam zakopane zwierzęta? - Wzruszył ramionami. - Pewnie wiedziałaś od początku - mówił bardziej do siebie niż do niej. - Zaciekawiałaś mnie, więc zacząłem przeglądać akta spraw. Znalazłem coś interesującego. Twoje nazwisko pojawiło się tylko raz. R a z - powtórzył wyraźnie zbity z tropu, jakby spodziewał się czegoś więcej. - To ty natrafiłaś na moją biedną dziewczynę z jeziora. Chociaż wiesz... - dodał, przymykając powieki niczym myśliwy biorący ofiarę na cel. Patrzył jej prosto w oczy. - .. To nie była pierwsza z moich dziewczyn, którą znalazłaś.

Wiadomość nie była całkowitym zaskoczeniem. Violet pamiętała o dziewczynie z lasu - tej odkrytej, gdy miała osiem lat. Stryj wspomniał, że drugi mężczyzna przyznał się do jej zamordowania. Z jakiegoś jednak powodu myślał, że dwóch szaleńców polowało razem tak długo, że psychopatyczni mordercy w ogóle się spotkali i współpracowali przez ponad osiem lat, wydała się dziewczynie przerażająca.

Zakreśliło się jej w głowie.

„To jakieś szaleństwo” - pomyślała.

Porywacz nie czekał na odpowiedź. Violet milczała. Wyglądało, jakby się przechwalał swoją perwersyjną sprawnością. Zresztą jaką różnicę robiło to, czy Violet wie? Wątpiła, by zamierzał ją wypuścić z rąk po raz drugi.

- Właśnie tak - ciągnął, rozkoszując się swoją grą. - Mała dziewczynka znalazła inną małą dziewczynkę. Oczywiście wtedy nie miałem pojęcia, że byłaś w to zaangażowana, bo nie pojawiłaś się w oficjalnych raportach. Lecz nazwisko w aktach brzmiało wystarczająco znajomo. Ambrose to Ambrose, dane twojego ojca mówiły równie wiele jak twoje. - Nachylił się, jakby chciał jej zdradzić sekret, choć znajdowali się w łazience sami. - Ciekawe, czemu uznał za konieczne usunąć twoje imię.

Nie odpowiedziała. Nie musiała, mężczyzna w rzeczywistości nie pytał. Lecz jego bliskość budziła niepokój, więc przyłgnęła do ściany, chcąc znaleźć się jak najdalej od niego.

Wyprostował się i jego głos znowu przybrał zwodniczo swobodne brzmienie.

- Właściwie ich nie zabiłem, wiesz? - Obserwował ją, czekając na reakcję.

Nie wiedziała, czy powinna chwycić przynętę, ale jego tajemnicze wyjaśnienia brzmiały coraz bardziej nieprzekonująco. A ciekawość to potężna emocja. Nie miał pojęcia, że dziewczyna potrafi rozpoznać kłamstwo.

- Nie wierzę panu - stwierdziła wprost.

- To prawda. A przynajmniej było to prawdą. To o n je zabijał - wyjaśnił, znowu wspominając partnera. - Ja je wyszukiwałem i przywoziłem. Uwielbiałem tę część, polowanie. Dla mnie to zadanie załatwiało wszystko. Reszta, w każdym razie do chwili pozbycia się ciała, stanowiła jego problem.

Mówił tak, jakby same dziewczyny nic nie znaczyły. I Violet wierzyła, że w jego oczach tak to wyglądało. Ich życie nie miało dla niego wartości, były po prostu zwierzyną, którą należało wytropić, bezużyteczną, gdy raz została schwytana.

Nagle zrozumiała, czemu to tamten zabójca nosił na sobie tyle ech, niczym patchworkowy płaszcz okrywający całe ciało. Nie zwróciła na to wcześniej uwagi, lecz gdyby miała czas pomyśleć, zastanowić się spokojnie, stałoby się jasne, że ten mężczyzna, stojący przed nią policjant, nosi tylko jedno przenikliwe echo. Do kogo należało?

Nie potrafiła zadać tego pytania.

Nie musiała - i tak na nie odpowiedział.

- Nigdy jej nie znajdą, no wiesz, tej dziewczyny, za którą się uganiali po lasach. - Uśmiechnął się znowu, bardzo lekko, i Violet ścierpła skóra, kiedy na niego popatrzyła. - Zawsze zachowywałem ostrożność, każdą ukrywałem w innym miejscu, w inny sposób. Nigdy się nie powtarzałem. Ale nie tym razem, nie ją. Była moją pierwszą ofiarą i nie przyjdzie im do głowy szukać w tym samym punkcie, gdzie złapali mojego partnera pilnującego tej McDonald. - Wyszczrzył się szerzej, ukazując na chwilę lśniące białe zęby.

- Ciebie też nigdy nie znajdą.

ROZDZIAŁ 27

JAY STAŁ NA SKRAJU PARKIETU, nadal trzymając torebkę Violet i rozglądając się po mrocznej sali w poszukiwaniu dziewczyny. Próbował ignorować narastającą panikę. Coś się stało.

Na widok Chelsea tańczącej z partnerem nie potrafił się dłużej powstrzymać.

Zbliżył się i przerwał im, nie przejmując się, że robi małą Scenę.

-Gdzie Violet? - rzucił ostro, ignorując szok na twarzy dziewczyny.

- Co... Jay? Co ty wyprawiasz? - spytała, szeroko otwierając oczy, zaskoczona jego nieoczekiwanym wybuchem.

Chłopak był jednak zbyt zdeterminowany.

- Chelsea... Gdzie ona jest? Przystanęła poruszona niepokojem w jego głosie.

- Spokojnie! Jest w łazience, poprawia opatrunek. Zaraz wróci.

Jay spojrzał w stronę łazienek i poczuł, jak się odprężył na widok chmary dziewczyn wchodzących i wychodzących w niewielkich grupkach. Chelsea zauważyła jego reakcję.

- Nie w tej. Poszłyśmy do łazienki za szafkami, chciałyśmy być same.

Jay poczuł, jak krew ścina mu się w żyłach; lodowaty strach zacisnął szpony wokół jego serca.

- Zostawiłyście ją tam? Sama?

Chelsea wzruszyła ramionami i spiorunowała wzrokiem parę obok, która zaczęła się gapić. Odwrócili oczy, zawstydzeni jej jadowitym spojrzeniem.

- No to co? - zwróciła się znowu do Jaya. - Zaraz wróci. Weź sobie ponczu albo czegoś mocniejszego, jeśli cię to uspokoi.

Jay rozejrzał się po sali gimnastycznej i zauważył przy wejściu jednego z policjantów. Jego irytacja na Chelsea zmieniła się w zdecydowanie. Warknął rozkazująco:

- Idź powiedz temu gliniarzowi, żeby wezwał pomoc. Powiedz mu, gdzie jest Violet, i każ się skontaktować z jej stryjem!

Chelsea nie rozumiała, o co chodzi, lecz polecenia Jaya sprawiły, że wpadła w panikę, choć nie wiedziała dlaczego. Nie pytała więcej. Nie zwracając uwagi na partnera, wciąż stojącego na środku parkietu i zaskoczonych rozmową, której był świadkiem, szybko ruszyła w stronę oficera - po pomoc dla przyjaciółki.

Jay już biegł w przeciwnym kierunku.

Stojący przed Violet rosły mężczyzna wyciągnął rękę i ujął niesforny kosmyk jej włosów. W zamyśleniu przesuwając go w palcach, a potem spojrzał na nią, jakby naprawdę było mu przykro.

- Bardzo chętnie siedziałbym tutaj i gawędził z tobą, bo wierz mi, to wielka przyjemność. Ale musimy iść - mówił poważnie, ze smutkiem. - Nadszedł czas.

Dziewczyna pokręciła głową.

- Będę krzyczeć - upierała się, niepewna, co właściwie zamierza osiągnąć pustą groźbą.

Wydawał się szczerze rozczarowany.

- Skręciłbym ci kark, zanim ktoś zdążyłby zareagować. Poza tym, Violet... - na dźwięk swojego imienia znowu się odsunęła - nikt cię nie usłyszy. A nawet gdyby, mam broń. - Zerknął na pistolet. - Muszę się ciebie pozbyć, inaczej stracę wszystko. Zbyt późno, by się wycofać, prawda?

Violet pomyślała o kolegach z klasy... przyjaciółach... J a y u. Miałaby zwrócić ich uwagę na swoje. . . n i e s z c z ę ś l i w e p o ł o ż e n i e i pozwolić, by któremuś z nich stała się krzywda? Chciała krzyczeć, wołać o pomoc, ale nie mogła. Nie zamierzała tego robić.

Podniosła się i sięgnęła po kule. Już była martwa. Nie miała wyboru.

Ruszył pierwszy i przytrzymał dziewczynie drzwi, kiedy kuśtykała niezgrabnie. Zachowywał się odrażająco uprzejmie... i spokojnie. Nie wydawał się już myśliwym, lecz bezimiennym katem prowadzącym na szubienicę skazańca. Nie było pościgu, dreszczu ekscytacji - przynajmniej nie tym razem. Z jej winy okazało się to zbyt łatwe.

ROZDZIAŁ 28

RAMIONA BOLAŁY JĄ OD WYSIŁKU, kiedy próbowała za nim nadażyć, lecz nie skarżyła się i nawet nie zwolniła. Silną, pokrytą odciskami dłonią trzymał ją mocno za kark: ostrzeżenie, jaka jest krucha, jak łatwo zakończyłby jej życie, gdyby spróbowała się wyrwać. Nie potrafiła sobie nawet wyobrazić, w jaki sposób miałaby uciec, biorąc pod uwagę, że ledwie szła - nie mówiąc o przechytrzeniu napastnika. Zachowała jednak tę opinię dla siebie.

Byli sami na długim, pustym korytarzu prowadzącym do wyjścia na parking nauczycielski. W dalszym ciągu słyszała muzykę, wyraźnie odleglejszą teraz i szybko cichnącą - tło dla pełnych rozpaczmyśli.

Martwiła się - nie tym, czy umrze, bo to zdawało się pewne. Choć nigdy nie bała się szczególnie samej śmierci, obawiała się, jak zginie. Modliła się, by mężczyzna zrobił to szybko, nie sprawiając jej zbyt wiele bólu.

Drugą myślą nawiedzającą ją w ostatnich chwilach, przynębiającą bardziej niż perspektywa śmierci, była świadomość,

że ten potwór, ten szaleniec, do końca życia - a może dłużej - będzie nosić jej piętno.

Poczuła niemal fizyczne mdłości, gdy sobie uświadomiła, że będzie z nim dzielić część swojej esencji życiowej.

W pierwszej chwili sądziła, że to sobie wyobraziła: głos dobiegający z przeciwnego końca korytarza, zza ich pleców. Był jednak zbyt realny, zbyt piękny, by stanowić wytwór imagi-nacji.

„To nie może być on! - pomyślała. - Każdy, tylko nie on!”.

- Violet?! - W znajomym tonie brzmiała dezorientacja.

Dłoń na jej karku zacisnęła się mocniej. Dziewczyna usłuchała rozkazu i się zatrzymała. Już sam dotyk stanowił groźbę.

Odwrócili się równocześnie, nieznośnie silne palce ani na moment nie oderwały się od delikatnej, posiniaczonej skóry na szyi dziewczyny.

Oglądanie Jaya twarzą w twarz było dla niej w tej chwili zbyt trudne. Poczuła, jak jej kruche serce rozsypuje się na milion martwych odłamków.

Znowu powtórzył imię przyjaciółki:

-Vi? - Spojrzał ciekawie na eskortującego ją mężczyznę i wyraźnie się odprężył. - Co się dzieje? Bardzo się martwiłem...

Bałem się, że coś ci się stało. - Czekał, by któreś odpowiedziało, po czym zadał oczywiste pytanie: - Dokąd idziecie?

Zapadła cisza - milczenie wypełniające pustkę, rozciągające się w nieskończoność, póki nie stało się nieznośne.

Violet pragnęła zbudować most nad tą cichą otchłanią, lecz nie umiała znaleźć słów. Tkwiły przytłoczone bolesną kulą w gardle. Walczyła ze sobą, by się nie rozpląkać.

Nagle obecność policjanta przestała wystarczać, by Jay czuł się spokojny. Zesztywniał i groźnie zrobił krok naprzód, z ustami zaciśniętymi w stanowczą linię.

- Co tu się dzieje? - spytał ostro.

Violet poczuła, jak żelazny uścisk staje się silniejszy. Wiedziała, co powinna zrobić. Jej umysł pracował szybko, gdy starała się wymyślić coś - cokolwiek - co skłoni Jaya do odejścia.

- My... my tylko... - Przeraziło ją drzenie własnego głosu; postanowiła wziąć się w garść. Nie chodziło o to, by uratować siebie... Miała ocalić Jaya. Zaczęła znowu: - Poprosiłam pana policjanta - spojrzała błagalnie na twardego jak skała mężczyznę u swojego boku - żeby mnie zaprowadził do samochodu, bo chcę zadzwonić do stryja. Tato powiedział, że stryj Ambrose mnie zabije, jeśli się nie zamelduję chociaż raz.

Jay nie ustąpił. Wiedział, że dziewczyna kłamie. Violet miała ochotę krzyknąć, by ją zostawił.

- Proszę - rzucił wyzywająco, wyciągając do Violet torebkę i patrząc na dłoń policjanta zaciśniętą na jej szyi. - Możesz użyć swojej komórki.

Pokręciła głową - nie mały wyczyn, biorąc pod uwagę brutalny uścisk na karku.

- Nie, muszę użyć krótkofalówki. - W głosie Violet słychać było błagalny ton. Prosiła wzrokiem, żeby jej uwierzył. Traciła kontrolę nad sytuacją, lecz nie chciała, by Jayowi stała się krzywda. - Proszę, Jay, wracaj na bal. Zaraz tam przyjdę.

Dziewczynie głos się załamał, z trudem nad sobą panowała. To nie była pora na sceny.

Jay zrobił kolejny skalkulowany krok w jej kierunku i brutalne palce mocniej wpiły się w kark Violet. Skrzywiła się. Nie

chciała, lecz ból był tak przeszywający, że zareagowała odruchowo. W żaden sposób nie mogła się opanować.

To wystarczyło. Jedno ledwie zauważalne drgnienie ze strony przyjaciółki i Jay rzucił się naprzód.

- Zabierz od niej ręce! - krzyknął głosem pełnym wściekłości.

Violet nie mogła się poruszyć. Nie mogła oddychać. Nie chciała tego, chciała jedynie zniknąć wśród nocy z mężczyzną, który - wiedziała to - miał ją zabić. Chciała odejść bez słowa na zawsze. W ten sposób nikomu oprócz niej nie stałaby się krzywda.

Poczuła, jak jej głowa poleciała do przodu, pchnięta olbrzymią dłoń. Gdyby nie kule, przewróciłaby się.

Jay właśnie brał szeroki zamach, celując w napastnika. Pięść mocno trafiła policjanta w szczękę, jego głowa odskoczyła nagle w bok. Violet poczuła, jak budzi się w niej nadzieja.

I wtedy wszystko rozsypało się w rozpalony do białości popiół.

Policjant stał nadal, co zdawało się niemal obraźliwe - jak gdyby w ogóle nie otrzymał ciosu. Uśmiechnął się drwiąco z twarzą wykrzywioną w odrażającym grymasie pogardy dla chłopaka.

- Ty głupi śmieciu! Naprawdę chcesz zginąć? Zbliżył się o krok.

Violet wiedziała, co napastnik zamierza. Wiedziała, że teraz Jay, podobnie jak ona, nie wydobędzie się stąd żywy. Zareagowała bez zastanowienia.

Patrzyła, jak kula zatacza srebrny łuk, a potem z mdlącym odgłosem uderza policjanta w głowę. Metalowy motylek przytrzymujący długi, podobny do szpilki sworzeń trafił go w skroń,

pozostawiając głęboki ślad. Mężczyzna nie spodziewał się ataku, a siła ciosu okazała się większa, niż Violet oczekiwała. Zatoczył się w bok.

Patrzyła, jak pada na ziemię. Wydawało się, że wszystko rozgrywa się zarazem bardzo szybko i bardzo wolno. Na jego twarzy malował się wyraz całkowitego zaskoczenia, próbował zrozumieć, co się stało. Kostka pulsowała - dziewczyna oparła się na niej, by wzmocnić uderzenie - lecz jakimś sposobem Violet udało się zignorować ból.

Nie potrafiła myśleć wystarczająco szybko, lecz Jay chwycił ją za rękę i powłókł korytarzem z powrotem w kierunku sali gimnastycznej. Droga była jednak daleka, a za każdym razem, kiedy dziewczyna stawiała stopę na ziemi, świeży ból promieniował aż do biodra, niemal uniemożliwiając poruszanie. Jay podtrzymywał ją ze wszystkich sił, przyciągał do siebie, obejmując ramieniem w talii, lecz Violet nie nadążała... spowalniała go.

Nie oglądali się.

Nie dotarli daleko, kiedy ból stał się nie do zniesienia. Przytuliła się do chłopaka.

- Jay, sprowadź pomoc - szepnęła ze smutkiem. - Zrobisz to znacznie szybciej beze mnie.

- Mowy nie ma.

Przyciągnął ją znowu i objął, zamierzając wziąć dziewczynę na ręce.

- Nie, Jay - upierała się z płaczem, wrywając się. - Ze mną nigdy ci się nie uda. Proszę... idź!

Odpowiedź była bez znaczenia... nie mieli już wyboru. Violet poczuła, jak potężny cios trafia Jaya w plecy i nagle upadła... niemal frunąc w powietrzu. Wylądowała z głuchym

dźwiękiem na kafelkach pustego szkolnego korytarza. Huk odbijający się echem od ścian mówił, że zostali pokonani.

Podniosła wzrok, starając się nie zwracać uwagi na świeży ból. Odwróciła się z wysiłkiem, by zobaczyć, co się dzieje za jej plecami.

Najpierw to usłyszała, dopiero potem zobaczyła.

Cichy trzask. Przerażająco cichy dźwięk, od którego gardło ścisnęło jej się boleśnie.

Jay, leżący twarzą do ziemi, usłyszał go także i wolno, ostrożnie przetoczył się na plecy, starając się nie wykonywać żadnych nagłych ruchów. Wolno uniósł ręce z rozstawionymi palcami, tak aby stojący nad nim mężczyzna wiedział, że chłopak się poddaje. Ze został pokonany.

Violet widziała teraz jedynie pistolet. Czarny, z pozycji, w której się znajdowała, wyglądał jak plastikowa dziecięca zabawka. Nie dała się jednak zwieść. To nie zabawką mężczyzna posługiwał się z taką swobodą. I nie zabawkę wymierzył wprost w Jaya.

Policjant trzymający broń krwawił, strumyczki krwi ściekały mu po policzku. Wydawało się, że stoi trochę niepewnie, zachwiał się lekko, zapewne po ciosie otrzymanym w skroń... Lecz celował dokładnie. Ze śmiertelną precyzją.

Violet mogła jedynie bezradnie patrzeć.

- Nie! Proszę, Boże, nie! - Rozpłakała się. - Nie potrzebuje go pan. On nie może panu zrobić krzywdy. Proszę...

Poczołgała się naprzód, chcąc zasłonić Jaya, lecz zrobiła to za wolno. Miała wrażenie, jakby poruszała się w zwolnionym tempie, niczym w złym śnie, kiedy stopy wydają się zbyt ciężkie, żeby posuwać się naprzód. Spojrzała na mężczyznę, a widząc wyraz jego oczu zrozumiała, że jest za późno.

Rozległ się ogłuszający huk i dziewczyna drgnęła instynktownie. Zamknęła oczy i zasłoniła dłońmi uszy, równocześnie zaczynając krzyczeć. Zaraz potem usłyszała drugi wystrzał.

Otworzyła oczy na chwilę dość długą, by zobaczyć krew. Krew wszędzie wokół. Znowu zacisnęła powieki, nie mogąc na to patrzeć. Wiedziała, że nadal krzyczy, lecz nie słyszała nic prócz dzwonienia rozbrzmiewającego w głowie.

Jej usta napełniło nagle niezwykle wrażenie: smak kwiatów mniszka. Gorzki, znajomy posmak dzieciństwa, gdy zrywała rośliny na żółte bukiety, a potem, wkładając palec do ust, nadal czuła ostry aromat mlecznego soku lepiącego się do skóry.

Cofnęła język.

Kiedy silne ręce uniosły ją z ziemi, uświadomiła sobie, że smak nie miał nic wspólnego ze zrywaniem kwiatów. Było to echo. Zupełnie nowe echo.

EPILOG

VIOLET PATRZYŁA PRZEZ OKNO na pierwszy śnieg tej zimy. Gęste, puszyste płatki frunęły przez ciemność, lśniły brylantową bielą, rozjaśniając nocne niebo.

Nowy śnieg miał w sobie coś zachwycająco delikatnego. Był jak ponowne narodziny.

I oznaczał, że następnego dnia nie będzie szkoły.

Odwróciła się twarzą do wnętrza pokoju i uniosła ramiona, by odpiąć cienki srebrny łańcuszek, który dostała od Jaya. Potarła gładkie serduszek, po czym ostrożnie włożyła je do czarnego aksamitnego pudełeczka. Zamrugła, próbując jak każdego wieczoru odegnąć gorące łzy, które zapiekły ją w oczach.

Wieczór balu...

Minęły niemal dwa miesiące, lecz na samo wspomnienie zadrżała mimo ciepła panującego w sypialni. Objęła się ramionami i roztarła gęsią skórę, która pojawiła się na skórze.

Jeśli zamknęła oczy, nadal widziała wyraziste obrazy, które na zawsze miały pozostać wyryte w jej pamięci. Gdy skupiała się na nich zbyt długo, czuła fizyczny ból.

Była teraz bezpieczna - musiała sobie o tym przypominać, świadomość, że jakimś cudem udało jej się przeżyć, miała w sobie coś oczyszczającego.

Bez trudu potrafiła przywołać ostre dźwięki wystrzałów, lecz potem wszystko się zamazywało.

To stryj znalazł ją i podniósł z podłogi. Zanim się zorientowała, gdzie jest, wokół rozpętało się piekło.

Pamiętała jego wyjaśnienia, w jaki sposób odgadli, niemal zbyt późno, że to jeden z jego podwładnych jest winien śmierci wszystkich dziewczyn - oraz, o mały włos, śmierci Violet.

Wśród dowodów zebranych w domu na farmie, należącym do jego współnika w zbrodni, znaleźli kwit. Był to rachunek za telefon komórkowy na kartę. Najwyraźniej w ten sposób kontaktowali się przestępcy. Kiedy policjanci podążyli tym śladem, trafili wprost do mężczyzny, który przez ostatnich dziesięć lat pracował dla stryja. GPS w jego wozie patrolowym potwierdził, że funkcjonariusz wiele razy był obecny na miejscach zbrodni... O wielu z nich wcześniej nie wiedzieli.

Później, gdy mundurowy zginął na szkolnym korytarzu trafiony przez stryja dziewczyny, ponownie przeszukano las w okolicy, gdzie natrafiono na zwłoki Hailey McDonald, i znaleziono Mackenzie Sherwin pogrzebaną dokładnie w miejscu wskazanym przez Violet.

Miała złamany kark.

Violet przeżyła. Uratował ją stryj. Teraz nosił nową aurę, nowe piętno, budzące pewien niepokój dziewczyny, kiedy znajdowała się w pobliżu: gorzki smak mniszka. Lecz także ten znak bladł, szybciej niż powinien, i Violet mogła obecnie znieść przez krótki czas towarzystwo Stephena Ambrosea.

Ktoś zapukał lekko i drzwi sypialni się otwarły.

Violet obejrzała się w samą porę, by zobaczyć wchodzącego Jaya. Jego uśmiech był równocześnie szelmowski i złośliwy. Dosłownie skoczyła mu w ramiona, kiedy zamykał za sobą drzwi.

Roześmiał się.

- Też za tobą tęskniłem.

Uniosła do niego twarz; pocałował ją i mocno przytulił.

- Przyszedłem tylko się pożegnać - wyjaśnił wśród namiętych pocałunków.

- Więc to zrób.

Pocałował ją znowu, i jeszcze raz, lecz nie powiedział dobranoc ani do widzenia.

- Dobranoc - szepnęła w końcu, kiedy oderwał wargi od jej ust.

Każdego dnia czuła wdzięczność, że wtedy Jay został jedynie muśnięty pierwszą wystrzeloną kulą. Była wdzięczna, że ranny policjant - morderca - okazał się zbyt oszołomiony, by celnie strzelać. I jeszcze bardziej wdzięczna, że stryj wynurzył się zza rogu w samą porę, by oddać drugi strzał... śmiertelny.

Jay przyglądał się Violet, odczytując myśli wyraźnie malujące się na jej twarzy. A potem uśmiechnął się i uniósł ją w powietrze, całując lekko w czoło, policzki, nos.

- Chyba mógłbym chwilę zostać - szepnął, kiedy wreszcie odnalazł jej usta.

Violet wiedziała, że teraz wszystko będzie dobrze. Jay przeżył.

Morderca zginął.

Wtuliła się w chłopaka, który przytulił ją do swego ramienia.

Było lepiej niż dobrze - było idealnie.

PODZIĘKOWANIA

Moim przyjaciołom, Johnowi McDonalldowi i Bryanowi Jeterowi, za wszelkie rady dotyczące policji, straży pożarnej i służb ratowniczych. Dzięki wam ta powieść zyskała na wiarygodności. Faceci w mundurach rządzą!

Laurze Rennert, mojej superfantastycznej agentce, za to, że zgodziła się zaryzykować i postawić na mnie, chociaż ze zdenerwowania pomyliłam słowa „miejski” i „wiejski” podczas naszego pierwszego (trzyminutowego) spotkania.

Całemu zespołowi wydawnictwa HarperCollins, a przede wszystkim wspaniałym redaktorkom Gretchen Hirsch i Farrin Jacobs, za to, że pomogły mi wypolerować *Ukryte* na błysk. Nie potrafię wyrazić, jak bardzo cenię wasz takt i cierpliwość.

Chcę także podziękować mojej matce Peggy, która zawsze mnie przekonywała, że mogę zostać, kim zechcę (nie ma drugiej takiej mamy jak ty!).

Mojemu mężowi za zachętę, żebym poszła na całość. Nic z tego nie doszłoby do skutku, gdyby nie Twój nieustający doping.

Dziękuję, dziękuję, dziękuję...

Oraz Amandzie, Connorowi i Abigail... naprawdę możecie zostać, kim zechcecie!

SPIS TREŚCI

Prolog.....	7
Rozdział 1.....	n
Ofiara.....	25
Rozdział 2.....	31
Rozdział 3.....	43
Rozdział 4.....	55
Rozdział 5.....	66
Obserwacja.....	73
Rozdział 6.....	76
Rozdział 7.....	gn
Rozdział 8.....	90
Adrenalina.....	97
Rozdział 9.....	102
Rozdział 10.....	113
Rozdział 11.....	126
Rozdział 12.....	134
Rozdział 13.....	146
Niewidzialne.....	152
Rozdział 14.....	155
Rozdział 15.....	163

Sposobność.....	175
Rozdział 16.....	177
Rozdział 17.....	180
Rozdział 18.....	200
Rozdział 19.....	220
Ścigany.....	229
Rozdział 20.....	232
Drapieżca.....	243
Rozdział 21.....	244
Rozdział 22.....	251
Rozdział 23.....	260
Rozdział 24	273
Rozdział 25.....	279
Na oczach wszystkich.....	288
Rozdział 26.....	290
Rozdział 27.....	301
Rozdział 28.....	304
Epilog.....	311
Podziękowania.....	315